2

TWÓRCZOŚĆ

LUTY 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 2
WARSZAWA LUTY 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 20. nakład 6470 1951 r. 2-B-11081

Z LISTÓW LENINA DO RODZINY

W. I. Lenin do M. I. Uljanowej[1])

[31] 19/VII [18]97 [wieś Szuszenskoje].

Prosisz mnie, Maniu, żebym ci opisał wieś Szu-szu-szu... Hm, hm! Już, zdaje się, raz ją opisywałem. Jest to duża wieś o kilku dość brudnych, pełnych kurzu ulicach — wszystko tak właśnie jak być powinno. Wieś wśród stepów — ogrodów i w ogóle roślinności nie ma. Naokoło wsi... gnój, którego się tu nie wywozi na pola, a zrzuca od razu za wsią tak, że, aby z niej wyjść, trzeba prawie zawsze przebrnąć przez trochę gnoju. Tuż koło wsi płynie rzeczułka, Szusz, obecnie całkiem wyschnięta. O jakąś wiorstę lub półtorej od wsi (a raczej ode *mnie:* wieś jest długa) Szusz wpada do Jeniseju, który tworzy tu całą masę wysp i odnóg, tak że do głównego łożyska Jeniseju dostępu nie ma. Kąpię się w największej odnodze, która teraz też bardzo wysycha. Na drugim końcu wsi (przeciwnym od rzeki Szusz) w odległości jakiejś półtorej wiorsty jest „bór", jak go uroczyście nazywają tutejsi chłopi, a w gruncie rzeczy to nędzny, mocno przetrzebiony lasek, w którym nie ma nawet prawdziwego cienia (ale za to dużo poziomek!) i który nie ma nic wspólnego z syberyjską tajgą, o której na razie tylko słyszałem, ale gdzie jeszcze nie byłem (to co najmniej 30 — 40 wiorst stąd). Góry... powiedziałem o nich bardzo niedokładnie, gdyż góry są o jakieś 50 *wiorst* stąd, tak że można tylko na nie patrzeć, kiedy ich nie zakrywają chmury... kubek w kubek jak w Genewie, skąd można patrzeć na Mont Blanc. Dlatego też pierwsza (i ostatnia) linijka mego wiersza zawiera pewną hiperbolę poetycką (takiego poetyckiego zwrotu używają przecie poeci!) o „podnóżu"... Dlatego też na twoje pytanie: „Na jakie góry wdrapywałem się" — mogę odpowiedzieć, że jedynie na piaszczyste pagórki, których jest sporo w tym tu tak zwanym „borze" — piasku tu w ogóle nie brak.

Praca moja posuwa się bardzo, ale to bardzo powoli.[2]) Nie wiem sam, czy potrzebne mi będą notatki. Mam nadzieję, że do jesieni porozumiem się z jakąś moskiewską albo petersburską biblioteką.

Z przyjemnością przeczytałem twój opis życia zagranicą i twoje wrażenia stamtąd. Bardzo się będę cieszył, jeśli będziesz częściej pisywać.

---

[1]) Maria Iljiniczna, siostra Lenina (przyp. tłum.).

[2]) Praca Lenina nad książką „Rozwój kapitalizmu w Rosji". (przyp. red.)

Na wasz zamiar przysłania tutaj, na odległość jakichś sześciu tysiączków wiorst z ogonkiem „puda wiśni" aż usta otworzyłem ze zdumienia (a nie z ochoty połknięcia takiej wiśni. Wiśni tu nie ma; melony będą)... nad waszą bujną wyobraźnią. Co tam nasi chemicy!!

Twój W.U.

W. I. Lenin — do M. A. Uljanowej [1])

[8/III] 24/II [18]98 [wieś Szuszenskoje]

Otrzymałem dziś, kochana mamusiu, całą kupę listów ze wszystkich krańców Rosji i Syberii i dlatego przez cały dzień byłem w świątecznym nastroju.

Od Mani i Aniuty otrzymałem listy z [21.]9/II, poza tym *Juridiczeskij Wiestnik* i *Statisticzeskij Wriemiennik*, a ponadto *Dniewnik sjezda — (Tiechnikow).*[2]) Dziękuję za wszystko. Ostatni jest bardzo ciekawy, serdeczne dzięki Aniucie. Aniuta pisze, że książka Amicisa — to książka dla dzieci. Nie wiedziałem o tym, ale taka też tu się przyda, bo dzieci Promińskiego nie mają nic do czytania. Zamierzałem nawet zrobić taką rzecz: zaprenumerować *Niwę* [3]). Dzieci Promińskiego miałyby wielką uciechę (obrazki co tydzień), a ja zbiorowe dzieła Turgieniewa w 12 tomach zapowiedziane przez *Niwę* jako premia. A wszystko to za siedem rubli wraz z przesyłką! Wielka pokusa! Jeśli tylko wydanie Turgieniewa będzie możliwe (tj. bez zniekształceń, luk i grubych błędów drukarskich) bardzo warto zaprenumerować. Czy ktoś z naszych nie widział premii *Niwy* z ubiegłych lat? Zdaje się, że dali Dostojewskiego? Czy było do zniesienia?

Liczę bardzo na to, że uda mi się na pewno poprawić swoje finanse, bo osobne wydanie artykułów powinno tak czy inaczej dojść do skutku, a poza tym dostaję teraz (z Pitra) tłumaczenie z angielskiego Adama Smitha, za które też powinno coś wpaść[4]). Więc długi uiszczę. (Trzeba tylko o nich pamiętać). Dlatego też uważam, że i *Niwę* można

---

[1]) Maria Aleksandrowna, matka Lenina (przyp. tłum.).

[2]) „Jednodniówka dozwolonego przez cesarza Drugiego Zjazdu Rosyjskich Działaczy Oświatowych z dziedziny szkolnictwa technicznego i zawodowego, 1895—1896". Prawdopodobnie zawierała list pisany między wierszami atramentem sympatycznym. (przyp. red.).

[3]) *Niwa* — ilustrowany tygodnik, który dawał abonentom jako dodatek utwory klasyków i znanych pisarzy. Założony w 1869 r. (przyp. red.).

[4]) Taki przekład Lenina nie istnieje. Możliwe że Lenin nie wiedział dokładnie, jaką książkę dostanie do tłumaczenia. W następnych listach mówi tylko o tłumaczeniu książki Webba: „The History of Trade Unionism". (przyp. red.).

zaprenumerować — niech już nasi sami zadecydują, czy Turgieniew będzie „możliwy", mają więcej danych, żeby decydować.

Dziś otrzymałem — *Russkoje Bogactwo* za 1898 Nr 1, — *Wiestnik Finansow* otrzymuję od dawna.

Trzeba jeszcze będzie oczywiście korzystając z okazji poprosić o wysłanie trochę grosza przez N. K.[1]) (wcześniej nie trzeba. Zapomogę dali dziś), bo wydatki mogą tam być niemałe. Dług mój zatem nieco się powiększy.

Żyję jak dawniej. Żadnych nowin — żadnych gości — znajomych na razie żadnych.

Aniuta pisze, że N. K. jej napisała, jakoby „znalazł się wydawca w Petersburgu". Do mnie pisała tylko, że „obiecują znaleźć". Może tu zaszło komiczne nieporozumienie: w Petersburgu plan ten zrodził się *niezależnie* od mego listu, a u mnie też niezależnie, przed otrzymaniem listu z Pitra. I tak tańczymy jedno naprzeciw drugiego, jak ludzie, co wpadli na siebie nos w nos i nie wiedzą czy na prawo, czy na lewo przepuścić swoje vis à vis.

Teraz zresztą sprawa już się pewnie wyjaśniła.

Całuję cię, pozdrowienia dla wszystkich naszych.

Twój W. U.

Z listu Mani zrozumiałem, że *obie* książki *(Juridiczeskij Wiestnik* 1887 Nr 12 i *Statisticzeskij Wriemiennik)* zostały kupione i zwracać ich wobec tego nie trzeba.

Sprawa N.K. posuwa się powoli. Prawdopodobnie sprawę terminu będzie musiała zostawić komuś do załatwienia, no a na przyjazd jej tutaj obiecują dać zezwolenie.

Załączam list do niej, bo może już jest w Moskwie. Jeśli nie, to go jej prześlijcie.

W. I. Lenin do A. I. Jelizarowej[2])

[20] 8/III [18]98 Szuszenskoje

Chcę cię prosić o wyszukanie dla mnie podręczników języka angielskiego. Wystarałem się tu o przekład i otrzymałem grubą księgę Webba. Bardzo się boję, żeby nie narobić błędów.

Powinienem mieć:

1) gramatykę języka angielskiego, zwłaszcza *składnię*, a szczegól-

[1]) N. K. — Nadieżda Konstantinowna Krupska, która 7.V.1898 (starego stylu) przyjechała do Szuszenskoje. (przyp. tłum.).

[2]) Anna Iljiniczna Jelizarowa, siostra Lenina (przyp. tłum.).

nie część o idiotyzmach. Jeśli N.K. nie ma Nuroka [1]) *) (zdaje się, że miała, nie wiem tylko, czy był jej własny) to przyślij przynajmniej na lato, jeśli tobie (albo Mani) nie jest potrzebny. Przydałby się dobry podręcznik angielski, jeśli można dostać.

2) Słownik *geograficzny* i imion własnych. Tłumaczenie ich z angielskiego i transkrypcja są bardzo trudne, bardzo boję się błędów. Nie wiem, czy istnieją tego rodzaju słowniki. Jeśli nie ma o nich wzmianki w „Książce o książkach" [2]) albo w jakimś innym spisie czy katalogu, może się uda jakoś dowiedzieć o tym z innych źródeł? Oczywiście, jeśli tylko można będzie przy okazji dowiedzieć się o tych książkach i dostać je (finansami nie jestem skrępowany, bo honorarium będzie przyzwoite, a pierwszą próbę trzeba zrobić porządnie), ale specjalnie się tym zajmować nie warto. Mam dostać niemieckie tłumaczenie tej książki, tak że zawsze będę sobie mógł poradzić.

Twój W. U.

*) Nie wiem tylko, czy materiał, który daje Nurok, jest wystarczający?

W. I. Lenin do M. I. Uljanowej. [3])

Sawieljew (dla M.I.U.) dom własny. Wieś *Ino Nemi*. Stacja Terijoki przy Fińskiej Kolei.

[18] 5/VI [19]10 [Paryż]

Kochana Maniu!

Pozdrowienia od Nadi i ode mnie. Spacerujemy po lesie medońskim. Jest ślicznie! List twój otrzymałem (duży) wieczorem w dniu wysłania do ciebie mego listu. Otrzymaliśmy więc wszystko. Piszemy i wysyłamy nowości. Salut et fraternité.[4])

Twój W. U.

---

[1]) Nurok M.: „Praktyczna gramatyka języka angielskiego z wypisami i słowniczkiem". Petersburg 1894 r. (przyp. red.).

[2]) „Książka o książkach" cz. I i II. Szczegółowy wykaz książek z głównych dziedzin nauki. Wydany nakładem D. I. Tichomirowa pod redakcją I. I. Janżuła. Moskwa 1892. (przyp. red.).

[3]) Pocztówka z widokiem Forêt de Meudon — Etang de Villebon (Las medoński, sadzawka wilebońska). „Meudon — niewielkie miasteczko oddalone o 9 kilometrów od Paryża. Latem w święta tysiące paryżan jeździ, by spędzić tam czas na łonie natury. My jeździliśmy tam często także w dni powszednie — wspomina N.K. — poprawić humor, pojeździć na rowerach w cudnym lesie medońskim." (przyp. red.)

[4]) Dosł.: pozdrowienie i braterstwo. Pozdrowienie używane w czasie Rewolucji Francuskiej. (przyp. red.).

W. I. Lenin do M. I. Uljanowej

Maria Iljiniczna Uljanowa. Plac Kazański, dom Muromcewa, mieszkanie Gorochowej. Russland. Vologda. (Wołogda).[1])

28 [15]/XII [19]12 [Kraków]

J'ai bien reçu [chère Marieta] lettre avec l'adresse [et je me] presse d'utiliser ce [lle-ci. As]-tu reçu ma lettre envoyée poste restante?

Avec le journal „Gleichheit"[2]) qui parait deux fois par mois, on pourrait probablement s'arranger de la sorte que nous enverrons cette revue. La question se pose seulement: si la censure laissera passer cette revue? Demande ou bien il faudra envoyer.

Quand recevez-vous les journaux de St. Petersbourg? 24 heures plus tard ou plus tard encore?

Mille felicitations et salutations à tous les amis.

Tout à toi Wł. U.

[*Przekład*]

Otrzymałem, kochana Maniu, twój list z adresem i śpieszę z odpowiedzią. Czy otrzymałaś mój list wysłany na poste restante?

Z pismem „Gleichheit", które wychodzi dwa razy na miesiąc, można by tak sprawę załatwić, że będziemy ci to pismo przesyłać. Pytanie tylko, czy cenzura je przepuści? Spróbuj dowiedzieć się, albo po prostu wyślemy je.

Kiedy otrzymujecie pisma z Petersburga? Po upływie jednej doby czy później? Tysiące pozdrowień i ukłonów dla wszystkich przyjaciół.

Twój Wł. U.

W. I. Lenin do M. I. Uljanowej.

Maria Iljiniczna Uljanowa. 40. Jekatierinsko - Dworianskaja, 40. Wołogda. Russland. Vologda.

[12—13/V — 29—30/IV 1913[3]) Poronin]

Kochana Maniu! Zdaje mi się, że zalegam z listem do ciebie (a do

---

[1]) Pocztówka. Ponieważ jeden brzeg jej został oddarty, tekst odtworzono w trzech miejscach zgodnie z sensem. (przyp. red.).

[2]) „Gleichheit" („Równość") pismo socjaldemokratyczne poświęcone ruchowi robotniczemu. Wychodziło od 1906 r. pod redakcją K. Zetkin (przyp. red.).

[3]) Data listu ustalona według stempla pocztowego: Wołogda [16] 3 maja 1913 r. (przyp. red.).

Marka Tim.[1]) — na pewno!). Nareszcie zabrałem się do pisania. W tych dniach przenieśliśmy się (częściowo ze względu na stan zdrowia Nadi — które mnie bardzo niepokoi — choroba Basedowa) na lato w góry do Poronina, wioski oddalonej o siedem kilometrów od Zakopanego. To w pobliżu Tatr, o 6 — 8 godzin koleją od Krakowa na południe — połączenie z Rosją i z Europą przez Kraków. Jesteśmy trochę dalej do Rosji — ale trudno.

Wynajęliśmy dom (olbrzymi — za wielki!) na całe lato do 1/X nowego stylu i mieliśmy wiele kłopotów z przeprowadzką. Stan Nadi po przyjeździe tutaj chyba się pogorszył. Trzeba będzie chyba wywieźć ją na leczenie do Berna...

Okolica jest cudowna. Powietrze wspaniałe — wysokość około 700 metrów. Żadnego porównania z nisko położonym i nieco wilgotnym Krakowem. Pism mamy dużo i pracować można.

Ludność — polscy chłopi, górale[2]), z którymi porozumiewam się w nieprawdopodobnie łamanym języku, znam pięć polskich słów, poza tym zniekształcam rosyjskie. Nadia trochę mówi i czyta po polsku.

Wieś przypomina rosyjskie wsie. Strzechy, nędza. Bose baby i dzieci. Chłopi noszą stroje góralskie — białe wełniane spodnie i narzutki — coś pośredniego między paltem a kurtką. Miejscowość nasza nie jest uzdrowiskiem (Zakopane to uzdrowisko) i dzięki temu bardzo spokojna. Mam jednak nadzieję, że w tym spokoju i w górskim powietrzu Nadia wyzdrowieje. Prowadzimy tutaj żywot wiejski — wcześnie wstajemy i kładziemy się niemal z kurami. Co dzień chodzimy na pocztę i na dworzec.

Czy widujesz *Prawdę*[3]) i *Proswieszczenije*[4]) regularnie? Cieszyliś-

---

[1]) Marek Timofiejewicz Jelizarow, mąż Anny Iljiniczny (przyp. tłum.).

[2]) W oryginale po rosyjsku „Górale" z dopiskiem w nawiasie: mieszkańcy gór. (przyp. tłum.)

[3]) *Prawda* — codzienna legalna robotnicza gazeta bolszewicka. Zaczęła wychodzić w Petersburgu 5 maja (22 kwietnia) 1912 r. Podlegała niezliczonym represjom. Wychodziła pod różnymi nazwami do 21 (8) maja 1914. Lenin brał bezpośredni udział w kierowaniu gazetą, przysyłał z zagranicy wielką ilość swoich artykułów i dawał w częstej i ciągłej korespondencji bardzo szczegółowe wskazówki redakcji. Zob. Pisma Lenina, wyd. ros. t. XV str. 663—665 (przyp. red.).

[4]) *Proswieszczenije*—pismo bolszewickie, które zaczęło wychodzić po zamknięciu *Myśli* w grudniu 1911 r. „Trzeba przenieść robotę do Pitra" — pisał Lenin do Gorkiego w kwietniu 1911 r. opowiadając o zamknięciu *Myśli* — „i zaczynać od nowa" (*Leninskij sb. I*, str. 117). Pismo istniało do czerwca 1914 roku. Na jesieni

my się tutaj z jubileuszowego numeru [1]) i ze zwycięstwa związku metalowców nad likwidatorami [2]).

Jak ty się miewasz? Czy zatrzymujesz lekcje na lato? Czy otrzymujesz dostateczną ilość książek?

Pozdrowienia dla polskich przyjaciół [3]) i życzenia wszelkich pomyślności...

E. W.[4]) i Nadia pozdrawiają cię serdecznie i całują. Ja także.

Twój W. U.

W. I. Lenin do M. I. Uljanowej

[Jesień lub zima 1913 [5]) Kraków]

Kochana Maniu! Otrzymałem twój list w kilka dni po wysłaniu listu mego i Nadi.

Wyrzucasz mi, że milczałem. Czuję się rzeczywiście winny — przeprowadzka i influenza powiększyły zwłokę. Teraz choruje u nas E. W. — miała silną influenzę, ma się *już lepiej*.

Nowa literatura niemiecka? Właśnie skończyłem lekturę czterech tomów korespondencji Marksa z Engelsem[6]). Chcę o niej napisać

1917 r. wydano podwójny numer (Nr 1—2, wrzesień — październik), w którym ukazał się artykuł Lenina: „Czy bolszewicy utrzymają władzę państwową?" Zob. *Dzieła* Lenina, wyd. ros. t. XV, str. 648—649. (przyp. red.).

[1]) Jubileuszowy numer *Prawdy* (Nr 92—296) ukazał się 23 kwietnia 1913 roku (przyp. red.).

[2]) W wyborach do zarządu związku metalowców 21 kwietnia 1913 r. przeszła lista bolszewików (z A. Kisielewem na czele). Otrzymali 13 miejsc na 15. Nowy zarząd wysłał do Lenina telegram pozdrawiając go jako „prawdziwego wodza klasy robotniczej". (przyp. red.).

[3]) W Wołogdzie jednocześnie z Leninem był na zesłaniu W. W. Worowski, któremu Lenin przesyła pozdrowienia. Worowski (1871 — 1923) — wybitny partyjny (bolszewicki) literat i działacz rewolucyjny. Zob. *Leninskij sb.* VII, str. 215. (przyp. red.).

[4]) Elżbieta Wasiljewna — matka Nadieżdy Krupskiej. (przyp. tłum.).

[5]) List bez daty. Sądząc z tego, że wspomina się w nim o korespondencji Marksa z Engelsem oraz o książce Cunowa, które wyszły w 1913 r., odnosi się do jesieni lub zimy 1913 r. (przyp. red.).

[6]) „Briefwechsel zwischen Friedrich Engels und Karl Marx" Herausgeg. von A. Bebel und Ed. Bernstein. 4 Bände. Verl. J. H. W. Dietz Nachf. Stuttgart, 1913. „Korespondencja Fryderyka Engelsa z Karolem Marksem" pod red. A. Bebela i Ed. Bernsteina. 4 tomy. Wyd. sukcesorów J. H. W. Dietza. Stuttgart, 1913. (przyp. red.).

w *Proswieszczenije*[1]). Dużo jest tam rzeczy ciekawych. Szkoda, że diabły niemiaszki drogo to wydały: 40 marek! Nie czytałem jeszcze nowej książki Beera: „Historia socjalizmu w Anglii,[2]) ale niebawem przeczytam.

Wyszła niedawno [książka] Cunowa o pochodzeniu religii.[3]) Chętnie bym ci ją przysłał (kupię ją), ale boję się, że nie dojdzie. Jeśli prenumerujesz, albo otrzymujesz *Neue Zeit*, to tam bywają wykazy wszystkich nowości wydawniczych. Nowej literatury burżuazyjnej nie widzę. Jeśli chcesz, przyślę ci katalog wszystkich w ogóle nowych książek po niemiecku (małe wydawnictwo księgarza Hinrischsa[4]) w Lipsku, które co miesiąc otrzymuję).

Mocno ściskam dłoń. Mamę najmocniej ucałuj ode mnie i od Nadi.

Twój W. U.

Od Aniuty dawno nie ma wiadomości.
Czytam „Dingo" Oktawa Mirbeau. Złe.

W. I. Lenin do A. I. Jelizarowej

Pietrograd. Grecki prospekt, d. 17 m. 18

Anna Iljiniczna Jelizarowa. Russie. Petrograde

14 [1] XI 1914 [Bern]

Kochana Aniuto! Otrzymałem list twój i Marka T., a potem także pocztówkę od mamy. Bardzo, bardzo wam wszystkim dziękuję! Pieniędzy teraz nie potrzebuję. W więzieniu byłem całkiem krótko. Wszystkiego dwanaście dni i bardzo szybko otrzymałem specjalne przywileje, w ogóle „siedzenie" było zupełnie nieciężkie, warunki i traktowanie dobre.[5]) Teraz trochę już rozejrzałem się tutaj i urządziłem. Mieszka-

---

[1]) Zob. niedokończony artykuł Lenina „Korespondencja Marksa z Engelsem". *Dzieła* Lenina wyd. ros. t. XVII, str. 29 — 34. (przyp. red.).

[2]) Beer Max. „Geschichte des Sozialismus in England". Suttgart, Dietz, 1913.

[3]) Cunow H. „Ursprung der Religion und des Gottesglaubens". Berlin, 1913. Przekład polski: „Pochodzenie religii i wiary w Boga", str. 170. Książka i Wiedza, 1950.

[4]) Monatliche Uebersicht der bedeutenderen Erscheinungen des deutschen Buchhandels. I. E. Hinrischsche. Buchhandlung. Tłum. polskie: Miesięczny wykaz najważniejszych nowości niemieckiego rynku księgarskiego. Księgarnia E. Hinrischsa. (przyp. red.).

[5]) 7 sierpnia 1914 r. u Lenina w Poroninie dokonano rewizji, a 8 wtrącono go do więzienia w Nowym Targu, gdzie przebywał do 19 sierpnia. Przyczyną uwięzienia

my w dwóch bardzo ładnych pokojach umeblowanych i jadamy w pobliskiej stołówce. Nadia czuje się dobrze, E. W. także, choć bardzo się już zestarzała. Ja skończyłem dla słownika Granata artykuł (o Marksie) [1]) i w tych dniach mu wysyłam. Musiałem jednak zostawić część (większą, prawie wszystkie) książek w Galicji.... bardzo jestem niespokojny o ich los... [2]) Bardzo smutno jest patrzeć na wzrost szowinizmu w różnych krajach a także zdradzieckie postępowanie niemieckich (i nie tylko niemieckich) marksistów czy rzekomych marksistów... Zrozumiałe, że liberałowie znów chwalą Plechanowa: zasłużył całkowicie na tę haniebną karę [3]). Odpowiedz mi szybko, co słychać z pismem? [4]) Czy jest możliwość wznowienia go i kiedy? Czy poczta odpowiada za rękopisy wysyłane listem poleconym? Mocno ściskam i całuję mamę, życzę zdrowia, wszystkim od wszystkich pozdrowienia!

Twój W. U.

Widzieliśmy haniebny i bezwstydny numer pisma *Sowremiennyj Mir* [5]). Hańba, hańba!...

---

było oskarżenie Lenina przez władze austriackie o szpiegostwo na rzecz Rosji. Zob. J. Ganiecki: „Aresztowanie W. I. Lenina w Austrii w 1914 r. według dokumentów" *(Leninskij sb.* II, str. 171 — 187). (przyp. red.).

[1]) Skrócony artykuł Lenina o Marksie podpisany przez W. Iljicza został umieszczony w 28 t. Encyklopedii Granata. Pełny tekst artykułu — *Dzieła* Lenina, wyd. ros. t. XVIII, str. 1 — 43.

[2]) Obawy Lenina sprawdziły się. Większa część książek i archiwum wpadły po jego wyjeździe w ręce żandarmów, którzy przekazali je Generalnemu Sztabowi w Warszawie. Zob. J. Ganiecki: „W poszukiwaniu archiwów W. I. Lenina" *(Leninskij sb.* II, str. 467 — 473). (przyp. red.).

[3]) Na początku wojny imperialistycznej Plechanow „stoczył się do nacjonalizmu, przesłaniając swój rosyjski szowinizm frankofilstwem" (zob. *Dzieła* Lenina, wyd. ros. t. XVIII, str. 68 „Sytuacja i zadania Międzynarodówki socjalistycznej"), za co spotkało go uznanie prasy burżuazyjnej. Zob. *Sowriemiennoje Słowo* Nr 2374, *Russkoje Słowo* Nr 193 z 23 sierpnia 1914 i in. (przyp. red.).

[4]) Chodzi o pismo *Proswieszczenije*, które zamierzano wznowić. W liście do M. I. z 11 kwietnia 1915 r. A. I. pisze: „Istnieje zamiar wydania jednego lub dwu numerów pisma." — „Mówi się o wznowieniu pisma lub raczej o wydaniu letniego numeru, żeby nie stracić upoważnienia na wydawanie, ale jeszcze nie zabraliśmy się do tego na dobre. Wołodia bardzo pragnie pisma, gazety". (List A. I. 23 kwietnia 1915 r.). (przyp. red.).

[5]) W nr 9 pisma *Sowriemiennyj Mir* ukazał się ultraszowinistyczny artykuł N. Jordańskiego: „Niech nasze będzie zwycięstwo".

(Listy powyższe wyjęte zostały ze zbioru „Pis'ma k rodnym. 1894 — 1919", Partijnoje Izdatielstwo 1934. Stamtąd pochodzą również przypisy red.).

WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN

Z części drugiej poematu

Widzicie
na pomniku
bohatera w zbroi?
Nie taki —
byście
skronie mu wieńczyli.
Nie taki —
ale żmudny,
codzienny heroizm
na barki swoje
podjął Iljicz.
Naucza ludzi
w fabrycznej paszczy,
jak bronić
każdej kopiejki wypłaty,
co robić,
jeśli
szturchają majstrzy,
i —
żeby wrzątek był
do herbaty.
Ale
nie chodzi o bagatele;
śmiecie spod progu
wymiótłszy,
nie stój bezczynnie.
Socjalizm — celem
Kapitalizm — wrogiem.
Nie miotła —
karabin rozstrzygnie.
Jedną rzecz
po tysiąc razy
wbija

w oporny słuch,
a jutro
połączy razem
ręce
świadomych dwóch.

Czterech — wczoraj,
czterystu — dzisiaj.
Kryjemy się,
a jutro
otwarcie powstaniem.
Dziesiątka
każda
urośnie w tysiąc.
Pracujących świata
ruszymy powstaniem.
My już
nie tacy,
co do trzech nie zliczą —
w burzową chmurę
wzbiera
gniew masy.
Razi
błyskawicami
książek Iljicza.
Sypie
gradem
ulotek i proklamacyj.
Parła
ku Leninowi
ciemna klasa —
szli dalej,
jego
światłem obdzieleni,
znajdując
siłę
i myśli w masach
z klasą
rósł
Lenin.

I wkrótce
w czynach się utrwali
dana
za młodu
przysięga Iljicza;
— My —
nie jednostki,
myśmy —
związek walki
o wyzwolenie
klasy robotniczej.
Leninizm
dociera
coraz głębiej i szerzej
przez uczniów
spod Iljicza znaku.
Krwią
wpisali się
podziemni bohaterzy
w kurz
i błoto
katorżniczych szlaków.
Dzisiaj
my
rozkręciliśmy glob ziemski.
Nawet
jeśliśmy
na Kremlu zasiedli,
dla ilu
nagle
wśród dekretów
Nerczyńsk
brzękiem kajdan
odezwie się z mebli!
Znowu
ptasie wędrówki
uprzytomnię wam.
Tramwaje
w elektrycznej
śmigają pogoni.

Kto z was
żelaza okratowań
nie targał
zdartymi dłońmi?
Choćbyś
głową
w kamień celi huknął —
ślad po tobie
zatrą stróże więzienni.
„Służyłeś uczciwie, choć krótko
sprawie ojczystej ziemi."
Gdzie ujęła Lenina,
na którym z zesłań
owej pieśni
siła bolesna?
Gadano —
kmiotek
własnej
dopyta się drogi
do socjalizmu —
prościuchnej,
rodzimej.
Gdzie tam!
Ruś
od kominów —
niby zwierz sturogi.
Miasto brodą obrasta —
dymem.
Nas
nie zaprosi do raju
apostoł.
Po trupie burżuazji
po komunizm pójdź!
Proletariat — przywódcą
stu milionów chłopstwa,
Lenin —
proletariatu wódz.

przełożył **Jerzy Litwiniuk**

MICHAŁ ISAKOWSKI

Przełożył LEOPOLD LEWIN

PRZED MAUZOLEUM LENINA

Nadchodzi noc. Nad ziemią coraz jaśniej
Zorza płonąć zaczęła...
On umarł, ale światło już nie zgaśnie –
To żyją jego dzieła.

I jeśliś wierny jest jego idei —
Zwiastunce urodzaju —
Winieneś stać się poetą nadziei,
Twórcą swojego kraju:

Jeśli dobierasz na budowie kamień,
Dopasuj go na wieki,
Żebyś twoimi mądrymi rękami
Dumę budził w człowieku;

Jeżeli w ogród zamieniasz przestrzenie,
Na których nędza płakała,
Tak pracuj, by pod owoców brzemieniem
Ziemia się uginała;

A jeśli grom usłyszysz niespodzianie
U swej ojczyzny progów —
Idź na wyprawę, walcz niezmordowanie
I bądź mocniejszy od wrogów!

Cokolwiek robisz — rób z sercem i śmiało,
O celu nie zapominaj:
Żeby młodniała i wiecznie piękniała
Nasza wielka kraina.

A gdy — oślepły i głuchy — w pustkowie
Odejdziesz mroczne i chłodne,
Niech imię twe poniosą potomkowie,
Jak pieśń, jak pochodnię.

przełożył **Leopold Lewin**

W NOWY ROK

Jeszcze wilki pod wieś
Podchodzą zgłodniałym stadem,
Jeszcze las zjeża sierść,
Sarna białym zaświeci zadem
W nocnej mgle za kościołem i karczmą,

Ale słychać już trzask
Drzew ścinanych na belki domostw
I jarzący się blask
Szklanych gruszek — oświeca świadomość
Pańszczyźnianą, zamierzchłą, folwarczną.

Radzą w izbach o zmroku,
Omawiają rządowe dekrety,
Może będą po roku
Słuchać wierszy swojego poety,
Który dzieje ich ojców opowie.

Wsi spokojna, wesoła!
Ach, jakaż tam spokojna!
Ziemniaczana i goła,
Czy to pokój, czy wojna,
Tobą paśli się twoi panowie.

W nocy biały spadł śnieg.
Zasiada przy stole rodzina —
W nowy rok, w nowy wiek,
W którym wielka się sprawa zaczyna,
Wypijemy, najmilsi, na zdrowie.

W PRACOWNI ŚWIATA

Uniosłeś odległość gwiazdy od gwiazdy,
Ujeździłeś iskrę elektryczną,
Dałeś rzeczom bezimiennym nazwy
Między promieniem i liczbą.
Masz sprawne i silne narzędzia tworzenia,
Masz potężniejsze jeszcze narzędzia zniszczenia.
Jednego tylko nie możesz
Nawet w tej zmartwychwstania powszechnego porze,
Kiedy pąki kasztanów już walczą na noże,
By wyjść z zimowego więzienia,
Nie możesz wskrzesić ani przywrócić młodości,
Ani prześwietlić minionych krajów,
Ty, któremu jak dobre duchy
Służą technika i higiena,
Ty, który jesteś okiem ludzkości i uchem.
Ty, co przenikasz ciemności,
Podmorska rybo ludzkiego rodzaju,
Gwiazdo wysyłająca promienie roentgena!

Ja wiem, że można całą kulę ziemską obiec
Tylko po to, by wrócić
Do znajomego drzewa,
Lub do innej rzeczy, jak do ludzi
Po małoważną odpowiedź
Na: „jak się miewa?"

Chciałbym stanąć nogami obiema
Żywy za tysiąc lat na dawnych miejscach
I usłyszeć tam, gdzie mnie już nie ma,
Gwałtowne bicie serca.

Fauście epoki komunistycznej,
Czarodzieju,
Ty, co panujesz
Nad widmami
Wywołanemi
Z powietrza,

Spod ziemi,
Ukaż mi swoje oblicze!

Wiek miniony — to ledwo przedmieście,
Gdzie wokół złotego cielca
Tańczył tłum, oświetlony blaskiem,
Głodni i bici, powiedzcie,
Jak szliście przeciw wojskom królewskim, cesarskim.

Niech wejdą między nas
Pierwsi mistrze proletariatu
Mędrcy brodaci,
Oni, którzy szli szybciej niż czas,
A czas ich w siły bogacił
Na zgubę staremu światu.

Miasta żałobne, miasta zmartwychwstałe, miasta złote!
Przeszłości i przyszłości, gdy mój dźwięk was budzi
W wielopiętrowym czasie, który jest jak hotel,
Zamieszkany przez wciąż zmieniających się ludzi:

Warszawa wstaje ze swych podziemnych cmentarzy,
Czysta i nieulękła.
Praga Czeska o wnętrzu skamieniałej róży
Otwiera złote sale dla nowego piękna.
Moskwa i Stalingrad
W rysach szerokich robotniczych twarzy
Odbijają się jak na powierzchni metalu.

Widzę laboratorium
Przyszłego Miczurina owoców żywota
Oto Waga i Orion
Mikrokosmosu,
Armia błyszczących jonów,
Maleńkich komet fosforyzujące włosy,
W ciałach, w przedmiotach
Obnażona do wnętrza elektronów
Istota.

Ty, dla którego
Już niewiele ma tajemnic natura,
Nurku powietrza szturmujący niebo,
Śmiały dotarłeś aż na dno materii
I tam, gdzie gwiazda życia błyszczy jak planeta Uran,
Sam siebie rzucasz na żer jej.

Tchnij życie w kamień!
Zwycięż czas, śródprzestrzenny eter!
Zabij szakala,
Z kłów i pazurów rozbrój lwa!
Potęgą ludu zamień
Tę smutną planetę
Na mieszkanie wykute w szlachetnych metalach.

Gdyby nam dane było żyć długo, jak słoniom,
Gdybyśmy żyli długo, jak dęby lub żółwie,
Gdyby nam było dane nieść krwi naszej płomień
Przez wieki nie przez półwiek...

Ta myśl niewczesna sen mi odbierała nieraz.

Profesorze Bogomolec!
O, Leonardo!
Nie umieraj.

Słyszę głosy wrzeszczące z wież dziesięciu stolic
Jeszcze nie czas na podróż międzyplanetarną,
Jeszcze nie czas na nieśmiertelność.
Dni znów rozdarte tytułami gazet!
Oto przygotowują mordercy narodów
Wulkany
Wybuchające żelazem
Do wnętrza ziemi i za ziemi obwód.

Gdybym mógł słowom moim nadać celność
Mojego serca,
Gdybym mógł mówić
We wszystkich mowach ludzi, w hymnach wszystkich światów.
Słuchaj stara Europo,

Słuchajcie Stany!
Ziemio płonąca pod stopą,
Do wnętrzności z koralu wstrząsane oceany,
Lądy eskortowane przez zbójców powietrznej armady.
Gdybym mógł w blasku słów-reflektorów
Ukazać wszystkie narzędzia zagłady,
Największą z ziemi tej chorób,
Żelazną dżumę, raka, co toczy jej ciało,
Pożera tkanki żywe.

Słowa — to mało.
Słowa tylko w walce są prawdziwe!

Czy słyszysz
Powiew w ogrodzie?
Dom nasz stoi na takiej ciszy,
Że nawet trawy pachną tu słodziej.
Gdy Wielka Niedźwiedzica w nocnej ciszy
Wącha trawy mokrą mordą,
Czy słyszysz, jak szemrzą bez przerwy
Maszyny mordu,
Powiększające się rezerwy
Masowej śmierci?

Przed domem naszym niewypał
W ziemi,
Gdzie w jego własnym dole człowiek go zasypał,
Jak gdyby śmierć własną zakopał,
Czeka, aby wybuchnąć czarnym płomieniem,
Kiedy go dotknie żelazna stopa.

Żaden szatan ni Bóg nie zsyła wojny.
Dziecko, które się uczy tabliczki mnożenia,
Potrafi wskazać palcem autorów zniszczenia.
Wieść poprzez wieki pójdzie o mordercach,
O gwałcicielach ziemi, morza, nieba —
Już dzisiaj ludów świata głos wolny
Alarmem serca ostrzega!
Już dziś ostrzega.

Przeliczą się! Przeliczą się! Przeliczą!
Za błąd w rachunku
Oceanami, lądem zapłacą.
Zginą od śmiertelnego ognia pocałunku,
By jutro oddać prostym oraczom
Ziemię na nowo dziewiczą.

Ja w obu rękach trzymam śmierć swoją i życie,
Dwie szale, zbyt ciężkie niestety.
Niech wiersz mój za to będzie celny i świeży
Jak druk politycznej gazety,
Jak Nadzwyczajne Wydanie o świcie.

Do ciebie każda moja myśl należy
Młodości naszej planety!

Kwiecień, 1950.

Mieczysław Jastrun

DRZEWO REWOLUCJI

Orzemy, piszemy, kujemy —
Codzienni pracownicy rewolucji.
Jak cenną płonkę obfitej jabłoni,
Szczepionkę z ogromnego drzewa,
Na gruncie przeoranym przez miliony pługów —
Czuła troskliwość nasza ją hoduje,
Miłości naszej powiew ją owiewa,
Nasza czujność ją chroni.

W ogromnym sadzie, gdzie jest pędów wiele,
Chodzimy jak uważni ogrodnicy,
Wzrastającego życia przyjaciele.
Przed skwarem słońca, przed wichru porywem
I przed gradową burzą, która łamie
Wszystko co żywe,
Chronimy nowe życie. A przed nami
Toczą się słońca wschody i zachody,
Rozpościerają się bujne ogrody,
Które nas będą żywić owocami
Naszego trudu.

O drzewo marzeń, drzewo rewolucji!
Widzę cię dzisiaj, jak wzrastasz obficie,
Wielkimi, szumiącymi gałęziami
Szeroko rozpościerasz wkoło cień ożywczy.
O drzewo rewolucji — z naszych trudów
Wyrosłe — my dziś dajemy ci życie,
Dajemy tobie dni nasze i noce
I już widzimy, jak pełne się stają,
Jak ciepłym sokiem zwolna nabrzmiewają
Twoje szlachetne owoce.

Seweryn Pollak

ZANIM WIEŚ ZAŚNIE

Czas jak dotknięcie przyjaznej dłoni.
Nad gęstwą drzew, nad drogą, gdzie stygnie kurz,
wieczorna, letnia pora, przestwory ciepła, woni.

Jakby pył, jakby ciemność sypała się z grusz.
Kosiarz rozzuł już buty, zaśnie w cieniu drzewa.
Zachód drży, światło stoi jak ulewa.
Na przyzbie tymczasem odżywa powieść o niedawnej wojnie
i snują się w oczach dzieci, w oczach starców
poryte pola, skrwawione rzeki, ludzki płacz...

Zasłuchałem się i ja, pochyliłem się od bólu.
Obok dąb, listowie jego służy za płaszcz...
Dwoje Młodych... Oni szukają swoich rąk tylko, swoich słów,
tulą się w szczęściu jak zziębnięte ptaki.
O rzut kamienia od nich, pochłonięci sprawami,
nie widzący snu,
radzą zaś jeszcze Spółdzielcy pod schylonym krzakiem śliwy,
choć już o wschodzie słońca znowu na pola wyjdą z żniwiarkami...

Radzą, umilkli nagle jak grom.
Mowa, która zawisła nad przyzbą,
targała troską o plony, o pracę, o ojczysty dom.

Stanisław Piętak

WSCHÓD NAD PEGEEREM

Wschodzi słońce. Nad
Pegeerem zawisł różowy obłoczek
jakby Miczurina owoc
w podbiegunowym sadzie.

Okna domów
płoną ognikami pelargonii
i twarzami przodownic
zrywających się ze snu.

W modrym powietrzu
pluska się jaskółka,
drzewa zrzucają nocny cień.

Pegeerowski park
wystrzelił w świt
zielonym płomieniem
cisów i sykomorów.

Brzegiem strumienia
wędruje ciepły oddech wody
i muska czarne grzebienie skib.

Brygada dziewcząt w kolorowych chusteczkach
wychodzi w pole.

Roboczy czas pachnie chlebem,
radość na ustach dziewcząt
zamieniła się w pieśń.

Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk

IGNAŚ ŁĘK

I

Na początku bieżącego 1949 roku generałowi S. przytrafiło się następujące wydarzenie. Pewnego razu, gdy wyszedł z jakiegoś przyjęcia i nie znalazł swego samochodu, skorzystał z czyjejś propozycji. W drodze uderzyło go milczenie towarzysza jazdy, który przez cały czas siedział nieruchomy jak ptak wyczuwszy myśliwego. Zwróciwszy na to uwagę — jak to zwykle bywa — generał przypomniał sobie wyraz spłoszenia na jego twarzy wtedy, gdy wystąpił z propozycją. Widoczne było, że chętnie by ją cofnął, ale już nie bardzo wypadało, było za późno. Na pożegnanie wyciągnął rękę — mokrą od potu; ten człowiek bał się! Generał nie mógł się opędzić wrażeniu, że znał go, ale na razie nie mógł sobie przypomnieć skąd. W nocy nagle generał obudził się, nareszcie przypomniał sobie: był to prokurator, który czternaście lat temu oskarżał go o komunizm.

II

Czternaście lat temu staliśmy pod drzwiami Ignacego Łęka.

Zbieraliśmy wtedy podpisy pod protest przeciw biciu naszych ludzi w więzieniach, przeciw gwałceniu i zarażaniu naszych towarzyszek po więzieniach, przeciw wlewaniu im wody do nosa, przeciw wszystkim podobnym zbrodniom wobec ludzkości. Ludzie, których serca nie zarosły tłuszczem, pomagali nam w tej naszej akcji. Miałem wtedy niecałe dwadzieścia lat, chodziłem na uniwersytet i pisywałem wiersze. Od czasu do czasu rzucałem w świat te moje kamienie — parne, gorące, nadające się raczej do łaźni niż do czytania. Jednakże jak umiałem kochałem klasę robotniczą i jak umiałem starałem się jej służyć, za to wiele powinno mi być odpuszczone. Posługiwano się też mną w różnych sprawach. Wieszałem transparenty na drutach tramwajowych, rozlepiałem afisze po mieście, podrzucałem ulotki, rozpowszechniałem nielegalną literaturę, zbierałem na MOPR, agitowałem. W tym okresie organizowaliśmy protest. Razem z drugim młodym człowiekiem, pod niejednym względem podobnym do mnie, staliśmy pod drzwiami Ignacego Łęka.

Czternaście lat temu, w roku 1935, Ignacy Łęk był ulubieńcem pół-

aszystowskiej prasy, która każdy jego wiersz podawała z biciem zwonów. Kiedy coś tłumaczył, oryginał nie był wart tłumaczenia. Nawano go człowiekiem renesansowym i codziennie przy każdej okazji ciągano na cokół. Są twórcy, którzy za życia nieźle się tam czują; pryt życiowy trzyma tam wartę nad nędzą ich dzieła.

Ignacy Łęk wygrzewał się właściwie przy wszystkich ogniskach stecznictwa, płynął właściwie na mętnej, rwącej, ale krótkiej fali oniunktury. Trzeba jednak przyznać, że miał wiele taktu. Nikt nigdy ie widział brudnych artykułów podpisanych jego nazwiskiem. Nikogo ie pożerał na surowo i bez soli. Nie był komunożercą. Prawdopodobie nie dostrzegał nas, posiadał ten dość rozpowszechniony zresztą tanent dostrzegania jedynie tych, na których pada słońce dnia. Prawdoodobnie uważał nas za grupę studentów, na wieki skazaną na peryerie. Ale kierując nas do jego drzwi, nasi przewodnicy mogli liczyć a podpis. W końcu nie było to nic wielkiego i na liście mieliśmy osoby awet bardziej na prawo.

Służąca spuściła łańcuch, wypytała szczegółowo co i jak, po czym as zostawiła. Usłyszeliśmy szepty. W chwilę później dowiedzieliśmy ię, że pana nie ma w domu. Ignacy Łęk nie wysilił się nawet.

To było nie czternaście, ale sto lat temu. Jednym ze spostrzeżeń zdoytych przez naszą generację jest to, że życie szybko płyie; zdaje mi się, że nigdy dotąd nie zauważono, jak ważne to spotrzeżenie. Teraz w Polsce rządzili ludzie, którym Łęk odmówił niegdyś odpisu. Już nikt nie uważał nas za „grupę studentów". Nie wystawaśmy pod drzwiami. Przeciwnie, teraz Ignacy Łęk sam wystawał pod rzwiami i czekał.

III

W maju, po ciężkiej zimie, odczułem zmęczenie. Mury warszawskie wierały mnie jak przepocona koszula, zmęczone szarzyzną oczy moe spragnione były koloru. Dzień w dzień powtarzałem sobie, e muszę wyjechać; wreszcie pod koniec miesiąca znalazłem się Antoninie.

Akurat natrafiłem na Zielone Święta i na ogromny zjazd w miateczku. Nieduży rynek przypominał dworzec autobusowy, samochody tały tu jak kolumny wojsk. W kierunku osobliwości antonińskich płyęły niekończące się procesje ludzi. Jedyna w miasteczku gospoda Sanopomocy Chłopskiej, po świeżo zlikwidowanej starej firmie prywatej, wydawała do ośmiuset posiłków dziennie. Kelnerzy schudli jak pokokach ze spadochronem. Zamówienia przyjmowali w milczeniu, ra-

chunki wskazywali palcem, na pytania nie odpowiadali; już nie mieli sił.

W drugie święto, po południu, przed autobusami zaczęły się dantejskie sceny; trwały one jeszcze przez cały dzień następny. Lecz w dwadzieścia cztery godziny później w miasteczku zrobiło się nieprawdopodobnie cicho. Z przyjezdnych ja jeden zostałem. „Zostałeś sam jeden" — mówiłem sobie. Czułem się porzucony i zapomniany jak w październiku nad morzem.

Przyjechałem wypoczywać. Należę jednak do tych nieszczęśliwców, którzy zawsze muszą coś tam dłubać. Naraz w drugie święto wskoczyłem w dużą robotę, planowaną na kiedyś tam w przyszłości. Pisało mi się lekko, z jakimś uczuciem szczęścia, rzadkim na ogół gościem w mojej kwaśnej raczej duszy. Całymi dniami siedziałem w pokoju, nie czując ciężaru tego narzuconego sobie stanu wyjątkowego. Jedyną osobą, którą widywałem, była stara kobieta; dwa razy dziennie podawała mi jedzenie. Jeszcze na schodach będąc oznajmiała mi: i-d-z-i-e śniadanie, i-d-z-i-e obiad! Przyjmowałem ją jak damę dworu. W dniach, kiedy człowiekowi wiedzie się w robocie, zjawiska tracą kanty, są szczęśliwie ze sobą pożenione, wszystko wokoło ma swoją błogosławioną rację bytu.

Z domu wychodziłem dopiero wieczorami błogo zmęczony i kierowałem się nad rzekę. O tej porze, na wschodzie o gładkich lustrzanych płaszczyznach była ona już rzeką nocy, ale na zachodzie grała jeszcze słońcem i dniem. Nie mogłem się dość nacieszyć jej widokiem. Nie mogłem dość nacieszyć oczu widokiem miasteczka stąd, a zwłaszcza tej części, którą nazywają Góry. Zalesione stoki wznoszą się tam stromo, gęste jak szypułki. Tam to mieszczą się główne osobliwości Antonina — baszta, ruiny zamku. Ponad ciemną ścianą lasu świeciły one teraz jak płynne złoto. Nasyciwszy tu oczy biegłem w Góry, aby stamtąd popatrzeć na rzekę, błyszczącą jak zwój cynfolii i na miasteczko w dole, gdzie tymczasem zaczęły wyskakiwać pierwsze pryszczyki świateł. Wysiadywałem nad skarpą, póki mnie chłód nie wypędzał.

Antonin jest śliczny, ale mały. Antonin jest mały, ale sycący. Ten nieduży obchód odświeżał i zasilał we mnie tęsknotę za postaciami, których życie kładłem w domu na papier. Spieszyłem więc do domu. Byłem równie szczęśliwy teraz jak przed spacerem. Drewniak, w którym mieszkałem, stał samotnie na samym brzeżku miasteczka. Zamykając drzwi za sobą na noc, czułem, że oto zostaję sam, jak w górach. Ale nikt nie jest sam, jeśli ma pracę, a praca — cel. Nie pamiętam okresu równie szczęśliwego.

Pisarz francuski Roger Martin du Gard gdzieś marzy o tym, by móc awać bohaterów pełnymi garściami, ażeby deptali sobie po piętach, k u Balzaca, nie po aptekarsku jak w nowoczesnych książkach. Zisz-enie tych marzeń jest możliwe tylko w jednym wypadku, gdy pisarz erze na siebie ciężary. Czy można sobie wyobrazić Szekspira bez cię-arów historii Anglii, Tołstoja bez historii Rosji, a Mickiewicza bez storii Polski? Im większe ciężary bierzemy na siebie, tym łatwiej ojawia nam się sztuka i to w najdelikatniejszej, jak i w najbardziej onumentalnej formie. A p t e k a zaczyna się wtedy, kiedy się praw tuki szuka gdzieś poza siódmą zasłoną.

Znałem swoje zadanie. Jak wtedy, gdy zbierałem podpisy, również isiaj chciałem służyć tym, którym i przedtem służyłem. Tylko ci, órzy godzą się na służbę, są szczęśliwi w sztuce.

IV

Łęk mieszkał tu stale w domu, który postawił sobie przed wojną; yszałem, że urządzał go kiedyś z przepychem, ozdobił ogromnymi pod zględem rozmiarów obrazami; tylko takie uznawał. Przed wojną na icach warszawskich Łęk straszył w jakichś niezwykłych kożuchach. sposobie bycia i traktowania ludzi należał do tych kilku artystów - e o d a ł ó w, których wychowała nam sanacja. Przed wojną Łęk iał dwa mieszkania, ale warszawskie stracił we wrześniu 1939 r.

Wojna wiele zmieniła także i wokoło Łęka. Światło dnia nie padało ięcej w jego stronę. Stu cmokerów nie czekało już na słowo mistrza. araz okazało się, że, jak wielu innych, nie miał dorobku. Jego scheda órcza nie interesowała nikogo, ale i na jego nowe słowo nie czekał kt. Należał do tych, którzy wojnę przeżyli tylko fizycznie.

V

W czwarty lub piąty dzień mego pobytu, podczas wieczornego spa-eru spotkałem go na rynku. Już z daleka machał mi ręką, jak komuś liskiemu. Jedyne spotkanie z nim opisałem. Po wojnie zetknęliśmy ę może dwa razy, wśród ludzi, nigdy oddzielnie. Samotnik z Antoni-a nie był więc trudny z ludźmi.

Przywitał się ze mną; po raz pierwszy przyjrzałem mu się uważnie, ógł mieć jakie czterdzieści pięć lat, ale wyglądał młodziej. Był mo-ego wzrostu, wysoki, sprężysty. Twarz miał zgorzkniałą, twarz czło-ieka nieszczęśliwego w pożyciu małżeńskim — pomyślałem — włosy

jasne, miejscami już siwe, oczy przeraźliwie niebieskie. Było w nim coś ze żbika. W ruchach rąk miał coś z ciułacza, ze skąpca.

Po codziennym szlaku szedł teraz obok mnie i wyciągał ze mnie wiadomości „ze świata", który sprowadzał się do dziesięciu nazwisk, znanych na ogół. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem na ich temat, spłacałem haracz człowieka bywałego wobec człowieka odstawionego. Nasza rozmowa miała charakter informacyjny. Dopiero gdy zaczęliśmy się żegnać na ciemniejącym rynku, głos Łęka nagle zafalował:

— Wiem przecież, za co pan mnie uważa, za starego zatwardziałego endeka. O Boże, gdyby pan znał prawdę! Ileż to razy wybierałem się w drogę! Ileż to razy chciałem jechać do was i powiedzieć wam, że jestem wasz; nie zostawiajcie mnie na boku! Potem uświadamiałem sobie, że to jest przecież obłęd, bo czegoż ja właściwie chcę? No, niech pan już idzie — opamiętał się jak gdyby. — To musi pana zapewne nudzić. Wygląda pan na człowieka, na którego rzucają się ze zwierzętami, są tacy. Do widzenia...

Rozstaliśmy się. Skręciłem w moją uliczkę. Byłem zły na siebie, że tak długo spacerowałem, że tyle gadałem, drżałem o jutrzejszą pracę jak atleta, który hulając nie może zapomnieć o jutrzejszym spotkaniu. W dniach, kiedy się nareszcie uczciwie pracuje, trzeba sobie ludzi dozować, nie pozwalać sobie zaprzątać głowy ich sprawami — są oni wrogiem naszych. Wybrać — oto słowo dla nas tak ważne jak dla młodych dziewcząt.

Naraz usłyszałem kroki. Łęk znów zagrodził mi drogę.

— Chciałem pana o coś zapytać. Czy pan wie, o co?

— Skąd mogę wiedzieć, o co pan mnie chce zapytać? — odparłem.

Staliśmy obok nowo wyremontowanego domu starców z dachem dwa razy większym niż sam dom. Znałem ten zabytek już od jakich pięciu nastu lat. Mój wzrok padł na bielone ściany, świecące w ciemnościach, i w jednej chwili już wiedziałem, o co Łęk będzie pytał.

— Przed wojną był pan u mnie po podpis. Zaraz powiem panu nawet dokładnie kiedy. W trzydziestym piątym na wiosnę, czy tak?

Wzbierała we mnie złość. Czego znowu ten chciał? Prosić o przebaczenie? Mnie? A jeśli nie prosić o przebaczenie to, co to było takiego? Taniec przed lustrem w nocy pod przytułkiem? Bał się zemsty? Nie rachujemy się o większe sprawy! Zemsta historyczna ma całkiem inny przebieg, aniżeli nas tego uczyli starzy pisarze; tego oni jednak nie zrozumieli.

— Nie pamięta pan? — odezwał się z nadzieją w głosie.

Zgasiłem go. Rzekłem:

— Pamiętam.

Ciemność skryła przed nim moją twarz, ale moja złość musiała go dojść. Nie widzi się w ciemnościach, za to się lepiej słyszy.

W milczeniu poszliśmy naprzód; odprowadzał mnie. Uliczka była pusta. Po jednej stronie wznosił się pusty stok, po drugiej wśród ogródków i pólek stały budki domów. Z chwili na chwilę rosła noc. Niebo było pochmurne, bez gwiazd.

— Pan przedtem użył słów, że powinienem w r ó c i ć do was. Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Co chciałem przez to powiedzieć? — W żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć podobnych słów w moich ustach.

— Nie miał pan żadnej ukrytej myśli? — Łęk wziął mnie pod rękę. — O, pan nie wie — mówił dalej — czym jest zima w Antoninie, bo przyjeżdża pan na miesiąc w roku, kiedy s ą l u d z i e. Gdyby panu, gdyby wam przyszło siedzieć tu cały rok, jak mnie, znienawidzilibyście go tak, jak ja! Nie żyje pan z Antoninem w małżeństwie. Zimą, o zimą człowiek stoi tutaj z otwartymi żyłami i patrzy, jak krew z nich spływa i nic, nic nie może na to poradzić! Przez dziesięć miesięcy w roku Antonin jest jak cmentarz. Pan nie wie, czym jest c i s z a wokoło człowieka. I to wokoło człowieka, który kocha życie, który życie czuje tylko wtedy, gdy poprzez pełny stół z kielichem w ręku może krzyknąć: „twoje zdrowie, Jasiu!", „twoje, Jurku!", „jak się masz, Henryku!". W tej c i s z y człowiek czuje się jak po dżumie, jak stara deska do prasowania butwiejąca w piwnicy. Ta cisza sprawia, iż woda w domu nigdy nie zamienia się w wino. Ta c i s z a nigdy nie sprowadza do domu żywego Boga powszedniego dnia, choć na ścianach pełno świętych obrazów. C i s z a ! Ludzie patrzą na ciebie, a ich wzrok zawiera najokrutniejszą treść, jaką wzrok ludzki może zawierać: Więc ty jeszcze żyjesz?... Patrzą poprzez ciebie jak poprzez szkło. I zapominają o tobie natychmiast, gdy odrywają oczy. Nie wygląda pan na człowieka, który by wiedział, czym jest taka c i s z a. Czym jej piwniczny chłód...

— A jednak — odpowiedziałem cicho. On także cały czas mówił szeptem: noc na to wpłynęła. Nie widziałem jego twarzy, ale oczy mu się świeciły. Przechodziliśmy koło mojego domku.

Prosił:

— Niech pan jeszcze nie idzie, jest tak ciepło. Jest to pierwsza prawdziwie ciepła noc. W maju wieczorami wkładałem jeszcze sweter. Pan pierwszy przyjechał w tym roku. Pisano mi, że pan się wybiera. Czy na długo pan przyjechał?

— Nie wiem.

— Więc jest możliwe, że pan posiedzi dłużej?

— Możliwe.

— Naprawdę? O Boże!... Ja dlatego pytałem pana o to w r ó c i s z, bo ja wcale nie powinienem w r a c a ć do was. Ja powinienem był być z wami zawsze. Pan na pewno nie wie, ale ja jestem c h a ł u p n i c z y m d z i e c k i e m...

Roześmiał się krótkim grubym śmiechem. Przystanął i utkwił we mnie oczy. Niebo było ciemne i naokoło było ciemno, ostatnią lampę minęliśmy już dawno, otaczały nas pola głuche jak ziemia niczyja.

Przyglądał mi się, ale niewiele mógł wyczytać z mojej twarzy; nocą twarz bywa tylko maską. Goethe powiada: „jesteś genialny, ale natura jest genialniejsza od ciebie, więc badaj naturę". Wiedziałem, że Ignacy Łęk był prawicowym pisarzem, że był jednym z najlepiej ubranych mężczyzn w Warszawie; na jednym z balów otrzymał tytuł wice-króla mody, królem co prawda został wtedy także pisarz. Ale nigdy nie pomyślałem o społecznym pochodzeniu Łęka, zupełnie tak, jak gdyby lotnik-myśliwiec wyleciał bez aparatu tlenowego. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, najbardziej podstawowe wyjaśnienia najłatwiej wymykają się uwadze — zawsze i wszędzie.

— Mój ojciec był krawcem — trzymał mnie wciąż pod ręką; ten ruch, pomyślałem, został mu jeszcze z czasów f e o d a l n y c h, kiedy starał się b y ć o j c o w s k i. — Nie z jakimś tam szyldem i oknem od ulicy, ze sztuczką materiału w oknie — zwyczajny łaciarz! Pierwszą marynarkę, jaką otrzymałem, przerobił mi z sukni matki, z grubej bai, pamiętam ją po dziś dzień. Podwórko, na którym się bawiłem było tłuste od nafty i smoły, latem ziemia tam puchła jak na drożdżach. Moja matka była chłopką, nie umiała nawet czytać. Moje książki sylabizował jej ojciec. Nad każdą stronicą, bez różnicy treści, płakała. Nad wszystkimi recenzjami o mnie także płakała; Boże, wszyscy ci, co te recenzje pisali, nie byli warci jednej jej łzy. Matka moja, to była taka kruszynka mała, cicha, nigdy głośnego słowa z jej ust nie usłyszałem.

Przed nami ścieliła się droga do Zakliczyna. Słuchałem tylko jednym uchem, choć coraz uważniej i i n a c z e j niż na początku. Moją uwa-

ę od czasu do czasu jeszcze rozbijało to, że wychodząc nie nakryłem kryptów płachetką; zawsze to czynię; jestem zdania, że skrypt jak iemowlę należy nakrywać.

— W domu było nas dwóch — ciągnął dawny ulubieniec salonów. — Iiałem brata starszego ode mnie o jakie siedem lat, Piotra. On wcześie zaczął tłuc się po więzieniach; mógł panu wymienić wszystkie więenia w kraju. Mnie w domu ubóstwiali, ale wobec niego ojciec był vardy. Mnie pozwalał na wszystko, ale Piotrowi przygadywał o byle). W rodzinie zawsze ktoś musi być mniej lubiany, aby kogoś drugieo lubiano więcej. — Jakieś urojenia chodzą ci po głowie — mówił do iego ojciec — Komunizm! — Nie był mu wyręką i tego nie mógł mu ybaczyć. Nie wiedział, czy ma się wstydzić syna w więzieniu, czy być umny z niego, że jednak walczył za „sprawę robotniczą". Toteż bywał az dumny, a kiedy indziej nieznośny. Kiedy Piotr pierwszy raz wyzedł z więzienia, przyjechał do mnie do Warszawy. — Ty — rzekł do nie — t w o r z y s z. W duszy my wszyscy tworzymy, miliony twozą, ale tylko nielicznym udaje się to spełnić. Ignacy, ja wiem, że rtysta nie lubi, jak mu się ktoś m i e s z a, ale nie jesteś na odpoiedniej drodze. Stałeś się pisarzem, a pisarz, to nie zwyczajny fach, obowiązek. Obowiązek wobec kogo? Obowiązek wobec ojca i matki, obec tych wszystkich, z którymi dorastałeś. Oni teraz patrzą na twoją siążkę jak na kołyskę, całują ją wzrokiem, dumni są z ciebie i czekają. zekają, żebyś napisał o ich życiu. A jak to życie wygląda? Sam wiesz: oska o kartofel, o metr węgla, o litr nafty, o łach. Twoja ośmioletnia uzynka przychodzi do sklepu i prosi o czekoladkę. — Czy ty dla sieie chcesz tę czekoladkę? — pyta sprzedawca. — Gdzie! Ja dla m a e g o! — U nas ośmioletnie osoby są już dorosłe i nie dostają czeoladek. Kapitał zawczasu skazuje nasze dzieci na los ich rodziców. I gaś, I g n a ś, s z l a g c i ę t r a f i ł — tak mówił do mnie w dzieństwie — a ty dlaczego o tym wszystkim nie napiszesz? Dlaczego nie owiesz, że twoi rówieśnicy na szafy z książkami patrzą jak na kościół, e nigdy tych książek nie poznają, bo kapitał nie chce? Dlaczego nie apiszesz, że sam, że bez nas nie chcesz tych wszystkich pięknych rzezy, co są na świecie? Że ich nie chcesz, jak mają ich nie zobaczyć oczy aszej matki. Napisałeś o Ksawerym, ale czy podałeś p r a w d z i w ą rzyczynę? Wziął kobietę, obiecał jej ludzkie życie, potem przyszła nęza, brak pracy, chłop już sobie nie mógł poradzić, bo kobieta woła — aj i daj,więc zrobił jej krzywdę. Dlaczego? Z nienawiści do t a k i e o świata, do t a k i e g o życia, a nie do życia w ogóle. I jeszcze jedno.

Ignaś, szlag cię trafił, przestań tyle pieprzyć o duszy. W jednym spojrzeniu twojego ojca, Florka Łęka, jest więcej duszy, aniżeli we wszystkich twoich próżniakach. Czego proletariacka ręka nie zrobi, tego ksiądz nie wymodli. I dlaczego czasami nie pomyślisz o tym, co się dzieje w duszy twojego brata, kiedy on tak w letni wieczór siedzi za kratami w rodzinnym mieście? W ogrodzie strzeleckim pachną lipy, dziewczęta śpiewają po ciemnych alejach, a tu jeszcze pięć długich lat. I alboż twój brat jeden?

— Ignaś — mówił do mnie dalej — zaniosłeś naszą biedę na i c h targ i znalazłeś kupca, bo powiadasz — nasza nędza k o l o r o w a. Byłeś niedawno znowu w domu; opowiadano mi. Rozchorowałeś się i musiałeś zostać i przez dwa miesiące dojrzałym okiem mogłeś raz jeszcze przyjrzeć się naszej biedzie. Opowiadano mi, że omal pomieszania zmysłów nie dostałeś. Taka to nasza nędza kolorowa... Ty, Ignaś, nie masz prawa zapomnieć, kim jesteś i gdzieś się urodził. Nie masz prawa zapomnieć kaprawych z przepracowania oczu Florka Łęka, kłębów pary, spalenizny, odoru sukna w naszej izbie, gdzie spała nasza matka, a ty sam dorastałeś. Walka o lepsze jutro dla nas powinna ci wytyczyć drogę. Oddaj młodość naszej klasy, a zajdziesz wysoko... Czy pan wie, kiedy ja to wszystko słyszałem? Dwadzieścia lat temu. Ileż to razy, potem myślałem sobie: Ignaś, I g n a ś, s z l a g c i ę t r a f i ł, gdzie ty miałeś oczy i czym się w życiu zajmowałeś? Jak ty żyłeś? Odmówiłeś im podpisu! Nie i m, lecz twemu bratu Piotrowi, który właśnie wtedy siedział. Bałeś się! Nie chciałeś drażnić możnych!...

— Ja — ciągnął — często myślę o swoim własnym nekrologu. W nekrologu powinna być mowa o duszy ukradzionej Florkowi i Piotrowi Łękom, Ksaweremu i tym wszystkim, z którymi dorastałem — całej naszej klasie. Ci, co rządzą, zabierają ludziom nie tylko owoce pracy, ale i dusze. Mój Boże, dlaczego ja panu o tym wszystkim mówię?...

Znaleźliśmy się na skraju pagórka. Zaczynaliśmy schodzić wąską ścieżką, niewidoczną dla oczu, ledwo wyczuwalną pod nogami. Zejście było strome, od czasu do czasu trzeba było rękami uchwycić się osik i brzózek, które tu rosły. Szedłem pierwszy.

Nie wiem, czy Ignacy Łęk zdawał sobie sprawę z awersji, jaką dawniej budził we mnie, ale teraz oto topniała. Powiadałem sobie w myślach: masz przed sobą c z ł o w i e k a, to jest jeszcze człowiek; tak łatwo na ogół skazuje się człowieka w drugim. Zadziwił mnie właściwie od pierwszej chwili. Żyjemy w środowisku, które zasadniczo k ł a-

n i e, bez pożytku dla siebie, dla kogokolwiek, nawet nie dla form — jakiejś niepojętej nienawiści do języka prawdy. Kłamstwo jest ciężką i nagminną naszą chorobą. Ignacy Łęk nie kłamał, m ó w i ł. I mówił o rzeczach bliskich artyście. — Okazuje się — powiadałem sobie — że nie znałeś człowieka.

Wreszcie znaleźliśmy się na drodze, ponieważ jednak Łęk chciał mi pokazać wąwóz zakliczyński, który się tu znajdował, weszliśmy znów w gąszcz zarośli. Jeszcze gdzieniegdzie bieliły się tu kawały niestopionego śniegu. Pięliśmy się pod górę. Często pomagałem sobie rękami. Wkrótce znów zobaczyliśmy niebo, znajdowaliśmy się na jakimś nienanym mi pogórku; w ciemnościach straciłem orientację. Wokoło — pola, cicho, ciepło.

— Bardzo słusznie pan zrobił, że pan mi to wszystko powiedział — rzekłem ująwszy go pod rękę; poczułem mięśnie tura. — Ale zupełnie niesłusznie myśli pan o nekrologu. O nekrologu niech myślą inni. Zdaje mi się, że rozumiem, skąd się takie myśli biorą w panu. Z poczucia samotności, zbędności, ale na to wszystko znajdzie się rada. Na pewno pan się zagryza tym, że pan nie ma dorobku twórczego, że się przestarzał. Ale kto dzisiaj ma dorobek twórczy? Kto ma prawdziwy spadek? Ile z tych spadków nie zlewa się z dziewiętnastym wiekiem? O Zdzisławie słyszałem, że on coraz bardziej odpłynie ku dziewiętnastemu wiekowi. Rok temu w Kazimierzu nad Wisłą, na plaży rozmawiałem z Pawłem, z samym Pawłem. — Miałem kiedyś osiemnaście lat — powiedział do mnie — i leżałem tak samo nad Wisłą, jak dzisiaj tu z tobą, i marzyłem o malarstwie. Marzyłem o namalowaniu pięciu obrazów. Dzisiaj mam pięćdziesiąt trzy lata i tak jak dawniej marzę o pięciu obrazach. Nie chodzi o ilość, chodzi o to, żeby się zachował bieg myśli. Każdy z nas marzy o pięciu obrazach, albo o pięciu książkach, których nigdy nie ma wśród już stworzonych. Godność ludzka wymaga od nas, byśmy za chleb powszedni płacili codziennie. Jak powinna wyglądać twoja literatura — zapisałem kiedyś w dzienniku. — Tak, abyś pewnego dnia wręczając komuś bardzo drogiemu paczkę mógł powiedzieć: „oto jestem ja“ i abyś nic więcej do tej paczki nie chciał dorzucić. Kto dzisiaj w Polsce ma taką paczkę? Do czyjej paczki chciałbyś się przyznać. Ja mam zaledwie „pakowy“ papier i szpagat. Mam twardą szczotkę, złą pastę i trę but. Ale but jest mokry i nie chce puścić blasku...

— Nie wytrzymałeś i musiałeś wtrącić swoją osobę — zganiłem siebie w myśli. Uczyniłem niedawno ślub, że nie będę mówił o sobie.

Tak, nie jestem Aleksandrem Macedońskim. Chciałbym zobaczyć Aleksandra Macedońskiego w roli współczesnego pisarza polskiego.

— A wie pan? — wpadł mi w słowa — I ja o tym myślałem niedawno. Niedawno temu doszedłem do wniosku, że cała nasza poprzednia generacja — i nie tylko nasza i nie tylko w Polsce — pisała właściwie literaturę dziewiętnastowieczną, tylko dopiero teraz wyszło to na jaw. Historyczne warunki dziewiętnastowieczne, które przetrwały u nas do roku 1939 (a na Zachodzie trwają nadal), określały naszą twórczość. Ssaliśmy wyschniętą pierś. Kiedyś w przyszłości, gdy nasz wiek będzie miał mniejsze znaczenie niż jeden żywy kwadrans, nikt nie sięgnie po nas, po epigonów dziewiętnastowiecznych, mogąc sięgnąć po naszych prawdziwych ojców, po tych, z których wyrastamy. To tylko współcześni przywiązani byli do nas, a my, my sprzedawaliśmy im zbrakowany towar...

— Tak! Właśnie tak! — zacząłem się ożywiać.

— Wie pan — ożywiał się również Ignacy Łęk — niedawno temu zrozumiałem również, dlaczego wszystko, co robi Zachód w dziedzinie sztuki, przestało nas interesować, dlaczego nie możemy się przejąć ich dramatami, tragediami? Właśnie dlatego, że oni pozostali w dziewiętnastym wieku, właśnie dlatego, że b y t o k r e ś l a ś w i a d o m o ś ć i wszystkie ich dramaty b ę d ą spopielone w wielkim ogniu rewolucji. Nie można współczuć wczorajszym dramatom. Oni tam są nie starsi, lecz s t a r z y. W sztuce raz po raz zawracają do nicości, do rozpaczy we wszystkich odmianach, ale co ludzkości po rozpaczy? Oni tam uprawiają sztukę grymasów, podczas gdy my tu na pewno pojęliśmy wagę prostych prawd.

— Tak. — zacząłem się rozpalać — Właśnie tak. — maszerowaliśmy wśród nocy, jak para gwardzistów. Ziemia dudniła pod nami.

— Socjalizm — Ignacy Łęk mówił coraz żarliwiej — jest właśnie obroną przed grymasami, przed nicością, przed rozpaczą. Widzimy to, ilekroć historia zakrzyknie. Wielka myśl rewolucji stoi dziś nad każdą zapisaną kartką i sprawdza ją. Rok temu gościłem u siebie znajomego, który prowadzi schronisko w górach, jednego z tych szaleńców, którzy poza Tatrami świata nie widzą. Narzekał na turystów, „jak tylko przyjeżdżają kolejką, od razu się rozbierają, rozkładają na leżakach i j o d ł u j ą. Opalają się i jodłują". Cierpiał, kiedy mi to mówił: „Trzydzieści lat żyję w górach, i jeszcze nie widziałem, żeby się góral rozebrał i jodłował". Ale zaraz potem dodał: „Nie wszyscy są tacy. Robotnik czy chłop jak przyjedzie, zachowuje twarz. Zachowują się tak, jakby się urodzili w górach. Socjalizm po raz pierwszy po-

kazał im góry, więc czują się z o b o w i ą z a n i. Socjalizm dla nich, to nie tylko awans, to i n n y stosunek do przyrody, do ludzi, socjalizm wyciąga z nich ich wewnętrzną kulturę. „Żyć kulturalnie" — to hasło ma w socjalizmie wyjątkowo ładny odcień. O tym trzeba pisać.

— Tak! Tak!! — potwierdziłem gorąco.

— Mam tutaj sąsiada, nazywa się Dumała. Chłop na mordze sadu, nędza. Ma trzech synów, wszystkich kształci, jeden jest w gimnazjum, drugi w liceum, najstarszy jest oficerem w Bydgoszczy. Oficer często przyjeżdża do Antonina, do ojca, do jego zapadającej się rudery i wcale się tego nie wstydzi. Niech pan pomyśli, co by się działo w duszy przedwojennego oficera, gdyby przyjechał do takiego ojca. Naród z góry w dół, od sześciu do sześćdziesięciu siedzi dziś na ławie szkolnej i uczy się. Niech się więc i artyści uczą. Niech się uczą, ucząc drugich. Na każdym rogu ulicy leżą skarby i czekają.

— Tak! — wołałem. — Boże — pomyślałem — jakiż jest młody, o ileż młodszy od sekcji młodych!

Szliśmy coraz szybciej popędzając się własnymi słowami, naraz jednak Ignacy Łęk zatrzymał się; przystanąłem i ja.

— Ale widzi pan — wpadł teraz w zupełnie inny ton — zdaje mi się, że ja, że ja to wszystko zrozumiałem niestety za późno. Dzisiaj nie ma we mnie żadnych sił. Dzisiaj siedzę nad arkuszem papieru suchy jak pieprz. Słowa straciły dla mnie blask. Wszyscy naokoło wydają mi się genialni. Wszyscy, tylko nie ty — mówię sobie. Po wojnie coś się we mnie załamało. Coś w środku nie chce się zapalić. Ja nie wiem, czy pan to zna?

— Jakto, czy ja to znam? — krzyknąłem na niego wpiwszy weń oczy poprzez ciemności. Wrótce pociągnąłem go za sobą; ziemia znów zaczęła dudnić pod naszymi krokami. — Najbliższemu przyjacielowi nie powiedziałbym tego, co panu teraz powiem. Ileż to razy było tak, że wszystkie moje gorące słowa zaczęły mi się naraz wydawać papierem, wokoło ogień, ogień wywołany moimi słowami, a sam czuję się, jak d e s k a d o p r a s o w a n i a b u t w i e j ą c a w p i w n i c y — powtórzyłem jego słowa. Ostatnio właśnie zaczęło się ze mną dziać coś podobnego; uciekłem, żeby nie gorszyć drugich, żeby się potem samemu nie wstydzić. Ludzie mają fałszywe pojęcie o tym, czym jest silny człowiek. M o n o l i t jest przede wszystkim człowiekiem... Mówi pan o zwykłym letargu twórczym, który przychodzi i odchodzi. Istnieje cała rozległa literatura na ten temat, nawet u nas znajdzie jej pan sporo. Szczególnie u nas, gdzie artyści kończą się przeskoczywszy czterdziestkę. Więc cóż

to za ton? Skąd ta rozpacz?! — krzyczałem nie dostrzegając zupełnie tego, że krzyczę na inny temat.

— Letarg, mów pan, że to letarg? — odpowiedział spokojnie; mój krzyk bynajmniej go nie wzruszał. — Ale ten letarg trwa już za długo! Dziesięć lat! Na swoje usprawiedliwienie mam wojnę, ale czy inni się nią usprawiedliwiają? Czasami myślę, że powinienem wyjechać z Antonina, ale czy nie będzie to ucieczka przed samym sobą? Czy nie wiem, że można być pisarzem na miarę antyczną nie wysadzając nosa z Antonina, służąc piórem tutejszym rybakom, opisując ich życie, opisując tutejsze białe noce, stare śpichrze, rzekę? Mieścina może sobie być taka, żeby się w kamizelce zmieściła, wystarczy aby zapewnić nieśmiertelność! Mało takich przykładów zna sztuka? Ale ja, ja zgubiłem się. Zgubiłem się i nie mogę trafić do jakichś drzwi. Z dawnych lat pozostała we mnie tęsknota za sztuką, która w życiu moim pozostała tym, czym być powinna, tym samym, czym w naturze jest łańcuch gór, morze, las! Ale tej mojej tęsknocie nie mogę niestety nadać kształtu... Otóż to!

Znów próbowałem na niego naskoczyć, choć tym razem z mniejszym przekonaniem.

— Nie, nie! — odpowiedział mi znowu tym swoim jakimś wzruszająco opanowanym głosem. — Bywa, iż siedzę nad papierem i zadaję sobie pytanie: czy jeszcze kiedyś s k o c z y s z ? Z m a r t w y c h w s t a n i e s z ty jeszcze kiedyś? I wtedy czuję to właśnie, co pan przed chwilą powiedział, że wystarczy mnie p c h n ą ć, a dalej już popłynę sam. Ktoś przyjdzie, dmuchnie, a motor się zapali. Ale musi to być ktoś z zewnątrz. Ktoś z zewnątrz musi przyjść i podać mi rękę, by wyprowadzić mnie z moich ciemności. Koniecznie z zewnątrz. Sam nie dam rady...

Urwał. Wyraźnie czekał na słowo ode mnie, ale po uprzedniej rozmowie, która była jakimś harmonijnym tańcem, podczas której piliśmy sobie niemal z ust, teraz nie mogłem słowa z siebie wydobyć, sam nie wiem dlaczego.

To on pierwszy się odezwał:

— Polska stała się krajem młodzieży. Biada tym, którzy nie umieją wykrzesać z siebie drugiej młodości. Są zgubieni. Siedzę tu, pan przecież widzi, ile człowiek ma tu czasu, żeby pomyśleć, przyjrzeć się rzeczom ze wszystkich stron i coraz wyraźniej widzę, że s a m nie podołam, to ktoś musi mi podać rękę. Od lat już czekam, żeby zjawił się ktoś, kto przywróci mi głos, odgarnie rzęsę z moich wód, ktoś młody..

Nie odzywałem się w dalszym ciągu. Rósł we mnie gniew. Nie rozumiałem siebie.

— Gasłem — mówił dalej — a gasnąc zacząłem marzyć. Wie pan o kim zacząłem marzyć?

— Właśnie o panu — dodał nie doczekawszy się słowa ode mnie. — Pan, mówiłem sobie, mi pomoże, pan wyciągnie do mnie rękę, pan wyprowadzi mnie z tej c i s z y. Pan odbije wieko mojego grobowca... Nie wstydzę się tego, co mówię. Mówię przecież do artysty.

— A dlaczego ja? — wykrztusiłem wreszcie ze złością.

— Nie wiem, nie wiem. Wiem tylko jedno, że usłyszawszy, że pan przyjechał, czułem się tak, jak gdyby niebo się nade mną otwarło. A teraz znowu boję się, że się zamknie, kiedy pan wyjedzie. O, Boże, gdyby można było pana tu zatrzymać! Zabronić panu wydalić się stąd!

Mówił poważnie niemal surowo.

— Ale na czym ma polegać moja pomoc? — spytałem znowu ze złością.

— Nie wiem — odparł łagodnie; zupełnie nie reagował na mój gniew. — Czasami myślę, że tylko na tym, aby b y ć przy mnie, porozmawiać, pójść razem nad Wisłę, czy ja zresztą wiem? Sprawy artystów są tak nieuchwytne... Pan przedtem mówił o artystach, którzy gasnąc przywoływali przyjaciół, a ci przyjaciele zjawiali się. Spełniał się sen...

Już nie trzymaliśmy się za ręce. Szliśmy w milczeniu. Czułem w sobie bunt! Ściskał mi ramię. Wydawało mi się to śmieszne, ckliwe, niepotrzebne. — Jeszcze jeden feodalny zwyczaj — pomyślałem.

— Niech pan posłucha — wybuchnąłem otrząsnąwszy się wreszcie z czadu, który zaczął mnie ogarniać. — Usłyszałem od pana rzeczy ważne i zobowiązał mnie pan. Taką rozmowę, jak my dzisiaj, prowadzili artyści także i dawniej, ale kończyła się ona tym, że obie strony poszły pić. Ja z panem pić nie pójdę, nie jestem trunkowy, jak mówi Wiech. W ciągu rozmowy stwierdziłem, że pan jest m ł o d y. Ja jestem nim także i jeśli ktoś wyciąga do mnie rękę, otrzymuje moją, jeśli na nią zasługuje. Niech sobie to będzie dziecinnada, niech to prowadzi do nikąd, spróbować trzeba i rękę moją pan otrzyma. I s k o c z y p a n. „Jeśli pana jakaś sytuacja, jakaś decyzja przeraża, niech pan ciśnie serce tam, gdzie pan chciałby się znaleźć, a sam stara się ze swoim sercem połączyć" — powtórzyłem czyjeś słowa. I z m a r t w y c h w s t a n i e p a n, jak pan mówi. I w r ó c i pan do nas! Cofnie się pan, aby nabrać rozpędu. W sztuce, jak w historii, dwadzieścia lat — to chwila. Jeszcze pan zdąży do swoich pięciu obrazów... Najważniejsza

rzecz, na początek zwłaszcza, nie ścigać doskonałości. Wpierw ośmielić się! I niech się pan nie boi, że góra urodzi mysz. Tylko głupcy boją się tego, głupcy, którzy zginą w samotności, po których nikt nie mówi modlitwy za umarłych. Dzisiaj człowiek nie sztukę, lecz duszę kładzie na stół. Jest więc i trudniej i łatwiej zarazem. Jest i trudniej i łatwiej się odrodzić. Ale pan może się odrodzić, wierzę w to...

— Pomogę panu — wołałem dalej — pomożemy panu! Cenimy człowieka, który coś umie. Pomożemy panu naprawić pański życiowy błąd, ja t y l k o tak zrozumiałem pańskie słowa. Świadomość, że możemy komuś się przydać, że ktoś na nas czeka, są to rzeczy naprawdę ogromne dla artysty, który jest i ze stali, i z pajęczyny zarazem. Ale proszę posłuchać, jeśli pan należy do tych gadułów, którzy nie odróżniają słów od czynów, których cała twórczość sprowadza się do genialnego choćby nawet, ale tylko gadulstwa, jeśli panu wystarczy błyszczeć przed jedną parą uszu przy kawie, przy piwie lub nocą w wąwozie, to...

— To co? — spytał z przerażeniem. Istotnie, stałem przed nim w takiej pozycji, iż mógł sądzić, że chcę go pobić.

— To... I g n a ś, s z l a g c i ę t r a f i ł!... — dokończyłem.

I obaj roześmieliśmy się.

VI

W chwilę później stwierdziliśmy, że nie wiemy, gdzie jesteśmy i którędy mamy wracać do miasteczka; straciliśmy orientację. „Dwaj znawcy i piewcy Antonina“ spoglądali po sobie ze strachem i z kpiną. Naraz odetchnęliśmy — rozległ się turkot chłopskiego wozu; jechał w naszą stronę. Chłop wskazał nam drogę. Wyszliśmy niedaleko mnie, ale teraz nie miałem ochoty wracać do domu. Postanowiłem odprowadzić Łęka na Góry, gdzie mieszkał.

Ścieliła się przed nami g a d a n a noc wśród niekończących się wzajemnych odprowadzań. Miasteczko spało snem nieprzerywanym ni szeptem, ni światłem. Znalazłszy się na Górach, usiedliśmy nad skarpą i zaczęliśmy się przyglądać po stokroć już oglądanemu skupieniu domków w dole; skupisko domków było najciemniejszą częścią pejzażu. Rzeka w głębi była dużo jaśniejsza, woda prawie srebrna. Wypłynęły wspomnienia. Ignacy Łęk zaczął opowiadać o ludziach, którzy tu żyli, kochali, tworzyli. Każde imię, które padało. miało swoje miejsce, swój blask, mniejszy lub większy w historii naszej kultury.

Opowiadał długo w noc.

VII

Nazajutrz obudziłem się cały w refleksach wczorajszej rozmowy, w nowych pytaniach i nowych odpowiedziach, dużo lepszych od tych, które padły wczoraj. Byłem przepalony nimi, czułem je w gardle, w brzuchu, w ustach. Nie powiem, żeby mi wczorajsza rozmowa była niesympatyczna. I nawet pracowało mi się nieźle. Od czasu do czasu stawiałem sobie pytanie, c z y s k o c z y, czy z m a r t w y c h w s t a n i e, czy przeciwnie, jest to człowiek strzaskany na zawsze? W każdym razie byłem gotów podać mu rękę. Miałem nawet szczegółowy plan.

Wyszedłem jak zwykle wieczorem. Na rynek wkraczałem jak na salę tronową, jak co dzień. Ale zamiast nad rzekę skierowałem się do Gospody Samopomocy Chłopskiej, chciałem wypić piwo. Tutaj od kasjerki dowiedziałem się, że I g n a c y Ł ę k n i e ż y j e.

Nocy poprzedniej nie chciał się ze mną rozstać. Rano o piątej miał pojechać autobusem do Z. i twierdził, że nie warto mu się położyć.

— Nie obudzi się pan tak wcześnie — przekomarzałem się z nim.

— Nie zna mnie pan. Jak wybieram się w drogę, zamieniam się w budzik. Zresztą — dodał — codziennie o piątej rano budzi mnie głód. Zrywam się i biegnę do kredensu; widział pan coś takiego? — śmiał się.

Szofer przy wymijaniu najechał na barierę mostu, ta nie wytrzymała i wóz stoczył się do wody. Były ofiary w ludziach. Zginął także Łęk. Wozu — poinformowała mnie kasjerka, młoda dziewczyna, która przed upaństwowieniem była kucharką w tym lokalu — wozu jeszcze nie wydobyto, ale już mniej więcej wiadomo, kto zginął.

VIII

Nie s k o c z y ł, nie z m a r t w y c h w s t a ł, nie w r ó c i ł. Ignacy Łęk należy dzisiaj do historii literatury, do tych wielkich strychów rzadko kiedy otwieranych. Ale historyk literatury sięgnie kiedyś po pożółkłe książki Ignacego Łęka. I historyk literatury natrafi tam na obraz świata i obraz człowieka, z którymi autor się nie zgadzał i to w noc przed śmiercią.

Nasza rozmowa w Antoninie długo paliła mi ręce. Jeśli wreszcie spisałem ją, to głównie dla tych kilku wierszy, gdzie Łęk mówi o sobie jako o duszy wykradzionej swemu środowisku, swemu ojcu, Florkowi Łękowi, łaciarzowi, biedakowi. Ignacy Łęk również w życiu osobistym — i to także mi powiedział owej nocy — nie był szczęśliwy. Przez

długi czas nie jeździł do rodziców, bo się ich wstydził. Matka, którą kochał, musiała go błagać o każdy przyjazd, w końcu przestała nawet prosić, widząc, jak skomplikowane przeżycia budzą w nim każde odwiedziny. Ożenił się bogato i fatalnie. „Wżenił się w ziemiaństwo". Rodzice nie lubili jego żony, a „ślachcianka" nie znosiła jego rodziny. Żona nigdy nie mogła mu zapomnieć, kim był. Póki życia pamiętała mu izbę pełną zapachów kapusty, pełną świętych obrazów i wysoko zasłanych łóżek, w której miał się urodzić. „Czy można być szczęśliwym, gdy się zatyka wszystkie źródła prawdy? Gdy klasa pozostaje w tyle, awans jednostki nie wiele radości jej przynosi" — to są słowa, które usłyszałem od niego onej nocy w Antoninie.

Być kimś więcej, niż się jest, udawać kogoś znaczniejszego, niż się było — połowa wielkiej literatury mieszczańskiej, to książki traktujące o tych właśnie udrękach na tle pochodzenia i sytuacji społecznej. Mówią o nich pisarze nie tylko w swoich książkach. W wielu biografiach samych pisarzy odnajdujemy te konflikty przebiegające nieraz tragicznie. W starym społeczeństwie konflikty te zaczynały się wcześnie: poznawał je już uczeń w klasie, gdy miał zaprosić bogatego kolegę i pokazać mu swych biednych rodziców. Już dzieci były trute trucizną, która działała potem przez całe życie i zjadała ludzi zarówno świetnych jak i miernych. Czy była to choroba ambicji, próżności? Zapewne, ale w wielu wypadkach zahaczała o kwestie bytu, prawie zawsze związana była z tym, co my dzisiaj nazywamy awansem społecznym. Dzisiaj patrząc wstecz nie widzimy już wielu zagadnień, coraz częściej widzimy m g ł ę. Dzisiaj w Polsce Ludowej musimy już czytać klasyków, aby zrozumieć siłę wielu dawnych konfliktów. Na tle klasyków urasta wielkość naszego dzieła. Oni nas wyjaśniają.

Pomyślcie, proszę, ilu było takich Ignacych Łęków. Nie dopuśćmy więcej do tego, aby choć jedna dusza została nam zabrana!

Adolf Rudnicki

PRZYJAZD WALERII

REKONWALESCENTKA

Waleria Jaśtak zdejmuje pilotkę i ociera pot z czoła. Nie baczy już rcale na kosmyki swoich zbyt jasnych włosów, które zupełnie zatra- iły ozdobność, przykleiwszy się do głowy. I dopiero teraz spostrzega, e nikt jej dotąd nie zachęcił, aby się choć trochę rozgościła. Jak usia- ła pod bieloną ścianą, tak siedzi dotąd. Ileż to już czasu? Chyba dłu- ie godziny.

Najgorzej z tym, że sprawy rodzinne omawia się przy obcym! Bo a przykład takie powiedzenie Anieli Pietrasowej:

— ...tylko że u nas, jak to powiadają, szewc bez butów chodzi...

— Jakto, jakto? — cierpliwość Walerii już jest na wyczerpaniu. . jednocześnie i złości ją, i w jakiś gorzki sposób odrobinę cieszy, że en pierwszy spotkany na drodze chłop, ten młody Władek Gabryś nie ylko że ją tu zaraz przyprowadził, ale i sam z nią wszedł. A jak za- iadł na ławie pod piecem, to jakby go kto uwiązał, słucha, co się mó- i, i rechoce, a raczej rży jak koń. Żeby to Jan mógł widzieć! Gdzie ylko Waleria stąpi, tam zaraz znajdzie się mężczyzna, jak spod ziemi. le czy jest na to jakiś sposób, żeby choć zwrócić uwagę Jana Kola- iewicza na takie głupie coś?

Aniela Pietrasowa nie od razu odpowiada na Walerii trochę wzbu- zone „jak to!" Wielka i ciężka, o nieruchomej twarzy, tak akuratnie egularnej jak u brata, tylko daleko pełniejszej, (gdzie tam jej do Ja- a!) krząta się po izbie obszernej i pustawej, ziejącej jakby gnuśno- cią. Bo chociaż i ta Aniela, i stara matka Kolasiewiczowa ciągle niby oś robią, krzątają się przy statkach, przy kuchni, i po kolei wysyłają czymś to jedną, to drugą dziewczynkę, wszystko odbywa się tak po- oli, że Walerii przyzwyczajonej do warszawskiego, wściekłego poś- iechu wydaje się to prawie bezczynnością. Starsza i brzydsza z dwóch ziewczynek, ta Adela o dorosłej twarzy z za wysokim czołem i za ma- ymi gorzkimi ustami, uważnie słucha, co mówią, i przy każdym no- ym rechocie chłopa pod piecem sama prześmiechuje się ironicznie przemądrzale. Druga, ładniejsza, Marysia, wygląda jakby się niczym ie interesowała, i popada co chwila w bezmyślną a ozdobną nieruchо- ość jak do fotografii.

Tak to wygląda przyjazd Walerii na wieś do rodziny Jana Kolasie wicza. A więc już jakby do jej własnej rodziny. — Na wilegiaturę! — gorzko w duchu śmieje się Waleria z samej siebie. A głośno powtarza

— Nie rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc, że szewc bez butó chodzi!

Ach, gdybyż ona wiedziała, ta Pietrasowa, jak dalece jej brat jes właśnie tym szewcem, co bez butów chodzi... Przecież on nic dla siebi nic, przecież nawet o ich pokój, co mu się dawno należał, Waleria mu siała starać się tygodniami! A walka o każdy przydział? Ale czy to o kiedy zrozumieją?

Tamta spokojnie podniosła twarz znad kołyski, nad którą pochylał się za lada piśnięciem najmłodszego dziecka.

Nie zmieniając pozycji, a wskazując jakoś brodą w kierunku piec Pietrasowa powiedziała niegłośno: — Mama wyniesie prosiakowi!

Stara matka Jana Kolasiewicza w milczeniu, powoli dźwignęła wie ki sagan i wsparłszy go na brzuchu, wyszła, wezwawszy do pomoc młodszą z dwóch wnuczek, tę ładną Marysię. I dopiero teraz Pietra sowa odpowiedziała Walerii, podnosząc się znad kołyski i powoli zapi nając na piersiach swoją miejską bluzkę w kratki:

— A no tak! Bo jak ma się brata na takim stanowisku, to chyb i siostrze coś się należy, no nie? — ona, Aniela Pietrasowa, niczeg od brata dla samej siebie nie żąda, ale jej mężowi, jej dzieciom...

Jeszcze w szkole mówiono, że nikt tak prędko wszystkiego się ni nauczy jak Waleria Jaśtak, Walunia Biernacka, jak to podówcza mówiono do niej i o niej. Zapomni prędko, to prawda, ale nauczy si w mig! I to już jej zostało. Przez ten czas jak tu tkwi na krześle po bieloną ścianą, już się zdążyła nauczyć, że wszystko należy powta rzać, głośno, wyraźnie i niezmordowanie, po dziesięć, po dwadzieści razy. Więc w maskę cierpliwej życzliwości ułożywszy swoją drobn ruchliwą twarz, zaczyna od początku.

Że przecież trudno wymagać, żeby Jan, żeby poseł Kolasiewicz ci gle myślał tylko o swojej rodzinie, kiedy ma na głowie losy wielu, ba dzo wielu rodzin na Zachodzie, i nie tylko na Zachodzie, w rozmaityc powiatach, dokąd jeździ kontrolować i pomagać... A jednak zawsze pa mięta o swojej rodzinie, właśnie że pamięta, sam nie dojadając, ni dosypiając, tylko każdą chwilę... Tu Waleria aż podnosi się z krzesł drobna, wychudzona po długiej grypie, ale wyprostowana, gotowa d walki o Janowe dobre imię. Bo czyż nie on umieścił Edka w szkole I czyż nie on myśli teraz o posadzie dla Krysi? Czyż nie zaproponow szwagrowi, panu Florianowi, pracy przy odbudowie Warszawy? N

go wina, że Edek marnie się uczy, i nie jego wina, że pan Florian ymasił i zwlekał. A jeszcze co do Edka, to już przecież mówiła, że n, że wujek myśli o pomocy dla niego, o korepetytorze przez całe la-. Bo Edek chociaż ostatnio się podciągnął, a raczej podciągnęli go ledzy, pracując razem z nim, jak to teraz w Ludowej Polsce zapro-adzono w szkołach...

A zresztą, co tu długo gadać! Waleria jadąc do Zazębia nigdy nie zypuszczała, że poseł Kolasiewicz, tak ceniony za swoją pracę przez ery rządzące, tak ceniony, można powiedzieć, przez całą Polskę Lu-wą, właśnie tutaj, w swojej wsi, w swojej własnej rodzinie, jest nie ceniany, bardzo dobre słowo, otóż nie doceniany!

— Przez całą Polskę, powiada pani? A może to tak jest z tym na-ym posłem Kolasiewiczem, że jego opieka sięga daleko, a blisko nie... - wesoło rozlega się spod pieca wyraźnie ubawiony męski głos pana ładka Gabrysia. — Bo jak to powiadają, woda z sikawki dalekim ręgiem ziemię zrasza, ale blisko jest susza! — śmieje się ukazując ielkie, białe zęby w męskiej, wygolonej, suchej twarzy.

Waleria milknie zdziwiona. Bo skądże ten obcy chłop może wiedzieć, to właśnie ona jest jak ta sucha a spragniona ziemia, leżąca bli-o, najbliżej, kiedy Kolasiewicz nieledwie pada z troski o każdą kro-ę parcelanta, o każdy przeciekający dach nad państwowym budyn-em, zabija się o towar dla każdej nowej spółdzielni! Ale dla niej, alerii nie wystarał się już nie tylko o sanatorium w takiej Krynicy, e nawet o jakieś wczasy po długiej przechorowanej zimie. Tutaj ją rzysłał, niby na odpoczynek, a właściwie po to, aby jednocześnie za-twiała jego sprawy...

Więc Waleria dumnie i niezłomnie załatwia dalej jego sprawy. O cóż łaściwie oni mają pretensje? Przecież chyba nie wiedzą, że to nie ty-Jan, ile ona sama, Waleria, stara się o posadę dla Krysi, a już się ystarała o szkołę i o internat dla Edka. Nawet przybyło mu na wa-ze, temu Edkowi! A tyle było gadania, że będzie głodny i że lepiej umieścić na stancji, na własnym wikcie. Z Krysią, jeżeli w ogóle la się coś zrobić, to będzie jeszcze trudniej...

Pietrasowa wyjęła z kołyski dziecko. Wydało się ono Walerii nad-odziewanie duże i dobrze rozwinięte, umiejące już siedzieć i rozumnie trzeć okrągłymi, niebieskimi jak kwiaty oczami. Gotowe jednak do aczu, prężyło się na rozłożystych piersiach matki, to znowu nieru-omiało, zapatrzone w Walerię.

— Słyszysz, syńciu? — Pietrasowa podrzuca je w swych silnych, ielkich rękach. — Słyszysz, Feluniu, wujko Janek chce nam tu przy-

słać korepetytora, żebyśmy mieli o jedną gębę więcej do karmienia, i żeby twoja mamusia miała jeszcze więcej roboty... Żeby przypadkiem nie siadła z założonymi rękami! Prawda, syńciu? Powiedz pani, że ty nie chcesz korepetytora! — sepleniła naumyślnie, niby to nie mogąc wymówić trudnego wyrazu: — kolepetytola, kolepe, kole...

Reszta tonie w pocałunkach, w czułych pomrukiwaniach, w jakichś specjalnych sztuczkach, które tylko matka umie wymyśleć dla zabawienia swego dziecka. A przede wszystkim w wybuchu końskiego śmiechu pod oknem i hałaśliwej wesołości Adeli, tej brzydszej z dwóch dziewczynek. Nawet milcząca dotąd Marysia, ta ładniejsza, a może i bardzo ładna, wstydliwie jakby zasłania roześmianą twarz łokciem, trzepocząc ponad nim długimi rzęsami. Wiadoma rzecz, nie ma co ukrywać prawdy, wszyscy tutaj bawią się kosztem Walerii, i trzeba przyznać, że bardzo dobrze się bawią!

Ale i Waleria już znowu nauczyła się czegoś nowego. Że najlepiej będzie z nimi raz tak, a raz inaczej. Raz cierpliwością, a raz: dosyć tego!

— Dosyć tego! — powiedziała może trochę za głośno. — Pani przekręca każdą moją myśl, to znaczy myśl pani brata, a potem pani, potem państwo macie jakieś pretensje... Przecież nikt nie chce tego korepetytora zwalać pani na kark, tylko brat będzie płacił za jego utrzymanie, a on jeszcze mógłby pomóc i Krysi, bo ona także jeszcze musi douczyć się niejednego, jeśli chce pracować w biurze... — wymyśliła na poczekaniu. — Przecież właśnie przyjechałam po to, żeby to wszystko omówić i załatwić! A gdzie jest Krysia? — spytała jakby w poszukiwaniu nieznajomego sprzymierzeńca.

— A no, jak dosyć tego, to dosyć! — odpowiedziała tamta z nieoczekiwaną łagodnością. — To nie będziemy więcej o tym rozmawiały, prawda, Feluniu? A Krysia kartofle przebiera.

— Owszem, będziemy o tym rozmawiały! — Waleria od razu wpada w ten sam ton, na wesoło. — Po to przyjechałam, żeby to wszystko omówić i załatwić... I nie wyjadę, aż załatwię! — kończy już całkiem wesoło.

— A no, jak tak, to będzie pani naszym gościem, tylko nie wiem czy się pani tutaj spodoba u nas, bo jest po wiejsku, jak to powiadają... O, Felunio daje pani buzi, ooo, jak to on do pani, on do pani, ty mój najśliczniejszy, ty mój złociutki...

Waleria posłusznie podstawia przywiędły policzek pod zaślinione małe usta i wdycha zapach małego dziecka. Czuje przy tym pewne odprężenie, jakby złagodniało powietrze tej obcej izby, pełnej ironicznych

ojrzeń i prześmiechów. Bądź co bądź jest tutaj w rodzinnym gnieździe Jana, jest niejako jak swoja... — Ale gdybym nie była „swoja", by wystarał się dla mnie o porządne sanatorium, jak dla innych! — omyślała znowu.

Pomimo wszystko gorącym szczęściem zalało ją poczucie, że jednak jest mu jakoś „swoja", jakkolwiek tak często drażni go troskliwością, a zwłaszcza gadaniem. On już jest taki, że właśnie o swoich e dba! Ale cóż stąd? Za to ona dba! I z tymi tutaj także dojdzie do orozumienia, bo przecież umie z ludźmi. Jeszcze nigdy tak nie było, eby nie doszła do porozumienia...

Tymczasem tamci jakby zapomnieli o niej. Gadali teraz o swoich prawach, jej nieznanych, gadali mową taką prędką i takimi skrótami, e niewiele rozumiała. O paśnikach i nadziałach, o pastuchach i krach. Poczuła się samotna, bardzo zmęczona i głodna. Tęsknie spoglądała na piec, ale był zimny i nic nie wróżyło rychłego obiadu. Dziewczynki jadły w kącie, co im tam dała babka, i wciąż albo wychodziły, bo wracały do izby, posyłane z czymś czy po coś, z opałką, z koszem czy płachtą. Pietrasowa pierze w niecce pieluchy Felunia i dalej gada panem Władkiem.

Waleria coraz bardziej zmęczona znów opadła na swoje krzesełko żeby czymś się zająć, sięgnęła do torebki i zaczęła machinalnie „robić" sobie twarz. Ale zaraz poczuła dotykalne jak ukłucie, nieżyczliwe ojrzenie starej Kolasiewiczowej, która zbierała się teraz do obierania artofli.

Ręka Walerii, już trzymająca pomadkę do ust, cofnęła się z powrotem u torebce. — Może to panią razi? — ze sztuczną swobodą zaczęły blade usta. — Bo tutaj u was na wsi na pewno nie ma zwyczaju...

— Nieee, dlaczego? Tu na wsi, niedaleko miasta, też i ondulację sobie robią, i nawet niektóre malują się, ale młode!

— A czy to młodym potrzeba się malować? — niefrasobliwie zaśmiał ię pan Władek spod pieca. — To właśnie dopiero wtedy jest ważne, iedy się jest już w latach, no nie? Niechno pani nam powie, jak to tym jest! — i wbrew treści złośliwych słów przygląda się Walerii pewnym upodobaniem. Adela śmieje się już prawie jawnie. Marysia wstydliwie chichocze, mrużąc swoje śliczne oczy ponad zgięciem łokcia.

— Jakaż ona ładna! A ja to rzeczywiście muszę teraz pięknie wyglądać! — z ukłuciem w sercu pomyślała Waleria. A głośno powiedziała, akby jeszcze nie rezygnując z siebie: — Pan to musi być miły i uprzej-

my dla kobiet, panie Władku, panie Gabryś... — przypomniało się jej słyszane tu już kilkakrotnie nazwisko.

— A po cóż ja mam być miły i uprzejmy dla kobiet? Mnie wystarczy, jak kobiety są dla mnie miłe i uprzejme — odpowiedział bez namysłu, swobodnie i trochę zaczepnie. — I znowu wydało się Walerii, że chyba trochę mu się podoba. Ale cóż z tego!

Rzeczywiście, niewiele było z tego! Wyczerpana i głodna, ze smętną miną przyglądała się, jak spod rąk starej Kolasiewiczowej obrane kartofle z pluskiem wpadają do szaflika. W kuchni było teraz cicho i sennie. Felunio znowu spał w kołysce przy monotonnym mruczeniu Marysi. Adelę wyprawiła gdzieś matka z koszykiem i pogadywała niegłośno, nie przerywając prania. Pan Władek słuchał obojętnie i milczał. Patrzał na noski swoich długich butów z cholewami, na daleko rozstawionych nogach.

Spojrzenie Walerii zatrzymało się teraz na Kolasiewiczowej, pochylonej nad swoim szaflikiem. — Musi być bardzo stara, na pewno starsza ode mnie! — pomyślała żartobliwie a gorzko. Chociaż trzyma się jeszcze zupełnie prosto, ale jest blada bezkrwistą bladością starych, którzy wyglądali, jakby nigdy nie wychodzili na słońce. Zapadniętymi wargami porusza w starczy sposób ni to coś żując, ni to mówiąc do siebie bezgłośnie.

— Co to ona tych kartofli musiała naobierać się w życiu! — rozczuliła się głodna i zmęczona Waleria nad starą matką Jana, patrząc na jej węzłowate, pokrzywione palce, jak wprawnie chodzą, jak zwijają się w tym obieraniu.

— A dzieci ileż jej poumierało! Jan był z rzędu któryż to? — usiłowała sobie przypomnieć i nie mogła. Natomiast pamiętała słowa Jana o matce, mówiące jak to było dawniej, w jego dzieciństwie, a w młodości tej matki: — Albo na warsztacie stukała, albo obierała kartofle: albo warsztat, albo kartofle!

Wzięła z okna pół złamanego noża i przysiadła się ze swoim krzesłem, żeby pomóc w obieraniu, żeby jakoś złagodzić swoją obcość. Stara kobieta nie zareagowała na to ani tak, ani owak

— Pani to pewnie nie umie obierać! — powiedziała Pietrasowa, nie odwracając się od swego prania. Tamten zachichotał: — Takie panie, to wszystko umieją.

— Jakie panie? — wzburzyła się Waleria. Ale zrezygnowała, i wprost przeciwnie, wesoło zaczęła dowodzić, że umie, że naobierała się masę tych kartofli. Tylko w obozie, to nie, bo tam kartofli nie było...

Nikt nie słuchał. Adela weszła i szeptała z matką, potem mówili o jaimś koniu, że ucieka z paśnika.

Waleria zwróciła się do starej: — Jednak tak prędko obierać jak pai, to pewnie że nie potrafię! — i zaraz dodała przymilnie: — Jan zawże opowiada, jak to pani ciężko pracowała, bo tyle osób było w domu... le on opowiadał, że na warsztacie pani także tkała! A teraz nie ma itaj warsztatu? — obejrzała się wkoło.

Stara jakby ożywiła się trochę. — Eee, warsztat, to dawne czasy, eraz to już nie! — i przez chwilę poruszała bezgłośnie wargami. A nale: — A to syn, znaczy się Janek, mówi o mnie czasem? Bo ja myślam, że jak on taki zajęty cudzymi sprawami, jak pani opowiada, to awet nie ma czasu o matce pomyśleć!

Waleria zaprzeczyła żywo: — Co też pani znowu! Janek, pan Kolaewicz, bardzo często o rodzinie opowiada, a o pani najwięcej! — zaończyła przymilnie i dyplomatycznie. I przez chwilę mogło się zdawać, e to nareszcie chwyciło. Bo zaczęły się jakieś krótkie a niejasne wspoinki o Janku nad pluskającymi kartoflami, niewyraźne gadania o tym, aki to ten Janek był, jak chorował i mało nie umarł, i jak ozdrowiał... jak się uczył, i wszyscy się dziwili!

Waleria przysłuchiwała się uważnie cichemu, niewyraźnemu gadaniu. ż nagle z tego wyszło, że Janek nie bardzo się uczył, ale i tak wszyscy ę dziwili. Bo był bardzo zmyślny do wszystkiego, jeśli tylko chciał...

— Do czego był taki zmyślny?

— A do wszystkiego! — nagle zirytowała się matka Jana. — Jak rlko coś się popsuło, to zaraz naprawił. Silny też był bardzo. Tylko rów nie chciał pasać...

— A widzi babcia! A to czego babcia się dziwi, że my nie chcemy asać? — rozległo się niegłośno, znad stukających biegunów kołyski, eby nie zbudzić śpiącego brata. Rozwieszona nad kołyską Adela parzała wcale nie dziecinnie, ale chytrze i ironicznie. Waleria zaniepoiła się, że przerwane opowiadanie o Janku zaraz się skończy. — No co, i co? Niech pani dalej!

Babka nic nie odrzekła, ale po chwili znowu zaczęła cicho i niewyaźnie. Dopiero dobrze się przysłuchawszy, Waleria spostrzegła, że nad uskiem obieranych kartofli już nie Jan, ale ona sama, matka, znowu st mała i pasie krowy. A przy tym pasaniu uczy się elementarza. — abiz, ślabiz... — mamrocze rozczulona. — Teraz już nikt nie mówi ślabiz"!

— Bo teraz uczymy się nowym systemem, bez sylabizowania... — wyniośle objaśnia Adela znad kołyski. Ale nad kartoflami w niewyraźnym i niejasnym gadaniu już w tańcu powiewa jakaś niebieska wełniana suknia, dwanaście łokci, dwanaście łokci...

Okazuje się, że to babcia już nie pasie krów, i nie uczy się „ślabizu", tylko tańczy na własnym weselu, a korali, a paciorków ma do pasa na wciętym staniku. A jak kraj spódnicy ujmie jedną ręką, to na dole wcale nie znać ubytku! A jak takie cztery pary...

Węzłowata ręka z ułamanym nożykiem niewyraźnie zakreśliła krąg, mający zapewne oznaczać, że tej izby byłoby za mało!

Nikogo to nic nie obchodzi. Tylko Waleria, jak zawsze, jak to Waleria. Znowu się rozczuliła nad starą matką Jana, przymierzając w myśli niebieski wcięty stanik do jej starczo bladej twarzy.

— Ooo, idzie stary Gabryś! — od okna powiedziała nagle Adela. — Panie Władku, idzie pana tatuś!

— Gdzie, gdzie? — zainteresowała się Marysia i zastygła przy oknie, jak do fotografii.

Stary człowiek, trzęsący się i zgarbiony, w czymś długim i ciemnym, przepasanym po wierzchu, i w czapce ze sztucznego baranka, wszedł z nową miotłą pod pachą. Nie patrząc na Walerię ani na syna i mrucząc jakieś powitanie do pani gospodyni, usiadł zaraz na stołku przy drzwiach, najwyraźniej bardzo zmęczony.

— To ten sam, który siedział pod ścianą u Skolinów! — pomyślała Waleria.

WSPOMINKI

Coraz silniej, coraz lepiej mówi stary Gabryś. Wszyscy słuchają. Żeby zaraz potem wspominać o tym strzale, od którego poszło na wieś nieszczęście. O jakim strzale? Ano o tym, co to podobnie padł z okna Domu Ludowego w trzydziestym dziewiątym! To poseł Kolasiewicz pani Walerii nie opowiadał?

Ktoś strzelił z Domu Ludowego, powiadali, z frontowego okna, z facjatki. A Niemcy byli we wsi, więc wpadli zaraz, rewizję zrobili, ale taką, że deski odrywali z podłóg, nikogo nie znaleźli, ale dom spalili, spłonął do cna!

Znowu zawrzało jak w ulu, ale jakoś inaczej. Bo z bezładnych słów to tego, to tamtego, daje się jakoś złożyć, sama się składa groza tamtego czasu. Ludzie uciekali, kryli się, gdzie kto mógł, jedni w stogi

drudzy do lasu. Ale księdza Pawęskiego wzięli z domu, zamordowali, rata starej Skolinowej. I stary Kolasiewicz, ojciec Jana, zginął wte-y, bo do niego z daleka wystrzelili, jak szedł. Głoska całą rodzinę wy-ordowali, żonę i dwoje dzieci, siostrę z dzieckiem, co wtedy u nich yła, i jeszcze tego wychowanka Głoska, co nazywał się Skowronek, e wiersze pisał jako Stasio Razowiec... Zabili, wymordowali wszyst-ch światlejszych ludzi we wsi, co ten Dom Ludowy założyli.

— Co tatuś znowu! — wybucha nagle spór między Gabrysiami, cem i synem. — Razowiec wcale wtedy nie zginął! Zabrali go, to k, ale potem skądeś zjawił się znowu, uciekł im, czy co, a zginąć ginął, ale dopiero w Powstaniu!

Ale stary Gabryś swoje, do syna, żeby tak się nie mądrzył, bo byli cy, co widzieli, jak Stasio Razowiec padł wtedy od strzału...

Kłócą się dalej zajadle. Tymczasem Waleria chciałaby więcej wie-zieć nie tylko o śmierci, ale w ogóle o tym ojcu Jana, Feliksie Kola-ewiczu, o którym Janek owszem, nawet opowiadał, ale niewiele. ednak tamci dalej do siebie krzyczą zaperzeni, i jeszcze jakiś inny nimi, wysoki, przystojny, już starszy chłop, w którym Waleria poz-aje Floriana Pietrasa, i jeszcze jakiś młody, rumiany z jasnym czu-em, i jeszcze jakaś młoda miejska panna w brązowej plisowanej su-ence, w pantoflach na wysokich obcasach i ze strzechą wiecznej ondu-cji na głowie. Po prostu, izba pełna ludzi i gadań.

To piękny a ironicznie przymrużony Florian Pietras tak panoszy się sem, że ten cały Dom Ludowy był do niczego i że jakiś stary zarząd, e można powiedzieć, jeszcze był dobry, ale tamten nowy to już był cale niedobry, bo pieniądze szły a szły na lewo! — Jaki był, ale był! - teraz Władek Gabryś ma pretensję do posła, do Jana Kolasiewicza, dotąd się nie postarał, żeby w jego wsi odbudować po wojnie, ale ś pięknego, prawdziwy Dom Kultury, Dom Ludowej Kultury — Lu-wej! — krzyczy do ojca. A stary Gabryś znowu głową trzęsie, po-zuje Walerii tamte dawne stroje, kawałek po kawałku, i tłumaczy d nimi, że to nie są wcale dawne stroje tutejsze, tylko szmaty, per-le, po prostu resztki i szczątki kostiumów teatralnych z Domu Lu-wego, który Niemcy spalili. Waleria w tym wszystkim musi jednak jpierw wysłuchać starej Kolasiewiczowej, która przekłada, że Dom dowy był dobry i pokazuje, jak to ona sama grała na scenie taką dną Marię.

— No, taką jedną! — i wyrywa z rąk Adeli białą bluzkę, a Marysię pędza od otwartej skrzyni. — Miałam grać na klawikordzie, czy pa-

ni uważa, ale że go nie było, to grałam na harfie, co ją pożyczylim od Cygana na ten raz. I nie umiałam grać, ale zagrałam...

I tylko Aniela Pietrasowa nie bierze w tym udziału, zajęta wtyka niem w małe bezzębne usta Felunia bułki czy obwarzanka z ojcowskiej kieszeni. A Felunio ślini się, i trochę je, a trochę nie je.

— Co tak Gabryś wydziwia nad tymi szmatami! — znowu dudn bas Floriana Pietrasa. — Przez te szmaty, to Gabryś był czerwonym Gabrysiem, socjalistą, i nie raz, i nie dwa razy, socjalistą na scenie Bo w życiu, to co? Dworskim się było, to z dziedzicami się trzymało no nie? A we wsi z najbogatszymi, jak i teraz, panie Gabryś, co? Mo że nieprawdę mówię? Żyć trzeba!

Więc Waleria ogląda się za Gabrysiem, i nadziwić się nie może, ż z początku wzięła tego Gabrysia za biednego, nic nie znaczącego dziad ka, a on umie i wierszem, i już nieraz na scenie był socjalistą! Tera wcale się nie obraża. Znowu zgarbiony i trzęsący się tłumaczy, ż dzisiaj we wsi żadnych bogaczów nie ma, tylko średniacy, tacy sam jak Pietras. A co do tego paśnika, to jeszcze tak wyjdzie, że Pietraso wi też odbiorą, i jeszcze tak wyjdzie, że i szwagier nie pomoże, co jes posłem w sejmie...

Waleria teraz musiałaby się chyba w kawałki rozerwać, żeby co zrozumieć! Bo rzecz idzie o średniakach. Jakiż to średniak z Floriana Gdyby nie zarabiał murarką, gdyby nie chodzili szmat drogi codzien nie, po pięć kilometrów do kolejki, z tym oto — wskazał na milczące go, nadąsanego syna, który ciężko jak stary siedział na ławie po oknem, z wyciągniętymi przed się nogami — to z czego by wyżyli, mo że z tych górów a piachów?...

— Prawda, syńciu? — niespodziewanie zwraca się do najmłodszeg na rękach matki, i z żartobliwą a głęboką czułością ogromnymi ciem nymi palcami ujmuje jego malutką brodę. — Chodź taty, chodź taty!— i bierze go z rąk żony, ostro dopominając się, żeby nareszcie dawał kolację. Więc Aniela Pietrasowa chmurnie poszła do garnków, prz których gospodarzyła już od chwili stara.

*

* *

Zamiast herbaty niestrudzona Waleria zapragnęła jednak iść obej rzeć dwór, korzystając z tego, że tam wybierał się stary Gabryś, naj widoczniej uznawszy, że już dosyć tu się nasiedział, napatrzył i na słuchał.

— Dwór obejrzeć? — szybko skrzyżowały się spojrzenia za jej ple-ami. — A dobrze, niech pani idzie! Tymczasem przygotuje się noc-g, o tutaj... — rozwarły się nagle drzwi do drugiego „mieszkania", ejącego stęchłą pustką w przeciwieństwie do nagrzanej, pełnej opa-ów izby. Pościele się bratowej, będzie tu miała dobrze, a jeśli coś bę-zie nie tak, to musi wybaczyć...

Waleria, jak to Waleria. Wybaczyć? To raczej ona powinna przepro-ć za to najście, za kłopot, jaki sprawiła! Uściskałaby ich wszystkich, ełna jakiejś uszczęśliwionej wdzięczności, jakby jej ktoś podarował samą, Walerię Jaśtak. Już ona potrafi tak im się odpłacić, żeby tym nie wiedzieli, na rachunek Jana, a na rachunek swój tak, żeby tym wiedzieli...

— No idziemy, panie Gabryś, idziemy... — i ze zdziwieniem widzi ż przy sobie śliczną, szeroką a trójkątnie zwężoną ku małej brodzie warz Marysi, z trzepoczącymi rzęsami. Przymilnie czuje małą jej rę-ę na swoim łokciu.

— Idźże, idźże! — ofuknęła ją duża siostra Krysia, i sama po miej-cu ujęła Walerię pod ramię. — Poprowadzę panią, bo ja tu znam każ-y krok!

— Idziemy! — jeszcze wołają na starego Gabrysia, który szepcze ś z Florianem o wapnie, o dachówkach. Także już wychodzi. Teraz nie przodem. A za nim o krok jakby czai się Adela. Ale Waleria niej także czuje już „swoją". I tak wybiega, otoczona, na drogę.

LICZYLI, MIERZYLI

— To na dworze jeszcze tak jasno? — Waleria Jaśtak przystaje raz za płotem, ogarnięta przedwieczorną świeżością i spokojem po ciełku nagrzanej izby, pełnej gadania. Oddycha głęboko, zachwycona ombinacją już omglonego błękitu i różowości zachodu. Tak samo ęboko oddychała, tak samo się cieszyła cudownym powietrzem... Kie-yż to było? Dziś w lesie, po drodze z miasteczka, kiedy się zatrzymali. więc to wciąż jeszcze trwa ten sam dzień?

— A w mieszkaniu zdawało się pani, że już się ściemnia? Teraz zień spory! — Krysia lekko pociąga Walerię, która jeszcze rozgląda ę w błogiej kontemplacji. Czerwony blask zachodu wpada przez czerby w rzędzie domów po tamtej stronie drogi i rozżarza tu i ow-zie okna w domach pod lasem. Na drodze pusto, ale po obejściach ełno przedwieczornej krzątaniny, gadania, ruchu. Ktoś się śmieje,

ktoś nawołuje, świszcze bat, stuka jakaś maszyna, ryczy krowa i nagl urywa. Słychać walenie siekiery.

— To hojdałkę na święta stawiają u Masztakowskich! — objaśnia Adela.

— Tak? To tu na święta stawiają hojdałki? — dziwi się Waleria.

— U Woźniaków już postawili! Ale u Masztakowskich zawsze naj wyższa... — Marysia poucza ją poufnie, a zarazem wstydliwie, al Adela dodaje rzeczowo, że nie wszyscy stawiają hojdałki, tylko jak kto chce. Więc Waleria znowu się dziwi, że hojdałka jest najwyższa u kogo to? Usiłuje sobie przypomnieć już słyszane nazwisko.

— O tam, u Masztakowskich! — Adela wskazuje ręką za siebie A tam istotnie widać wysokie słupy na wzniesieniu pod lasem. Tera Krysia znowu pociąga lekko trzymaną pod rękę, rozglądającą się Wa lerię. — O, widzi pani, tam gdzie las się kończy, skręcimy w lewo... — objaśnia poważnie. Chyba jeszcze ani razu się nie uśmiechnęła.

A z Walerii jakby opadał jakiś czad. Nagle robi się spokojna a swo bodna jak wytrawna wychowawczyni na wycieczce, otoczona młodzie żą. — Czyż nie tak należało od początku? — przelatuje jej przez myśl i zaraz sama sobie odpowiada, że widocznie od początku była taka jak trzeba, skoro przyjazd się udał. Teraz wsparta na Krysi, z trudem wy ciąga nogi z piachu. Żeby było lżej iść, zaczyna na wesoło:

— No, chyba już wszystkich was poznałam! A tam w domu był tyle osób, że doprawdy trudno... — zapomina, że jeszcze trudniej był wtedy, kiedy osób było mniej. — Ale gdzież jest nasz pan Gabryś? — woła w kierunku zgarbionych ciemnych pleców, oddalających się z prędko w przejrzystym, lekkim zmierzchu. I zaraz wraca do tamte go: — Więc dobrze, po kolei, więc najstarszy Józio... — liczy na pal cach. — Będzie miał już chyba koło dwudziestki? Pracuje w Warsza wie przy budowie... A po Józiu Krysia!

Małe wpadają momentalnie w ten sam ton. — Tak, dwadzieścia ju skończył, a pracuje nie przy żadnej budowie, tylko przy gruzach! Al on chciałby do budowy... Nie, po Józiu idzie nie Krysia, tylko Albin Albin będzie miał dziewiętnaście... — gadają na wyścigi, zabiegają z przodu drogę, odganiane przez Krysię.

— Aha, Albin, prawda! Zapomniałam o Albinie! To ten co nie sły szy? Opowiadał mi wasz wujek...

Marysia chichocze: — Albin? Albin wszystko dobrze słyszy! Oh Albin...

— Albin doskonale słyszy, na milę! Każdy chciałby tak słyszeć, ja

lbin! — po swojemu ironicznie mądrzy się Adela, i nie wiadomo, zy trzyma z Albinem, czy ma coś przeciw niemu. — Albin jest nie-owa! — kończy ni to urągliwie, ni to ze współczuciem.

— Albin podobno był najzdolniejszy z nas wszystkich dzieci... — pokojnie objaśnia Krysia. — Dziewczynki, nie zabiegajcie tak przed nią, zupełnie nie dajecie iść! Albinowi dopiero w trzydziestym dzie-iątym tak się zrobiło, od tych huków, od śmierci dziadka, od Niem-ów... A dwoje naszego rodzeństwa wtedy nawet umarło, podobno na karlatynę, ale nie wiadomo, Florian starszy i dziewczynka Felunia.

— A właśnie, że Florian był młodszy, a Felunia starsza! — zaja-le a triumfalnie rzuca się Adela. Właśnie, że ty nie wiesz, bo na pew-o Felunia była starsza! — hałaśliwie spiera się ze starszą siostrą.

— Ty przecież nie pamiętasz!

— A ty źle pamiętasz, bo ja mówiłam z babcią...

Krysia odsuwa ją ruchem ręki i zaczyna o sobie. Jest trzecią z rzę-u, ma osiemnaście lat, i chce, co to znaczy chce, po prostu musi na-czyć się pisać na maszynie, bo bez tego nie dostanie się do żadnego iura. Chyba na jakąś taką już najpodrzędniejszą... Dowiadywała się, ą takie kursa trzymiesięczne, więc chodziłoby tylko o mieszkanie Warszawie. — Niech pani trochę więcej na lewo, to będzie twardziej!

— ...o mieszkanie w Warszawie? Bagatela! — myśli Waleria. — an już wspominał, żeby wziąć tę Krysię na trzeciego do pokoju, ale przecież byłaby okropność! — a głośno postanawia: — Pomówimy tym, ale nie teraz, jutro!

— Doskonale, jutro! — pogodnie zgadza się Krysia. — Ja już pi-ałam do wujka... Bo przecież mnie chyba nie przyjmą tam gdzie Edek?

— Jasne, że nie przyjmą! — Waleria znowu ucina. Nie chce w tej wili zastanawiać się, nie chce mówić o Edku, za którego sprawami obrze już się nabiegała. O nim wie już wszystko, aż za dużo! — gdzież jest nasz pan Gabryś, już go nie widać...

— Niech pani się nie boi, on nie zginie! A Edkowi podobnież źle dzie nauka? Pani mówiła do mamusi... Ja zawsze mówiłam, że on cale nie jest taki zdolny! Ja mam dopiero jedenaście lat, dwanaście kończę we wrześniu...

— Czekaj, czekaj, Adela, nie zabiegaj, idź spokojnie! Co do Edka, roszę pani, to że nauka nie bardzo mu idzie, to w tym jest także tro-ę winy rodziców... — spokojnie, powściągliwie mówi Krysia. — Na wo, proszę pani, tam jest mniej rozjeżdżone!

Przerywany rząd domów prawie że się urywa. Nieopisaną świeżością tchnie przedwieczorny powiew, przynosi głosy zwołujące kury jakieś lamenty o kury, jakieś kłótnie o kury... Walenie siekierą ustało. Słychać śmiechy gdzie indziej, gdzieś daleko.

— Misiakom znowu zginęły dwie kury, pewnie lis porwał! — słodko wzdycha Marysia. Ale zaraz Adela chichocze złośliwie, że z kurami to więcej kłopotu, jak czego! Nie wierzy w żadne lisy. Zatrutego zboża sypnie ktoś, i już! Rozgląda się: — Władka Gabrysia, jak się śmieje, to słychać o milę...

Przez chwilę brną w milczeniu. Rzeczywiście słychać jakiś śmiech męski, jakby coś znajomego, ale ledwie, ledwie. Tymczasem starego Gabrysia ani śladu dokoła. Aż dziw, że tak prędko lata! Przecież musi być już bardzo stary?

— Oho, każdy by chciał tak prędko latać jak dziadek Gabryś! — po swojemu złośliwie mówi Adela. — A młody, to zawsze pierwszy do Masztakowskich, żeby hojdałkę stawiać, o, słyszy pani? A i bez hojdałki pierwszy do Ireny...

— Nie plotkuj! — surowo karci ją starsza siostra. — No, teraz już skręcamy, i już!

Waleria znowu swoje: — Więc Józio, Albin, Krysia, Edek...

— I ja! — wyskakuje Adela, od razu z przemądrzałej robiąc się dziecinna. — Teraz ja, teraz ja! Mam jedenaście lat, a siedemnastego września skończę dwanaście i będę w siódmej klasie... A Marysia ma dziesięć i jeszcze nie wiadomo, czy przejdzie do czwartej, bo pani powiedziała...

— Co wydziwiasz nad nią! — teraz już na dobre oburza się Krysia. — Przecież wiesz, że chorowała...

Przystając odgarnia z cieniutkiej szyi małej siostry piękne, popielate, trochę kręcone włosy. Marysia nie gniewa się na Adelę. Przymyka śliczne oczy i stoi nieruchomo, jakby lubiła, kiedy oglądają małą szramę na szyi.

— A po mnie, to już idzie tylko Felunio... — szepcze słodko, jakby nie miała nic do powiedzenia o sobie, tylko właśnie raczej do pokazania.

— Felunio to nasz najmłodszy, beniaminek, pociecha nas wszystkich! — z niespodziewaną aprobatą wygłasza najstarsza siostra. — Pani nie ma pojęcia, jakie to mądre dziecko! Z Felunia, to ja już się postaram, żeby zrobić na prawdę kogoś! — kończy poważnie, patrząc zbliska w twarz Walerii swymi młodymi, poważnymi oczami, jakby

hciała już zapewnić sobie pomoc w tym robieniu „kogoś" z najmłodszego brata w kołysce.

Waleria przystaje jakby wystraszona, a literalnie oblepiona przez wszystkie trzy siostry. Wzdycha: — Ależ to daleko! Gdybym wiedziała, że to tak daleko... A naszego pana Gabrysia dalej ani śladu!

— Niech się pani nie boi, znajdzie się! Wszystkiego nie będzie nawet kilometra drogi... Właściwie, już jesteśmy! — i Waleria dopiero teraz spostrzega, że od dłuższej chwili idą wzdłuż żywopłotu ze świerków czarnych a starych, a na swoją starość nie dość wysokich, powykręcanych i okaleczałych, ale stojących jeden przy drugim, jak ściana.

Tam skręcają, gdzie się ta ściana urywa, koło topoli grubych i wielkich jak świat, a brzydko poobłamywanych. Potem koło wody zielonej stojącej. I nagle przed nimi wyrasta coś, co dawniej było bramą: dwa ceglane słupy, wysokie, grube i mocne, i dwa niższe, oznaczające, że tu były dwie furtki po obu stronach tej nie istniejącej, więc symbolicznej bramy.

Od razu za tą bramą roztacza się inny świat. Na lewo podwórze dworskie, puste i rozległe, tak rozległe, że aż ginące gdzieś z oczu razem z rozproszonymi po nim zabudowaniami, ziejącymi pustką.

Stary Gabryś jakby spod ziemi wyrósł, Waleria widzi tuż przy sobie jego nieprzeniknioną, niechętną, starą twarz. Zaprasza ją na prawo, pomiędzy wielkie drzewa, pomiędzy poobłamywane klomby krzewów, w zakręt szerokiej alei wjazdowej. I już Waleria stoi na rozsypanej słomie i śmieciach, a przed nią, powyżej, za kamiennymi baszkami, za czterema kolumnami z przedwieczornym gwarem bawi się kilkoro dzieci, ganiając śród kojców, koszów, pak, i czegoś nieokreślonego, rupieci jakichś.

To taras dworu, ciągnący się wzdłuż całego frontu, a w środku poszerzony obszernym gankiem, wystającym i wspartym na owych czterech kolumnach. Po jednej stronie trzy okna wychodzą na taras, machinalnie liczy Waleria. I po drugiej trzy... Okna daleko od siebie, potoje muszą być wielkie! Ale zaraz, bo to i szczytowe ściany pewnie będą długie!

A nad gankiem, tuż blisko jedno koło drugiego, migocą szybami trzy okna w wystającej, wspartej na kolumnach facjacie. Ach, co ten Jan się nawykłócał z ludźmi o ten cały dwór, żeby coś w nim urządzić! — Ludzi brak, do wszystkiego ludzi brak! — krzyczał.

— A Waleria Jaśtak to pies?

* * *

— No to może teraz pójdziemy do tej świetlicy? — niechętnie pro-ponuje stary Gabryś. Od prawej szczytowej strony już weszli po schodach na werandę, niezbyt wielką, półokrągłą jak muszla w jeszcze bezlistnych badylach dzikiego wina. Tu się okazało, że drzwi zamknię-te i że nie ma klucza. A u kogo jest ten klucz?

— A no... — niewyraźnie coś tłumaczył, zaczął wołać, hukać w nie-określonym kierunku. Nikt nie odpowiedział, więc sam poszedł powo-lutku na poszukiwanie.

Dziewczynki rozbiegły się i przez chwilę jeszcze migały z daleka wśród innych dzieci, już jako któreś z nich, wreszcie znikły. Wszystko rozpierzchło się, rozleciało w niepewnym oświetleniu, ni to jeszcze od zachodu, ni to już od księżyca, prawie że w pełni.

Waleria sama jedna obchodzi dwór. Pięknie bo pięknie, ale jakże obco! Ta półokrągła boczna werandka chyba najbardziej podoba się Walerii z tego wszystkiego. Chociaż, z drugiej strony, prześliczny jest ten długi frontowy taras z gankiem na kolumnach. Stąd i stamtąd idą aleje, długie a wycięte niby tunele w przezroczystym gąszczu, pewnie grabowym, bo niby w koronce, kładącej się taką drugą koronką cienia na księżycową jasność. Między alejami, a chyba aż do tamtych czar-nych świerków przy drodze ciągnie się sad, wiśniowy sad, śliwkowy i jabłkowy, i gruszkowy, i jaki jeszcze? Drzewa jeszcze gołe, ale Wa-leria Jaśtak już jakby chodziła w owocach.

Robi się chłodno. I już trochę za długo tego czekania. A tam daleko w tamtej innej stronie czyżby już drzewa zaczynały kwitnąć? Czy księżyc może je bieli? Jakiś ptaszek odzywa się cicho i cienko, wcią-na tę samą nutę. A może to nie ptaszek, tylko coś innego?

Dreszcz śmiesznymi igiełkami przebiega po Walerii. Słychać ja gdzieś na wsi pies szczeka, powoli i z rozmysłem. Inny mu odpowiada. Słychać też dalekie głosy ludzkie, nawet śpiewy. Ale wydaje się, że ta wieś jest gdzieś na innym świecie, choć leży tuż za sadem, za ni istniejącą bramą, za ścianą ze świerków. Tu jest świat szczęścia bo-gatych ludzi! Pięknie bo pięknie, nie można powiedzieć, ale Waleri nie przywykła do takich wspaniałości i najwidoczniej nie ma dla nic serca. Rozgląda się, zaczyna się niecierpliwić. Ten księżyc, to jak lód

Jest cicho, pusto, zimno. Jest jasno i ciemno, i uroczo aż do żałości I obco jak na cmentarzu. A o Walerii Jaśtak wiele rzeczy można po-

wiedzieć, tylko nie to, żeby lubiła cmentarz o księżycu! Na szmer kro-ów za drzewami nie odwraca się, tylko nieruchomieje. Boi się nawet detchnąć.

— Czy tam nie ma nikogo we dworze? Wszystko stoi tak pustką?— wreszcie pyta nieswoim, ochrypłym głosem, kogoś wielkiego, w butach w kaszkiecie, kto jak spłoszony nagle wybiega z cienia. Krysia też est, tuż za nim!

— To jest pan Jankowski, on tu mieszka we dworze... — Krysia iepło i czule otacza Walerię ramieniem. — A pani zimno? To jest, nie we dworze, tylko tam we czworakach... — tłumaczy niepewnie, głoem jakby zdyszanym. A tamten wysoki, zamiast odpowiedzi, przywouje kogoś cicho i świszcząco:

— Kobus, Kobuś, a chodź no tu!

Zupełnie skąd inąd wynurzył się i podchodził niechętnie młody człowiek, niski, z okrągłą twarzą pod czarną szczotką włosów. Odpowiedział od razu, jakby słyszał pytanie z ukrycia:

— A kto ma być we dworze? Przecież to wszystko tak stoi... Powiada pani, że pustką? Jeszcze dobrze, że w ogóle stoi!

Więc Waleria już bez strachu usiłuje przecież zajrzeć do wnętrza, choć przez okno. — A nie można by tego jakoś wykorzystać? — zapytuje niepewnie:

— Chyba, że by można! Już nieraz mieli! Na przykład na szkołę olniczą z internatem... Przyjechali we dwa auta, chodzili, liczyli, nierzyli...

— No i co, nic nie wyszło?... — Waleria pyta niepotrzebnie, byle rozmowę podtrzymać.

— Ja wiem? A może ty, Jankowski, wiesz? Powiadali, że lokal nie adaje się, że by trzeba przerabiać, za drogo, mówili, bo to i remont lo tego...

Milczenie. Tylko Jankowski rytmicznie postukuje pręcikiem o baski. Na wsi psy poszczekują. — Szkoła dla instruktorów także miała yć, z internatem podobnież... — znowu zaczął Kobus.

— No i co?

— A nic! Tyle, że znowu przyjechali, chodzili, mierzyli... — nie kończy, bo stary Gabryś wyłania się z krzaka, jakby ścieżka szła tamtędy. Pobrzękuje kluczami. Czyż to możliwe, żeby stary Gabryś mógł nie wiedzieć, że główne drzwi frontowe są zabite na głucho?

* * *

Długo mocował się z drzwiami. W końcu trzeba było obchodzić dor naokoło poprzez pasy tajemniczego mroku, poprzez połacie światła chłodnego i przejrzystego jak woda. Od tego, co gadali, wcale nie ro biło się Walerii cieplej! Niczego tutaj nie ma, a oto miało być wszyst ko, nawet żłobek dla dzieci i poradnia dla matek...

— Ale że znowu lokal za duży, to poradnia i żłobek nie zajęłyby wszystkiego, to reszta by się marnowała!

— To lepiej, żeby marnowało się wszystko, no nie? — zaśmieli si złowrogo, aż Walerię znowu opadł ni to strach, ni to smutek. — Mie liśmy iść do świetlicy... — przypomina staremu Gabrysiowi. Ale o jak przedtem zwłóczył, tak teraz jakby się zawziął na Walerię. Tylny jakimś przejściem nieledwie ją wciąga w stęchły mrok pustki. — O jak to tu jest! — powiada nieledwie z triumfem.

Zrezygnowana, Waleria porusza się na wpół po omacku, ale po chwi oswaja się z ciemnością. Wielka kuchnia, czy piekarnia bez pieca, śp żarnia bez półek, okna zabite do połowy dyktą, kupy czegoś na podł dze. — Ale desek jeszcze nie wyrywają! — przemknęło jej przez gł wę doświadczoną myślą. — Kafle i klamki już...

Znowu cofa się w jakieś sionki, sienie, korytarze, ale wciąż słyszy że tamci gdzieś blisko dalej gadają, śmieją się między sobą, i kln Nagle otwiera jakieś drzwi wysokie, przez pierwszą chwilę widzi ty ko trzy okna, całe zalane księżycowym światłem, i drzewa jeszcze nag a czarno wrysowujące się w białe niebo tej nocy. Tylko w ostatni oknie jedna gałąź mgli się młodymi listeczkami...

* * *

Tak więc w Walerię Jaśtak jakby coś wstąpiło. Wzruszenie znaj me, cudowne, choć trochę straszne. Jakby prąd od kosmyków żółtaw siwych na głowie do obcasów wykrzywionych pantofli. Jak już nie j den raz w życiu! Jakby te włosy dalej były lśniące złotem, srebrem platyną, wszystkim drogocennym, co jest jasne i lśniące. I jakby ja dawniej dbała o pantofelki, żeby nie dopuścić do wykrzywienia obc sów. Taki sam cudowny prąd siły i ochoty do życia, który kazał j wtedy skakać, śmiać się i tańczyć, gdy porzucona przez męża Onufr go Jaśtaka, z matką Biernacką i z małą Halinką na karku, miała ca świat ubarwiać kwiatami haftowanymi na koślawym krześle, pr

knie cudzej kuchni. Albo gdy potem miała cały świat zalać słodyczami z budki - sodowiarni przy moście Poniatowskiego. I jeszcze, kiedy na dygocących deskach swego bufetu na statku miała pokochać Wisłę, zielone brzegi, zielone nurty, wszystko, wszystko, kontrolerów, kapitanów...

Ale po cóż wspominać tamte dzieje, takie rozmaite, w bujnym życiu Walerii. Myliła się, więc cóż z tego? Zawsze było tak samo, ilekroć zaczynała nowe życie, tak samo jak teraz tutaj, w świetle księżycowym...

— Bójcie się Boga, ludzie! Toż tutaj mogłoby być po prostu wszystko!

Jej zmęczone oczy zaokrąglają się ze wzruszenia, od razu rozbłysłe, jakby już widziały: estrada, na estradę wchodzi się bocznymi drzwiami... Ale co tam odczyty, pogadanki! Prawdziwy teatr dla wsi okolicznych, z bezdroży, z piachów, teatr ochotniczy! Zebrałoby się najdolniejszych, zrobiłoby się zespół...

— A no ja właśnie mówiłem! — rozlega się w pustce dudniący, ale obcy, obojętny głos Władka Gabrysia. — Przydałby się Dom Kultury, inne rzeczy też, poseł nawet obiecywał...

Waleria ma już dość. Nie chce słuchać, co obiecywał, a czego nie spełnił poseł Kolasiewicz. — On ma dziesiątki, on ma setki takich dworów na głowie! — podniecony jej głos rozlega się z coraz to innej strony wielkiej sali, obcasy coraz prędzej stukają gdzie indziej, oczy przerażają: — Cała ściana mokra! I w kącie wilgoć... Grzyb?

— Grzyb nie grzyb! — z rozmysłem zaczyna stary Gabryś, widocznie niezadowolony ze zmiany, jaka w niej zaszła. — Grzyb to tu podobnież jest... — i nagle rozświetlił brudnożółtą mapę zacieków na suficie. Aż dziw, Waleria nigdy by nie pomyślała, że ten stary ma taką świetną latarkę elektryczną. Jakby ze złośliwym triumfem trzęsącą się ręką wodzi teraz snopem światła po pęknięciach muru, po szczerbach, po ogołoceniach... Aż pewna ręka syna odbiera mu tę latarkę.

— Co tatuś! — i robi się jakoś tak, że w młodej ręce Władka ten sam klin ostrej jasności wydobywa właśnie piękno ze świecących tafelków posadzki, z kunsztownego obelkowania sufitu, nawet z samej proporcji wysokich okien i szerokich murów.

Waleria dobrze widzi i tamto, i tamto, i jeszcze coś innego: — Przecież tu rynny oberwane! — przypomina sobie. — Tu już w ogóle nie ma rynien, dlatego dach przecieka!

Z zadartą głową biega po sali, wciąż jeszcze przyglądając się sufitowi. Dziw, że się nie przewróci na tych swoich wysokich, a wykrzy-

wionych obcasach, bo i piękna posadzka tu i ówdzie garbi się wybrz
szeniami wilgotnych deszczułek. I nie wiadomo, kto ma większą uci
chę, czy ci wyglądający i gadający z mroków sieni, czy ci, co zgrom
dzili się pod oknami, z nosami rozpłaszczonymi o brudne szyby, żeb
lepiej widzieć Walerii ręce w powietrzu, Walerii prawie białe włos
fruwające dokoła zadartej twarzy, całą Walerię w rozpaczy, w n
tchnieniu, w złości, w zachwycie, w księżycu...

— Żłobek... — słychać spokojny, rozsądny głos Krysi Pietrasówn
— żadna kobieta tu by dziecka nie oddała, raz że z drogi, a po drugi
że nie miałaby czasu przebierać się, przychodzić karmić...

Ktoś odpowiedział cicho coś, z czego się wszyscy roześmieli. Tyn
czasem stary Gabryś mocno odciąga Walerię, która chce lecieć n
strych, obejrzeć, w jakim stanie są dachówki. Zaczyna się dłuższ
opowieść, ale Waleria nie słucha, bo wie swoje: najważniejszy je
dach! To będzie najkosztowniejszy remont!

Więc wyrywa się, biegnie po jakichś schodach, ale zamiast na stryc
trafia do tego trzyokiennego pokoju, który od razu przyuważyła, ledw
stanęła przed dworem. Tuż za nią gramoli się stary Gabryś post
kując i dysząc. Mamrocze, że z dachówką to najgorzej, bo jak ma ta
być, to najlepiej rozebrać i sprzedać tym, co nie mają, a nie żeby ta
miało stać i marnować się, na śmiech i na złość ludziom....

Ten trzyokienny pokój rzeczywiście jest duży i odrapany. Je
w nim pusto, duszno i ciepło, pachnie kurzem, słomą... Waleria sta
przy oknie. Jest właśnie takie, jakie jej wydało się z dołu: dług
i wąskie. Na brudnych szybach pełno zeschniętych, zeszłorocznyc
much w pajęczynie. Widać stąd drzewa sadu, jeszcze jakieś drzew
a może dachy wsi, a dalej pola...

— Tam chodzili ze dworu się kąpać, bo tam rzeka w krzakach
Mieli takie swoje miejsce, że nikt, tylko oni!

Drgnęła. Zupełnie zapomniała, że tu byli jacyś „oni". A ter
gdzie są?

Stary Gabryś niechętnie wzruszył ramionami: — A kto ich wie? K
zali im stąd iść, to poszli...

Pomału jednak okazuje się, że wie, i to nawet dosyć dokładnie. Jed
w Warszawie w ministerstwie, brat dziedzica. A sam dziedzic na Z
chodzie pracuje w majątku państwowym, i z nim cała rodzina, to zn
czy, nie cała, bo najstarsza córka w ministerstwie, może w tym samy
co stryjek, a może w innym. Pourządzali się jakoś i dobrze mają, nieź
bo takich rozkoszy jak tutaj, to szkoda gadać...

Nie zrozumie sam diabeł, czy stary Gabryś jest za dawnymi panami, y przeciw nim. — Dość się nażywali, ale z drugiej strony, tak zostaić wszystko swoje...

— A właściwie teraz kto tu jest nad tym wszystkim?

Pogadywania i prześmiechy na schodach przycichają. Jak cień wsuwa ę młody Gabryś.

— A kto ma być? Niby gromadzie nadali... — nie od razu wyjaśnia ary. — Ale bo ja wiem...

— Kto „nadali"? Kiedy „nadali"?

Ale znowu sam diabeł nie rozumie, kto i kiedy. Jakby zaraz po wojnie, edy z reformy nadzielili fornali, to staremu Gabrysiowi, ma się rozuieć, że trzydzieści pięć lat był tu fornalem, kazali pilnować... Ale to a się rozumieć tylko tak, dla formy, bo gdzieżby taki stary człowiek ógł upilnować przed ludźmi!

— Co się pani tak dopytuje? Gdyby dali gromadzie, to by gromada lnowała i kombinowała, żeby jakiś pożytek był z tego dla ludzi, a nie k... — mówi twardo młody Gabryś, i milknie. Bo teraz stary zaczyna aczliwe a chytrze, że rozkradają, że nocami wywożą całe fury...

— To nie trzymacie psów?

— Widocznie takie wywożą, co ich psy znają... — śmieje się stary abryś i milknie. Bo teraz młody zaczyna mściwie i ostro: — A czeu nie mają wywozić, kiedy to niczyje? — zaczepnie, z rękami w kieeniach przybliża ku Walerii twarz zupełnie inną, poważną, prawie roźną.

Waleria odsuwa się o krok. Zaczyna jak z gazety. — Przecież to doo ogólne.

Tamten przerywa ruchem ręki. — Daj pani spokój! Nie na takiego afiłaś... — mówi po chwili. — Dobro ogólne musi być niczyje, jeśli e ma nad nim gospodarza, i nikt nie odpowiada... I jeśli nie jest zalione, wciągnięte do planu, ot co! W planie musi być, jaki cel, jaki potek, zrozumiała pani? A tak to aż żal patrzeć...

W Walerii świta myśl żałosnym przypomnieniem. Niedawno tak się ościła, że nawet listami z Zazębia atakują ludzie Jana, że mu nie dają okoju, akurat kiedy wyjeżdżał na inspekcję na Zachód. — To pan pił do Jana, do posła Kolasiewicza, o rozkradaniu?

Stary Gabryś wykręca do syna uważną, znieruchomiałą twarz.

— Kto pisał to pisał, nie w tym rzecz! A zobaczy się pani z posłem, niech mu pani powie... Ale co tutaj mówić, kiedy szkoda gadać! — kończył na wesoło. Tutaj trzeba inaczej...

W drzwiach nowe śmiechy. O jakiejś pieczarkarni, co miała tu by

— Nawalili końskiego nawozu, że gdyby tak pod kartofle, to r wiem, jakie by były! — opowiada miły głos kobiecy. — Nawalili, i ni Aż tu im od pułapu pieczarki jak kapelusze, bez żadnego nawozu...

Walerii chce się śmiać razem z innymi: — Więc jeszcze i piecza karnia? A gdzie to ona miała być, ta pieczarkarnia?

— A w piwnicach! — odpowiada ten sam głos. — Bo tu są okropn wielkie piwnice! Niechno pani zejdzie, to pani chociaż zabłądzi! Ale t nasz cały Kobus, to tak nieduży, ale oczy mu się święcą jak u kota, nie? To pani tylko zawoła, a on panią aż miło, tak zaraz wyratuje...

Śmiechy. Ale znowu za chwilę nikt na Walerię nie zwraca już uwa Bo ten sam głos opowiada dalej: — Więc ja właśnie powiadam, zacz ten nawóz, fura za furą...

Waleria przemyka się korytarzem. Ni to jakby wymykała się Gabr siom, którym już sama nie wie, co odpowiadać, ni to jakby uciek przed niedużym Kobusem, który wcale nie zamierza jej gonić, ani ra wać. Próbuje innych drzwi na piętrze, malutkich, schowanych, też b klamki i bez klucza. Chwiały się na zawiasach. „Obertelek" smętnie v siał na krzywym gwoździu. Ale za tymi drzwiami...

Serce Walerii ściska się przeczuciem żałosnym a szczęśliwym. Bo przecież tu! Ona tu będzie z Janem... Jan tu będzie przyjeżdżał, tu dzie odpoczywał, kiedy troski o innych zupełnie zwalą go z nóg. Pr jedzie, nie żeby tu coś robić, tylko żeby obejrzeć, co ona zrobiła... A o nie będzie go drażniła! Nie przegada się już nigdy więcej jak dzisi dwa razy tego samego dnia, o listach, raz u Pietrasów, a drugi r tutaj...

— Walerio, masz długi język! — mówił Jan ze złością. — Pilnuj sw go języka!

Będzie pilnowała języka i całej siebie... Podchodzi do okna, rac do półokrągłej ściany z wąskich szyb, poprzedzielanych pasemkami w tryn. Ten półokrągły wykusz wypada na pewno nad tamtą boczną v randką. Wcale go nie widziała, gdy patrzyła w dół. Wygląda jak wit z nieba i z dziwacznie powykręcanych czarnych gałązek. Dzikie wi pnie się i zasłania. Latem żadnego widoku stąd nie będzie. I nie potrzeb

Przykłada czoło do wąskiej szyby. Jest jej, jakby była na końcu św ta. Jest cicho, nawet śmiechy i gadania na schodach przycichły. I brze, że ten pokoik nie leży nad wielką salą, tylko po przeciwnej st nie. Będzie spokojniej... Bo w wielkiej sali, jak zacznie się ruch, to

e ustanie! W dni bez przedstawień i bez prób urządzi się tam świetlicę
a kobiet, albo czytelnię...
Bo przecież świetlica już jest!

* * *

Na dworze znowu dziwi się Waleria, że tak jasno. I nie wiedzieć od
ego: od ciepłego, zamglonego księżyca, czy od wiosennej nocy zrobionej
kby z samych obietnic, z samych uśmiechów. O zachodzie było chłod-
, ostro, świeżo, a teraz łagodnie, miękko i pachnąco. — Aż dziw, co
za noc! — uśmiecha się Waleria do starego Gabrysia, który brząkał
uczami w kieszeni. Czyli że miał te klucze.
— A no, dla młodych, taka pierwsza noc... — powiedział dziwnie,
ary i ciemny w tym księżycu. Jeszcze poszeptał z tym i z owym, co
ałaniali się i znikali. Potem poszedł, z Walerią na czele, do tej bocz-
j, półokrągłej werandki, kluczem prędko otworzył i ni to się przeląkł,
to się zaśmiał:
— Taka to ona świetlica!
Pokój był wielki, wysoki. Posadzkę miał jeszcze dobrą, całą, oświe-
oną w jednym kącie księżycem. Ktoś zapalił lampkę kuchenną, „trójkę",
yba najmniejszego kalibru. Długo nie chciał się zapalić dawno nie uży-
any knot. Okazało się, że na środku zwiesza się od sufitu na drucie
ka sama lampka, ale całkiem bez knota. Kokardy białych i czerwonych
pierków zdobią dwie ściany, nad szafką w rogu, z książkami. Przy
kłym świetle Waleria nie może odczytać nawet tytułów na grzbietach.
— Nie skatalogowane jeszcze — ktoś wyjaśnia uprzejmie. Ktoś
ny, wyłoniony z cienia, szorstko zabiera jej książkę z ręki. Ktoś inny
cieniu chichocze.
— No co, napatrzyła się pani? — jakaś ręka podnosi w górę lamp-
, lepiej teraz oświetlając ściany brudne, ale całe, i ogromny jakiś
isz czy karton.
— Wołek zbożowy, szkodnik naszych zbóż! — sylabizuje czyjś głos.
a wpół otwartych drzwi znowu słychać przytłumione gadanie
śmiechy.
— Napatrzyłam się! — odpowiada Waleria głosem, jakiego tu
niej jeszcze nie słyszano.

Helena Boguszewska

Z poezji albańskiej

ALEKS CACI

MUZEKIE

Fragmenty poematu

Twarze mają smutne
zamartwione
o oczach podobnych gwiazdom
pobladłym.
Posuwają się
ciężkim krokiem
boso,
obnażeni,
podobni nocnym zjawom.
Nawet ptaki przerażone
kryją się po zaroślach.

Tamaryszki, wiązy
i dym z chałup
łączą się, splatają
i noc
ciemna, bez księżyca
zalewa
ziemię obcą.
Mali i wielcy
w trwodze!
Czy to deszcz, czy upał
przerażenie
panuje nad muzekińską równiną.

Dzieci krzyczą:
„Idzie Bey!"
Starcy,
dzieci,

mężowie,
i żony
w trwodze:
„Idzie Bey!"
Ziemia
pokrywa się głębokimi bruzdami:
„Idzie Bey!"

Echo
uderza o konary dębu
niesie się po polach zroszonych łzami,
przesyca czarny dym,
płomienie i popiół,
serce nienarodzonego jeszcze dziecka
jawi się na ustach umierających,
idzie drogą błotnistą
na grób młodzieńca,
do wsi sprzedanej:
„Idzie Bey!"

Głos milknie,
serce staje,
ręka pokryta zmarszczkami
wlecze się po ziemi,
ziemia jęczy z bólu
w zimie i w lecie
odarta z kwiatów, zapachów.

Ci ludzie posępni jak noc,
podobni ptakom,
co lepią gniazda
z trawy i błota,
budują chaty
z trawy i błota.
Lecz ptakom wolno
latać
nad miastami,
nad dolinami i wzgórzami!
Bo wolne są, wolne! Wolne!

Tu nikt nie miał najdroższej istoty,
która ucałowałaby serdecznie,
która opiewałaby z tęsknoty
czoło,
oczy,
piersi.
Dziecię w łonie matki
w przerażeniu myśli,
jak żyć będzie
na tej ziemi obcej.

II

Na szczycie góry
pasterze
rozniecili płomień
i świeci jutrzenka
niepodległa wichurze.
Starcy
i dzieci zapłakane
patrzą z utęsknieniem
na Wielki Dzień,
co wschodzi od Tomorri.
Orzeł wolny
ogarnia swobodną myślą
chmury i śniegi
wzgórza,
zbocza,
i pola.
I noc porażona jest jak zaraza.

Z dali
od Stalingradu
wiatr północny
przynosi głos
życia i męstwa.
Ziemia i świat cały
mocują się ze śmiercią.

Albania
na szczytach i w dolinach
wstała z niewoli,
gdy przemówiła Partia.

Rzeki występują z brzegów,
na burzę się zbiera
i słychać już
głos wyzwolenia.
Przez serce
wraz z krwią
płynie zemsta.
Wolność się jawi!
Twarze zapalił blask,
i Bey jak drzewo
obalony jest z korzeniami.

Z głębi ziemi
gwałconej niegdyś stopą Beya
wyzwala się nowy śpiew
i nowe życie.

Wolność rozpłomienia ludzi,
wyzwala z ziemi
głos i ogień,
co płomieniem swoim
spali wszystkie kłamstwa.

Przełożyła W. A. B.

OL JAKOVA

O TRZECH BOHATERACH

Ledwie świtać zaczęło,
Gdy do drzwi załomotali,
„Otwórzcie, nieszczęśliwi,
Już nie ma dla was ratunku."

Posłuchajcie, co rzekł wówczas Żordan:
„Sprawę rozstrzygniemy na polu chwały;
Niech wiedzą Italianie,
że my się bronić umiemy."

Posłuchajcie, co rzekł wówczas Radia:
„Niech dom zamieni się w zgliszcza,
Aby wiedziała Albania,
Że my w jej obronie stoimy."

Posłuchajcie, co rzekł wówczas Perlat:
„Już wybiła godzina
Walki z cudzoziemcem.
Naprzód, bracia, do broni!"

Grzmi palba karabinów,
Rozrywają się bomby,
Matki lamentują,
Dzielnie trzymają się mężе.

Zdradziecki Mustafo Kruja,
Patrz, jak umiera Albańczyk,
Jak się rzuca w ogień
Za Wolność i Ojczyznę.

Milicjancie zaprzedany
Na żołdzie cudzoziemca
Patrz: dzisiaj
Własnego brata zamordowałeś.

Czy ten dom w płomieniach
Widzisz, podły szpiclu?
Czy widzisz, jak walczy młodzież,
Młodzież o mężnym sercu?

Pogrążyłeś w rozpaczy, Perlacie,
Towarzyszy swoich.
Czemu twoje serce
Bez pożegnania umilkło?

Czy widzicie mnie, towarzysze?
Na ziemi z rozżarzoną głową
Ciało moje leży
I skonać nie umie.

Naprzód synu Albanii!
Niech wzgórza i szczyty
Rozsławią twoje męstwo!
Niech zadziwi się Skutari
Jak za czasów Oso Kua!

Perlacie, synu Albanii,
Gdzie krew przelałeś,
Zakwita lilia
Znak twojego męstwa.

Przełożyła **W. A. B.**

JERZY PUTRAMENT

Zadania literatury w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój

I

Od ostatniego Walnego Zjazdu ZLP minęło trochę więcej niż pół ro ku, w ciągu jednak tych kilku miesięcy zaszło wiele wydarzeń, które za ostrzyły sytuację międzynarodową, obnażając ostatecznie zbrodnicze in tencje obozu imperialistycznego. Wybuch wojny w Korei, cyniczna in terwencja zbrojna Ameryki i jej wasali w wewnętrzne sprawy narod koreańskiego, zrównanie z ziemią miast koreańskich, wymordowani setek tysięcy ludności cywilnej, próby rozszerzenia konfliktu na Ch ny — te poczynania Ameryki Trumana i Mac Artura, Ameryki kapitał monopolistycznego przypominają nam żywo sytuację sprzed lat kilku nastu, kiedy ówczesny kandydat na zdobywcę świata, Hitler, trenują swoich bandytów powietrznych w Hiszpanii równie głośno, jak dz Truman, wykrzykiwał o „czerwonym niebezpieczeństwie", o „ratow niu cywilizacji zachodniej", żałosne bzdury, służące za parawan g rączkowym przygotowaniom do próby podboju świata.

Nie wolno nam nie doceniać groźby, która zawisła nad światem. Zwy kły, uczciwy człowiek nie może spokojnie słuchać wiadomości o bestia stwach Amerykanów i ich satelitów w Korei, nie może obojętnie p trzeć na poczynania tych, którzy chcieliby wskrzesić czasy Oświęcim i Treblinki, czasy burzenia Warszawy, zrównania z ziemią Zamo szczyzny, Sandomierskiego czy Jasła. Literat nie może, założywsz ręce, patrzeć na działalność zbrodniarzy pragnących dzieło jego życ obrócić w kupę popiołu. Polak nie może godzić się na to, żeby jego kra miał się stać monetą wymienną, którą będzie się odliczać jurgielt n jemnym zachodnio-niemieckim landsknechtom.

A wiadomo przecież, że taki np. Adenauer jako wstępny warun tworzenia neohitlerowskiej armii zachodnio-niemieckiej postaw rzecz prosta, odebranie nam ziem zachodnich. Taki Schumacher przel cytował swego rywala w amerykańskich przedpokojach i zażądał gw rancji, że Amerykanie naprawdę zaczną wojnę i jak najszybciej prz niosą ją na Wisłę i na wschód od Wisły. Pod opieką Stanów Zjedn czonych odradza się w Trizonii drapieżny, łaknący odwetu imperializ i militaryzm niemiecki.

Śmiertelnym wrogom narodu polskiego, Trumanom i Adenauero podziękujmy przynajmniej za szczerość. Za tę szczerość, której prz czyny nie trzeba szukać w poczuciu siły naszych wrogów, ani wyłączn w głupocie i bałaganie amerykańskiej machiny polityczno-propagand

j. Przyczyną, dla której imperialiści amerykańscy nie kryją przed mi swoich planów najazdu, zniszczenia i rozbioru Polski, jest przede zystkim głęboka pogarda, jaką żywią dla wszystkiego, co nie amerykańskie, a już zwłaszcza dla narodów Europy Wschodniej, dla narodów wiańskich. Jesteśmy dla nich jakąś niezróżnicowaną masą etniczną, zdolną pojąć, niezdolną zareagować.

Histeria wojenna, która szaleje dziś w Ameryce, nie wypływa, rzecz osta, z poczucia siły. Na odwrót, właśnie klęski w Korei pchnęły pana rry Trumana do nowej serii nierozważnych pogróżek. Albowiem aśnie w ciągu minionego półrocza świat mógł się przekonać, jak poną siłą jest obóz pokoju. Klęski imperialistów w Korei i w Vietnamie, szerzający się ruch pokoju w krajach Europy Zachodniej, w Amece Łacińskiej, na Bliskim Wschodzie, sprzeczności i tarcia wśród ądów Paktu Atlantyckiego — obok sukcesów gospodarczych i poliznych ZSRR, Chin Ludowych, państw ludowej demokracji, Nieeckiej Republiki Demokratycznej — wykazują aż nadto widocznie, szala historii chyli się na naszą stronę.

Tym bardziej gorączkowo przywódcy obozu imperialistycznego szyją awanturę wojenną, upatrując w niej dla siebie jedyne wyjście konfliktów, które sami stworzyli i z których nie potrafią się drogą pojową wyplątać bez narażenia swego i tak już oskubanego „autoryu". Tym większe obowiązki spadają na wszystkich bojowników obopokoju: Stworzyć taką siłę materialną i moralną, by najbardziej rozteryzowanego z podżegaczy zniechęcić do planów wojny, by wyrwać z ręki pochodnię, którą znowu chce podpalić nieostygłe jeszcze do szty rumowiska i rusztowania Europy.

Nie należy do mnie szczegółowe wyłuszczanie, jakie zadania stoją tej sytuacji przed naszym krajem. Chciałbym jednak zwrócić uwagę pewien aspekt sprawy Planu Sześcioletniego. Plan Sześcioletni, rwszy etap budowy socjalizmu w Polsce ma dla nas zupełnie wyjątwe znaczenie narodowe. Tylko socjalizm może zapewnić naszemu ajowi niezbędne, szybkie nadrobienie zacofania gospodarczego. Tylko cjalizm potrafi w krótkim czasie podwoić i potroić produkcję li, podnosząc ją do poziomu przeciętnego przemysłowego państwa ropy Zachodniej. Co ważniejsza — tylko w oparciu o potężne ństwo socjalistyczne, ZSRR, tylko w ramach obozu demokracji i poju, mając za Odrą przyjazną, braterską NRD — potrafimy odeeć wszelkie zakusy imperialistycznych podżegaczy wojennych na ość i istnienie naszego kraju.

Walka o pokój i walka o Plan Sześcioletni, walka o socjalizm są więc nas niepodzielnie związane ze sobą. Aby pokój zwyciężył, trzeba, by asze ogniwo w obozie pokoju było jak najsilniejsze. Aby Polska wyła — trzeba, by socjalizm jak najszybciej w niej był zbudowany. Bez cjalizmu — Polski nie będzie.

Dla nas, spadkobierców wielkiej literatury narodowej, spadkobierców chanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, Prusa, Orze-

szkowej — tych, którzy stworzyli piękny polski język literacki, którzy za cel swój najwyższy stawiali służbę swemu społeczeństwu, ludowi polskiemu — dla nas, pisarzy Polski dzisiejszej, Polski ludowej ważne i konieczne jest uświadomienie sobie niebezpieczeństw, czających się dzisiaj przed światem, ważne i konieczne jest uświadomienie sobie zadań stojących dziś przed naszym krajem. Albowiem w takiej chwili dziejowej i w kraju o takich tradycjach służby społecznej pisarza najważniejszą, jedynie ważną dla nas sprawą jest oddać siłę naszego słowa obozowi, broniącemu pokoju, naszego kraju, naszej kultury. I jedynym ważnym tematem, któremu tutaj warto czas poświęcić — jest przedyskutowanie, co należy czynić, aby twórczość nasza szybciej, szerzej, skuteczniej sprawie tej mogła służyć.

II

W literaturze polskiej dominowała postawa służby społecznej. Rzecz prosta, w ciągu 400 lat jej istnienia zdarzały się momenty, gdy postawa ta słabła, gdy zjawiały się tendencje aspołeczne. Z grubsza biorąc, można je zaobserwować w dwóch okresach: od drugiej połowy wieku XVII do Oświecenia oraz w okresie Młodej Polski i dwudziestolecia. Oczywiście i w tym czasie nie brakowało pisarzy o wyraźnie społecznej postawie, pisarzy, dla których ich dzieło było wkładem w walkę o drogie dla nich ideały, i w tym czasie nie brakowało w literaturze nurtów postępowych, w okresie 20-lecia nawet rewolucyjnych, można jednak przyjąć, że w obu tych epokach główny nurt traci swój społeczny, postępowy charakter. Przyczyna tego zjawiska jest nader prosta: obie te epoki zbiegają się z okresem rozkładu rządzącej podówczas klasy społecznej, proces obumierania pewnego ustroju nie może nie pociągnąć za sobą kryzysu, rozkładu, upadku tak czułego elementu samoświadomości społeczeństwa jak literatura.

Oba te okresy były w historii naszej literatury okresami niżu. Aby dzieło literackie miało cechy wielkości, oprócz talentu autor musi mieć poczucie, że dzieło to może zaważyć na losach jego bliźnich, że może dopomóc im w troskach ich bytowania. Nie mieli i nie mogli mieć tego poczucia ci pisarze rozpadającej się republiki szlacheckiej, którzy przyjmowali ją jako słuszną formę stosunków międzyludzkich. Nie mieli i nie mogli mieć tego poczucia ci pisarze okresu rozpadania się kapitalizmu, którzy w chaosie społecznym i moralnym tego okresu nie dostrzegli siły, zdolnej rozbić ustrój kapitalistyczny, zastąpić go nowym, lepszym i sprawiedliwym, cóż dopiero tacy, którzy w procesach gnicia kapitalizmu potrafili doszukiwać się wdzięku i smaczków.

I na odwrót, okresy, w których społeczne pojmowanie zadań pisarza dominowało, w których główny nurt miał charakter postępowy — zbiegają się z okresami wyżu naszej literatury.

Przypominam to elementarne prawo po to, aby podkreślić jeszcze raz, że postępowa postawa społeczna, która dominuje dziś w naszej litera-

rze, nie zjawia się u nas po raz pierwszy, nie jest jakimś wyjątkiem, odwrót, dominowała u nas zawsze. Jest ona wspólnym mianowniem tak różnych historycznie zjawisk jak humanizm Kochanowskiego, wiecenie Krasickiego, romantyzm Mickiewicza i Słowackiego, realizm ytyczny wczesnego Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, częściowo Żeomskiego, wreszcie nurt rewolucyjny Broniewskiego i Wasilewskiej izisiejsze początki realizmu socjalistycznego.

Realizm socjalistyczny jako postawa literatów państwa robotniczo-opskiego, jako kierunek literatury epoki socjalizmu nawiązuje do najzytniejszych tradycji polskiej literatury. Przejmuje on od Kochanowego, Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego ich umiłowanie człowieka, nienawiść do ucisku, ich walkę o sprawiedliwość społeczną, o społeństwo uwolnione od wyzysku, nędzy, ciemnoty.

Różni nas od nich szersza świadomość, większe doświadczenie historyczne. Wiemy, że nie zagadkowy bohater o zaszyfrowanym imieniu, tajemniczy uczony, nie samotny inteligent-ofiarnik czy filantrop — potrafią dokonać cudu zapewnienia temu krajowi i jego ludziom wolności i szczęścia. Siła, o której marzyli, której przewidzieć mogli, czy nie potrafili — siła, zdolna poruszać góry, przesuwać eki, pustynie zamieniać w lasy, ludzi uwolnić od poniżenia — siła rośnie w naszych oczach. Klasa robotnicza, prowadzona przez swoją wolucyjną partię, uzbrojona w marksizm-leninizm, sprzymierzona narodami ZSRR, z partią Stalina — jest tą siłą, która dźwiga naprzód nasz naród i nasz kraj w niespotykanym dotąd tempie.

Uzbrojeni w teorię marksizmu-leninizmu, teorię, która naukową ecyzję łączy z żarliwością ideową, nawiązujemy do drogi naszych eradzkich przodków. To co było dla nich anonimowym nieszczęściem, niemy dzisiaj nazwać po imieniu, wyjaśnić przyczynowo. Choroby, órych zewnętrzne objawy opisywali oni tak przejmująco — potrafiy nie tylko zanalizować; potrafimy wskazać terapię. Gdy oni ukawali współczesnym i potomnym nonsens i okrucieństwo swoich czaw nie umiejąc znaleźć na to rady lub, świadomi swojej słabości, askowali ją w mglistych symbolach i mistycznych formułach — my żemy dokładnie wskazać, gdzie los ludzki został zwichnięty przez edoskonałość społeczną i jak można go wyprostować.

Nie mówię tu tego, aby się chełpić naszymi przewagami nad romankami czy realistami krytycznymi, aby, podkreślając ich słabości, skwalifikować ich czy się ich wyrzekać. Nie ma nic bardziej obcego rksizmowi jak mechaniczne stosowanie dzisiejszych kryteriów wartościowania do epok historycznych. Z okazji rocznicy Żeromskiego możemy zobaczyć, że zrozumienie tego pewnika nie jest powszechne środowisku literackim. Znaleźli się u nas tacy, którzy potępiali Żeromskiego w czambuł, zapominając, że przy wszystkich jego słabościach nie było w jego epoce pisarza o postawie bardziej postępowej. ziś chyba nie trzeba dowodzić, jak błędne, niemarksistowskie jest kie stanowisko.

Na odwrót, porównując początki realizmu socjalistycznego w Polsc
z najszczytniejszymi okresami naszej literatury, wskazując na podo
bieństwa i różnice — chciałbym podkreślić głęboki, organiczny nas
związek z wielkimi romantykami polskimi czy realistami okresu pozy
tywizmu. Jesteśmy spadkobiercami wszystkiego, co najlepsze, co prze
trwało z 400 lat istnienia naszej literatury. Jesteśmy dumni, że nale
żymy do literatury Mickiewicza. Jesteśmy dumni, że przypadło nan
w udziale dźwigać ją naprzód.

III

O realizmie socjalistycznym dużo z nas mówiło ogólnie; znakomit
większość literatów przyjęła jego pozycję. Dlatego nie będę do ogól
nych sformułowań powracał. Wydaje mi się natomiast ważne omó
wienie konkretnych zadań, stojących przed naszą literaturą na prog
drugiego roku Planu Sześcioletniego, na tle konkretnych założeń rea
lizmu socjalistycznego.

Wiemy, że Plan Sześcioletni przewiduje ogromny wzrost produkcj
przemysłowej naszego kraju. Wykonanie planu zapewni naszemu kra
jowi nadrobienie opóźnień swego rozwoju gospodarczego, daje baz
dla dalszej rozbudowy gospodarczej i kulturalnej, możliwej tylk
w warunkach socjalizmu. Z opóźnionego, półkolonialnego kraju, w któ
rym dwie trzecie ludności utrzymywało się z uprawy roli, mamy sta
się krajem przemysłowym. Nie karłowate gospodarstwo rolne, upra
wiane łopatą i sochą, nie znające sztucznych nawozów, nie mogące na
wet wyżywić tych, co je uprawiają — stanie się typowe dla rolnictw
polskiego, jak to było przed wojną, ale wieś w dużej części zelektry
fikowana i zaopatrzona w maszyny rolnicze, w sztuczne nawozy, wie
przechodząca dobrowolnie na wyższy szczebel gospodarki zespołowe
Przemysł nasz, przed wojną zależny w dużej mierze od zagranicy
a więc rozbudowany głównie dla wykorzystania taniej siły robocze
padający pierwszy ofiarą byle kryzysu, byle wahnięcia giełdy światowe
zacofany, prymitywny, o przewadze drobnych, półrzemieślniczych za
kładów, o dużej przewadze przemysłu przetwórczego — stanie si
nowoczesnym przemysłem o bazie zdrowej, opartej o przemysł ciężk
o węgiel i stal, przemysłem uniezależnionym od kapitalizmu światoweg
Nie będzie więc podlegał tym wahaniom koniunktury, które w latac
kryzysu rozwalają gospodarkę państw słabszych, nie będzie podleg
tym naciskom amerykańskich karteli, które potrafią nawet taki
wczorajsze mocarstwa jak Francja zepchnąć do tyłu, zahamować ic
ciężki przemysł, zamiast wytopu stali skazać je na sadzenie karcz
chów.

Plan Sześcioletni, plan uprzemysłowienia Polski, plan budowy po
staw socjalizmu jest jednocześnie planem utrwalenia prawdziwej ni
podległości naszego kraju. Wykonanie tego planu jest dla nas spraw
najważniejszą, najpilniejszą, wymagającą największego i codzienneg

siłku. Sprawę tę winniśmy uczynić ośrodkiem naszej uwagi, jej poięcić największy nasz twórczy wysiłek.

Jaki jest pierwszy warunek wykonania Planu Sześcioletniego? Wzrost produkcji w tym okresie jest tak znaczny, że nawet napływ datkowego miliona ludzi do przemysłu przy dzisiejszej wydajności acy robotnika polskiego nie rozwiązuje tego zagadnienia. Mówi się sem o kimś, że pracuje za dwóch. Otóż Plan Sześcioletni można wyiać, jeśli każdy nasz robotnik, każdy pracujący będzie pracował pra- za dwóch. Wystarczy zrozumieć dobrze co to znaczy, wystarczy wygnąć z tego wszystkie konsekwencje — aby mieć gotowy plan działia naszej literatury w latach najbliższych.

Wzrost wydajności pracy, kardynalny warunek wykonania Planu eścioletniego, może być osiągnięty przy zastosowaniu szeregu różnodnych akcji. Więc system premiowania pieniężnego za przekroczenie rmy. Więc na odwrót, administracyjne karanie łazików i bumelanv. Więc rozpowszechnienie, udoskonalenie współzawodnictwa socjatycznego. Więc rozwijanie ruchu racjonalizatorskiego w rozmaitych edzinach produkcji. Każda z tych akcji jest niezbędna. Ale wszyst-, razem wzięte, są niewystarczające.

Klasa robotnicza Polski potrafi zdobyć się na podwojenie swego wyku tylko wtedy, jeśli każdy jej przedstawiciel zrozumie w pełni koczność historyczną tego zdwojonego wysiłku, jeśli ujrzy wielkość zania, jeśli się do niego zapali.

Uświadomienie polityczne naszej klasy robotniczej, której bojowe, wolucyjne tradycje są dobrze znane, jest oczywiście duże, czego dodem są liczne czyny produkcyjne, wykonywane przez nią zwłaszcza ostatnich latach: wykonanie przed terminem pierwszego roku Planu eścioletniego, wiele pomysłów racjonalizatorskich itd.

Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie literatura polska w tej sprae może i musi odegrać rolę decydującą. Naszą najpilniejszą spra jest stworzenie dzieł, które by ukazały wielkość zadań, stojących zed polską klasą robotniczą, przed polskimi masami pracującymi okresie Planu Sześcioletniego i walki o pokój. Winniśmy ukazać dziele artystycznym te zadania, które przed naszym narodem postała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, które postawił jej przedniczący Bolesław Bierut. W dziele artystycznym—to znaczy w uogólonym, typowym ale konkretnym i plastycznym obrazie, w uogólnioj, typowej ale konkretnej i plastycznej postaci, w uogólnionej, typoj ale konkretnej i plastycznej sytuacji fabularnej, w uogólnionym, powym ale konkretnym i plastycznym konflikcie dramatycznym.

Siła, specyfika oddziaływania literackiego polega na tym, że łączy o przypadkowość, jednorazowość, doraźność dziennikarskiego reporżu z uogólnieniem formuły politycznej w niepowtarzalny konkretny ypowy zarazem obraz artystyczny. Siła, specyfika artystyczna polega aśnie na tym, aby nie nagą formułą polityczną, nie doczepionym pocznym komentarzem, ale logiką obrazów, postaci, rozwoju konfliktu

przekazywać odbiorcy słuszną treść polityczną. Obraz artystyczny dłu
żej i głębiej zapada w świadomość ludzką niż najczęściej powtarzan
slogany. Nie przypadkiem nazwał Stalin pisarzy inżynierami dusz ludz
kich. Obraz artystyczny nie tylko trwalej i głębiej kształtuje świado
mość od wszelkich innych form oddziaływania, ale i rozgrzewa ją, za
pala, porywa.

Dzieło literackie, które przedstawi trudy i wielkość budowy socjaliz
mu, wyrastanie bohatera naszych czasów, przodownika pracy, aktywi
sty partyjnego, idącego z ludem, prowadzącego go naprzód, walk
z wrogiem, wczorajszym wyzyskiwaczem, dzisiejszym sabotażystą, dy
wersantem, szpiegiem, dzieło, które spopularyzuje w obrazie artystycz
nym wielką inicjatywę klasy robotniczej, wysiłek pracującego chłop
stwa w przebudowie wsi, w walce z wiejskim wyzyskiwaczem, wyrasta
nie naszej nauki i kultury w najściślejszym związku z naszym ludem —
takie dzieło literackie jest niezbędnym elementem wysiłku i ofiar całeg
narodu polskiego w tej wielkiej i groźnej epoce.

Tematyka budownictwa socjalistycznego, rzecz prosta, nie ogranicz
się do tzw. tematyki produkcyjnej, choć ta jest najważniejsza
Wiąże się z nią szerszy problem awansu społecznego, ukazanie drogi
która prowadzi wczorajszego niezaradnego chłopa czy nieuświadomio
nego robotnika do dzisiejszego przodownika pracy, budowniczego Pol
ski Socjalistycznej. Problem ten dla nas jest tym ważniejszy, że w na
szej zawodowej problematyce, w metodzie realizmu socjalistycznego —
węzłowym, najtrudniejszym zagadnieniem jest właśnie tzw. bohate
pozytywny.

Osobnym aspektem problemu awansu społecznego — jest wyrastani
kobiety jako ważnej siły społecznej, której dopiero władza ludowa po
trafiła zapewnić pełne równouprawnienie i dostęp do wszystkich zawo
dów i funkcyj państwowych.

W dzisiejszej epoce walki o pokój szczególnego znaczenia nabier
także sprawa obronności kraju. Ważne jest, aby lud polski z bliska
w dziele artystycznym ujrzał nasze wojsko ludowe, aby zobaczył pod
stawową różnicę, która je przeciwstawia armii sanacyjnej, aby uświa
domił sobie w pełni, że wojsko polskie z narzędzia ucisku klasowego, z po
tencjalnej armii najemnej, służącej do imperialistycznej agresji przeciw
krajowi socjalizmu — stało się sługą i obrońcą ludu, stało się siłą, któr
u boku armii radzieckiej potrafi obronić nasz kraj przed zakusami im
perialistów i zapewnić trwały pokój. Bojowe tradycje naszego wojska
dzieje Pierwszej Armii, walka w kraju Armii Ludowej powinny wresz
cie stać się tematem naszej powieści, naszego dramatu.

Ściśle z poprzednim wiąże się sprawa tematyki młodzieżowej. Jed
nym z poważnych naszych błędów było zaniedbanie tej sprawy. Tym
czasem nasza młodzież robotnicza i chłopska jest największym naszym
skarbem, największą naszą nadzieją. Już dzisiaj, po sześciu latach Pol
ski Ludowej wkraczają do dorosłego życia pierwsze roczniki, którym
życie świadome zaczęło się już w warunkach obalenia władzy kapitaliz

. Pod koniec Planu Sześcioletniego do życia czynnego, produkcyjne- wejdą roczniki nie znające z własnego doświadczenia innej epoki ża epoką budowy socjalizmu. Jest to najciekawszy i najcenniejszy biorca naszej twórczości, odbiorca, u którego entuzjazm dla litera- ry, nieznany młodzieży burżuazyjnej, łączy się z surowymi, słusznymi maganiami w stosunku do dzieła artystycznego.

Młodzież robotniczo-chłopska, młodzież, z której najlepsi, najzdol- jsi utworzą niebawem kadry nowej, polskiej inteligencji ludowej, udu wyrosłej, z ludem związanej, dla której awans społeczny nie nacza ucieczki do klas posiadających, ale na odwrót, tym ściślejszy iązek ze swoją klasą ojczystą — ta młodzież nie szuka w literaturze strakcyjnych sztuczek formalistycznych, nie szuka przesadnych, bę- cych celem samym w sobie psychologicznych komplikacji — szuka ąda pomocy w swoim wyrastaniu, szuka artystycznego potwierdzenia ozwinięcia prawd, które są racją jej bytu, o słuszności których prze- nało ich własne doświadczenie, szuka norm moralnych, szuka zapału, z którego trudno jej pokonać niezliczone trudności dzisiejszej pracy.

O tej młodzieży powinniśmy pamiętać szczególnie, zasiadając do pra- pisarskiej. Musimy poznać ją z bliska, poznać tam przede wszystkim, zie się dokonuje dzisiaj na wielką skalę szkolenie jej charakteru: na elkich budowach, w Nowej Hucie, na Śląsku, w spółdzielniach pro- kcyjnych. Musimy umieć odpowiedzieć na jej wymagania. Musimy kazać rolę jej organizacji przodującej — Związku Młodzieży Pol- ej. Musimy naszą twórczością pomóc jej w rozumieniu świata, rozumieniu zadań. Musimy dać jej wzory, prawdziwe i porywające, óre by ją umocniły w przełamywaniu jakże wielkich, choć codzien- ch, kłopotów i trudności. To jest sprawa nie tylko naszego poczucia owiązku społecznego. To jest także sprawa naszych własnych, oso- tych losów pisarskich. Ten, którego dzieła młodzież pokocha, po- uje za sobą taką siłę, że jego talent rozwinie się, że będzie mógł się obyć na osiągnięcia, które są nie do pomyślenia w warunkach obojęt- go, zimnego sukcesu literackiego w społeczeństwie kapitalistycznym.

IV

Przyjmując jako główny cel naszego wysiłku twórczego dzieła, któ- by dopomogły polskiej klasie robotniczej, polskim masom pracują- m, naszej młodzieży, w wykonaniu Planu Sześcioletniego nie powin- śmy celu tego pojmować ciasno czy płytko, nie powinniśmy zapomi- ć także o celach drugorzędnych.

Byłoby szkodliwym ograniczeniem poprzestanie wyłącznie na tema- ce produkcyjnej, byłoby niesłuszne poprzestanie na tematyce współ- esnej. Tematyka współczesna i w jej granicach tematyka produkcyj- są najważniejszym, najpilniejszym naszym zadaniem. Winniśmy podkreślać na każdym kroku, winniśmy wszelkimi drogami ułatwiać sarzom przyjmowanie tej tematyki, ułatwiać pokonywanie trudności,

zachęcać i zagrzewać ich w tej pracy. Ale to nie znaczy, że np. tema
tyka historyczna ma być u nas porzucona. Na odwrót, właśnie tera
jest najwyższy czas, aby spojrzeć na naszą przeszłość dalszą i bliższ
oczyma uwolnionymi od optycznych błędów historii burżuazyjnej. Lite
raci dzisiejsi, zapoznający się coraz gruntowniej z marksizmem, s
jak astronomowie, którym wreszcie dano do ręki precyzyjny teleskop
Możemy dzisiaj z tego gąszczu ważnych i błahych wydarzeń pomie
szanych ze sobą bez żadnego poczucia proporcji i hierarchii, którym
jest burżuazyjna historia, wybrać i ustawić wypadki i postacie w cią
gach przyczynowych i według ich właściwych wymiarów. Możemy i po
winniśmy prócz tego oczyścić wizję naszych dziejów ze świadomego
zakłamania, którego w celach najzupełniej doraźnie politycznych ni
szczędzili pisarze polscy epoki szlacheckiej czy burżuazyjnej. Rol
szlachty w naszej przeszłości, istotne przyczyny wojen z Rosją, nie
ludzki ucisk chłopa polskiego czy ukraińskiego, przyczyny rozbiorów
i nieudanych powstań, dzieje ruchu robotniczego, aż po prawdziwy
obraz Polski burżuazyjnej, prawdziwy obraz wojny wrześniowej, oku
pacji i walki zbrojnej z okupantem, aż wreszcie po najnowszy, al
już historyczny okres obejmowania władzy w wyzwolonej Polsce prze
masy pracujące — wszystko to są tematy albo pominięte, albo niedo
statecznie lub fałszywie w naszej literaturze przedstawione.

Wulgaryzatorzy marksizmu, wulgaryzatorzy, z polska mówiąc „spły
ciarze", realizmu socjalistycznego bąkają chwilami o zbyteczności cz
nawet szkodliwości liryki. Jest ich na szczęście u nas niedużo i wpły
wu istotnego na te sprawy nie potrafią wywierać.

Liryka jest nam potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, dlatego przed
wszystkim, że społeczeństwo socjalistyczne jest w swej istocie naj
prawdziwiej, najgłębiej humanistyczne. Nasza wolność ludzka nie jes
wolnością dla silnego drapieżcy, nie jest wolnością panoszenia si
kosztem poniżenia słabszego. Dlatego stosunki między ludźmi układa
ją się u nas w nowej, zdrowej i czystej atmosferze. Dlaczegóż uczuci
ludzkie nie miałyby znaleźć u nas oblicza w swej najbardziej skrysta
lizowanej, najsilniej nasyconej formie lirycznej?

Są jednak dwa zastrzeżenia. Po pierwsze wiersz liryczny, jeśli chc
znaleźć właściwe przyjęcie w szerokich rzeszach naszych nowych czy
telników, jeśli chce dotrzeć do najcenniejszych naszych odbiorców –
młodzieży robotniczo-chłopskiej, musi wyrażać uczucia jej bliski
i powszechne. Stąd artystycznym kłamstwem byłaby u nas liryka pe
symistyczna. W społeczeństwie rosnącym, w społeczeństwie, w którym
po raz pierwszy w dziejach mają dostęp do kultury naprawdę milio
nowe rzesze ludowe, nie może być innych uczuć zbiorowych, jak uczu
cia walki, pokonywania trudności, ale przede wszystkim uczucia wiar
w wielką i jasną przyszłość.

Liryka pesymistyczna w dzisiejszej chwili wyrażałaby uczucia resz
tek wrogiej nam klasy społecznej, agentury szpiegowskiej, przegnił
emigracji. Tam byłaby ona na miejscu. Nie przypadkowo autore

owanego przez premiera Cyrankiewicza na czerwcowym zjeździe
ersza, w którym widzi się świat oczami szczura — jest emigrant.
steśmy ludźmi, ludźmi nowego społeczeństwa, społeczeństwa, które
zwoli nas z poniżenia, strachu, słabości. Nic ludzkiego, w tym wy-
im, jasnym słowa tego znaczeniu nie jest nam obce. Wszystko co
mne, podłe i brudne zostawiamy tym zeszczurzałym dzisiaj niedo-
kom ciemnego wczoraj.

Fałszem artystycznym byłoby również szukanie pozornych, a co naj-
iej nieistotnych konfliktów uczuciowych między sprawami tzw.
bistymi a obowiązkiem społecznym.

Istnieje wreszcie cały szereg innych torów tematycznych, które nie
ąc w ośrodku naszych zainteresowań, wiążą się jednak z tym głów-
n celem, jakim jest dla nas najszerzej pojęta pomoc naszej klasie
otniczej, naszym masom pracującym w wykonaniu Planu Sześcio-
niego. Wykonując bowiem to zadanie powinniśmy pamiętać, że ro-
nik nasz nie jest już tym ciemnym, zahukanym robotnikiem
asów Prusa czy nawet Żeromskiego. Świat jego zainteresowań
rósł niepomiernie razem ze wzrostem jego roli społecznej od wyzy-
wanej siły roboczej do gospodarza całego kraju. Dlatego jest u nas
ejsce dla wszelkiej tematyki, która by mogła krąg jego świadomości
szerzyć czy pogłębić.

Wtórnym, ale wciąż żywym jeszcze celem naszym jest dopomożenie
szej inteligencji w przełamaniu zastrzeżeń i oporów w stosunku do
ski Ludowej, które istnieją niewątpliwie w pewnych, zresztą, zwę-
ących się jej kołach. Cel ten jest wtórny dlatego przede wszystkim,
dobre dzieło, na wysokim poziomie politycznym i artystycznym, od-
wiadające wymogom pierwszego celu, musi działać i w tym, pod-
dnym, kierunku. Dzieło, które opiewa patos wielkiej budowy, zwięk-
jąc świadomość i zapał robotnika, musi jednocześnie przyśpieszać
rzewanie ideowe inteligencji. Są jednak problemy i konflikty ty-
wo inteligenckie, których waga dla naszego robotnika jest wtórna,
re jednak mogą jeszcze mieć u nas rację bytu na marginesie głów-
o nurtu naszej twórczości.

Zważywszy, że największy wkład, jaki Polska wnieść może w walce
okój — jest wzrost gospodarczy, polityczny i kulturalny państwa,
o jednego z ważnych elementów światowego obozu pokoju — każdy
z sukces literacki w walce o Plan Sześcioletni jest jednocześnie
ccesem w walce o pokój. Są jednak tematy bezpośrednio ze sprawą
zoju związane. Pierwszym i najważniejszym z nich jest temat bra-
stwa i przyjaźni z potężnym Związkiem Radzieckim, ostoją pokoju
świecie, tą siłą, która zapewniła nam wolność i dzisiaj broni nas
ed imperialistami. Ukazanie naszym rodakom całej wielkości tego,
jego imieniem będzie nazwana nasza epoka — oto ważne i za-
zytne zadanie, które, mimo kilku dzieł z pięknym poematem Bro-
wskiego na czele, nie jest jeszcze spełnione. Proletariacki interna-
nalizm, przyjaźń z narodami demokracji ludowych, z NRD, przyjaźń

i braterstwo z bojownikami o pokój na całym świecie, z klasami pra cującymi krajów kapitalistycznych, z ludami krajów kolonialnych i z drugiej strony przedstawienie zwierzęcego oblicza dzisiejszego ka pitalizmu, zdemaskowanie mitu o zachodnim liberalizmie — tematy te wchodzą organicznie do najważniejszych naszych zadań, ich waga jest zbyt oczywista, aby wymagała obszerniejszych uzasadnień.

V

Spróbujmy się zastanowić, na jakim etapie spełniania tych życiowo ważnych zadań naszej literatury znajdujemy się w tej chwili, tzn. na progu drugiego roku Planu Sześcioletniego. Muszę się zastrzec, że ocena, którą za chwilę przedłożę, będzie z pewnością oparta na zbyt wąsko dobranym materiale i w każdym razie nie będzie pełnym obrazem naszej literatury dzisiejszej, lecz tylko próbą wydobycia najważniejszych jej zjawisk. Liczę jednak, że dyskusja nadrobi te braki i wyprostuje moje sądy tam, gdzie okażą się nietrafne. Bez próby oceny jednak obecnej sytuacji literackiej niemożliwe będzie wyciągnięcie konkretnych wniosków, nadrobienie istniejących braków, skierowanie naszego wysiłku w należytym kierunku.

Podstawowym elementem oceny dzisiejszego stanu literatury polskiej jest stwierdzenie, że przytłaczająca większość naszych pisarzy przyjęła metodę realizmu socjalistycznego. W naszych kołach literackich dojrzało zrozumienie, że ta metoda jest jedynie słuszna, jedynie owocna w warunkach zwycięstwa polskich mas pracujących, w warunkach budownictwa socjalistycznego. Zapewne, są jeszcze u nas tacy pisarze, którzy nie rozumieją istoty realizmu socjalistycznego, albo związani zbyt mocno z losami i kulturą rozkładającej się burżuazji polskiej opóźnili się, czy też pozostali na uboczu. Są u nas tacy, którzy zachowali formalistyczne czy psychologiczne podejście do zadań twórczych. Podstawowa, najcenniejsza jednak i zarazem najliczniejsza grupa pisarzy stara się nadążyć za polską klasą robotniczą i w miarę swoich sił bierze czynny udział w budowie socjalizmu.

Możemy więc powiedzieć, że długotrwała bitwa ze zwolennikami wszelakiego rodzaju i koloru aspołecznej postawy w literaturze, z formalistami, metafizykami, psychologistami, naturalistami, ekspresjonistami, sartretykami — i jak tam jeszcze można by nazwać te kierunki i światopoglądziki, będące próbą zaszczepienia w warunkach dyktatury proletariatu rozmaitych odmian rozpadu literatury kapitalistycznego Zachodu, ta bitwa, zanadto przewlekła, została przecież w zasadzie zakończona zwycięstwem obozu realizmu socjalistycznego. Rzecz prosta, mamy i będziemy mieli jeszcze do czynienia z próbami przedstawienia jako dzieł realistycznych utworów nic wspólnego z tym nie mających. Mamy i będziemy mieli jeszcze do czynienia z wypaczaniem realizmu socjalistycznego przez przedstawianie i pojmowanie go w ciasny, wulgarny, doktrynerski sposób.

Ale dziś wszelka próba otwartego przeciwstawiania mu importowa-
ch czy szmuglowanych teoryjek sztuki dla sztuki musi się skończyć
1 bezapelacyjną klęską.

Zwycięstwo to osiągnięte zostało przede wszystkim dzięki rozgro-
eniu w naszym kraju prawicowo - nacjonalistycznego odchylenia
rzejściu do budowy socjalizmu. Sukcesy tej budowy, ogromny
rost aktywności i świadomości klasy robotniczej, wyrazna perspek-
wa historyczna przed nami — wszystko to nie mogło nie wywrzeć
cydującego wpływu na środowisko literackie. Rozproszeni dotąd
iezdecydowani przedstawiciele nurtu realistycznego w tym środowi-
u z marksistami, pisarzami partyjnymi na czele mogli teraz
zejść do ofensywy ideologicznej, zdobywając dla sprawy realizmu
cjalistycznego całą młodzież literacką i znaczną część literatów przed-
jennych, ideologów zaś formalizmu zmuszając do rewizji swoich
ednych pojęć o literaturze.

Od pewnego więc czasu istnieje u nas nowa sytuacja na froncie lite-
ckim. Naszym pierwszym zadaniem nie jest teraz walka o uznanie
alizmu socjalistycznego, bo to zostało w zasadzie osiągnięte. Naszym
daniem jest teraz walka o pogłębienie metody realizmu socjalistycz-
go, o nadanie mu konkretnej, klasowej, rewolucyjnej treści, o pod-
esienie poziomu dzieł z jego ducha zrodzonych, o eliminację wreszcie
sztek formalizmu z twórczości artystycznej a zwłaszcza z krytyki.

Dlatego, próbując ocenić obecny stan naszej literatury, podnosząc
odkreślając duże i ważne sukcesy, osiągnięte w ostatnich latach, nie
winniśmy przymykać oczu na braki i błędy, jeśli nie będziemy ich
prawiali, to może się zahamować lub wypaczyć generalna linia lite-
tury polskiej.

VI

Porównując poszczególne rodzaje literackie sądzę, że najznaczniej-
e sukcesy mamy do zanotowania w prozie. Nasza powieść, nowela,
eracki reportaż, moim zdaniem, zaszły najdalej w drodze realizmu
cjalistycznego.

Widomym znakiem tego stanu rzeczy mogą być zeszłoroczne pań-
wowe nagrody literackie, z których znakomita większość przypadła
udziale właśnie prozaikom.

Aby łatwiej uprzytomnić sobie nieprostą drogę ku realizmowi so-
alistycznemu, spróbujmy proces ten rozdzielić na, powiedzmy, na-
epujące etapy:

W pierwszym mamy do czynienia z autorem, który czuje niedosta-
czność swojej metody twórczej, wyrosłej z tej czy innej odmiany
rmalizmu czy czegoś tam jeszcze i szuka sposobów udoskonalenia
asnej sztuki pisarskiej, dopasowania jej do epoki, której sens ogól-
e uznaje. Przykładem tego etapu w drodze do realizmu socjalistycz-
go może być drugi tom „Nieba i ziemi" Tadeusza Brezy. Autor

utrzymuje w nim ten sam niesłychanie zwolniony tok narracji, typo
wy dla „Murów Jerycha" i z zamiłowaniem stosuje wzorowany na
Proustce kontredans z czasem. Ale w swej ostatniej książce Brez
stara się jakoś pogodzić swoją manierę traktowania czasu z zasada
czasu obiektywnego, właściwą dla realizmu, mianowicie krótki, paro
dniowy okres czasu powieści rozbija wycieczkami w przeszłość, z któ
rych każda jest umotywowana momentem zjawienia się na pierwszym
planie odpowiedniej postaci powieściowej. Nie można nazwać rezulta
tów tej próby kompromisu w pełni udanymi, należy jednak zanotować
ten wysiłek autora. W powieści zjawiają się też wreszcie postaci po
zytywne. Trudno liczyć, aby Breza, przy właściwym mu dotąd przero
ście analizy psychologicznej, potrafił podołać temu najtrudniejszemu
zadaniu — stworzenia bohatera pozytywnego — niemniej i tutaj widać
ewolucję pisarza od czasów „Murów Jerycha".

Można by powiedzieć, że Breza w swojej ostatniej książce jest
na etapie odbudowy obiektywnego czasu i obiektywnej przestrzeni,
które w jego twórczości, pod wpływem Prousta i Joyce'a, a za zachę
tą naszej niesłusznej krytyki z roku 1946, znajdowały się w stanie peł
nego chaosu, rozbite, sproszkowane, odsunięte z należnego im miejsca
na ostatnią peryferię wartości powieściowych przez natłok często nie
kontrolowanej, drobiazgowej, anarchicznej analizy psychologicznej.
Dodajmy, że książka w zasadzie powstała trzy lata temu. Można więc
spodziewać się, że autor w tym czasie odbył dalszą pozytywną ewolucję.

Wyzwalanie się ze schorzeń formalistycznych i innych w różnych
stadiach możemy znaleźć u wielu autorów. Dla nas jednak ważne jest
nie porozkładanie naszych pisarzy w różnych szufladkach, ale próba
wykrycia zasadniczych zjawisk naszej literatury. Zanotujmy ten etap
i przejdźmy do następnego.

Można by go nazwać jakimś spóźnionym realizmem krytycznym.
Autor w zasadzie operuje realistyczną metodą przedstawiania świata,
nie umie jednak zdobyć się na należyte rozstawienie sił działających
w powieści, nie zachowuje należytych między nimi proporcji, nie po
trafi ich uchwycić w dynamice ich rozwoju. Ogromna większość na
szej powojennej prozy, poświęcona okresowi dwudziestolecia — re
prezentuje ten właśnie etap, dziś już mocno spóźniony wobec naszych
zadań.

Charakterystyczną cechą tego etapu jest ogromna przewaga w dzie
le postaci i środowisk mieszczańskich czy szlacheckich. Autor nie
szczędzi jadu swej satyry, aby ukazać zgniliznę tego świata, mniej
lub więcej udatnie obnaża istotne korzenie kapitalizmu i z werwą na
nimi się znęca. Ale przecież dzisiaj takie rozwalanie drzwi otwartych
nie jest dla nas czynnością pierwszej potrzeby. Dzisiaj chcielibyśmy
ujrzeć naszą przeszłość nie jednostronnie, tylko w całej skomplikowa
nej jej różnorodności, chcielibyśmy widzieć siły rewolucyjne Polski
przedwrześniowej w walce z kapitalizmem, obie te siły chcielibyśmy
zobaczyć nie w jakiejś statycznej czy statystycznej proporcji i hie

rchii, ale właśnie jedną w dynamice jej rozwoju, drugą w jej sta-aniu się ku katastrofie wrześniowej.

Niestety, w dziełach tej kategorii właśnie brak pozytywnego boha-ra, siły zaś postępowe grają w książce niewspółmiernie małą rolę.

Przykładowo wymieńmy w tym etapie trzy pierwsze tomy cyklu zimierza Brandysa „Między wojnami". Autor w tym cyklu zrobił ży krok naprzód w stosunku do „Miasta niepokonanego". Niemniej, dliwej i trafnej, a więc sięgającej wyżyn prawdy artystycznej, alizie świata mieszczańsko - szlacheckiego, która w postaci Ksawe-go Szarleja nabiera pewnych cech typowych dla rabunkowego, opóź-nego w swym rozwoju, cherlawego i uzależnionego od Zachodu lskiego kapitalizmu — tej jednej stronie Polski przedwojennej autor e przeciwstawił z równą siłą artystyczną rewolucyjnego nurtu tego resu. Postać Pankrata, zajmująca połowę trzeciego tomu, ukazana stała blado. Autor dał się w tej części powieści zaplątać w napół yminalną historię fabularną, co, oczywiście, jeszcze bardziej osła-o wymowę tego wątku. Należy oczekiwać, że czwarty tom cyklu, ęściowo przynajmniej, wyrówna te niedociągnięcia.

Rzecz prosta, elementy takiego spóźnionego realizmu krytycznego e sprowadzają się wyłącznie do niezdolności przedstawienia bohate-pozytywnego, tym mniej — do poprzestawania na przedstawianiu odowiska burżuazyjnego. Zresztą należy podkreślić, że termin spóź-nego realizmu krytycznego jest umowny i niedoskonały. Zjawiska, óre opisałem powyżej, pewną swoją stroną przypominają niewąt-wie burżuazyjny realizm krytyczny, z tą różnicą, że ten — zwłasz-a w Polsce — atakował w zasadzie przeżytki feudalizmu, nie umiał dnak sięgnąć do korzeni dostrzeganych czasem przez siebie sprzecz-ści kapitalistycznych. Ale istotna różnica między postawą Prusa czy wet Żeromskiego a postawą omówionych powyżej pisarzy polega na m, że tamci atakowali pewne elementy kapitalizmu z pozycyj jakie-ś burżuazyjnego humanizmu i nie umieli mu przeciwstawić żadnego ogramu pozytywnego, podczas gdy ci atakują kapitalizm w zasadzie pozycyj socjalizmu, z pozycyj marksistowskich i nie pozytywnego ogramu im brakuje, ale umiejętności artystycznego jego przed-awienia.

Wynika z tego, że ten umowny spóźniony realizm krytyczny nie st już dziś samodzielną pozycją ideologiczną, przeciwstawiającą się alizmowi socjalistycznemu, choć chwilami po wojnie tak bywało, e po prostu, jak powiedziałem poprzednio, jest etapem na drodze i niemu.

Autorami, u których elementy realizmu socjalistycznego zaczynają yraźnie przeważać, są: — Tadeusz Konwicki — „Na budowie", Miro-aw Kowalewski — „Kampania znaczy walka", Igor Neverly — „Archi-lag ludzi odzyskanych", Witold Zalewski — „Traktory zdobędą wios-", Bohdan Hamera — „Na przykład Plewa", Stanisław Wygodzki tomie nowel „Widzenie", Aleksander Ścibor-Rylski, paru pisarzy, któ-

rzy drukowali fragmenty swoich utworów w prasie, jak np. Stanisław Lem, Józef Kuśmierek, Roman Hussarski i inni.

Wspólnym mianownikiem, cechą podstawową, łączącą tę całą grupę utworów jest przede wszystkim ich tematyka, związana bezpośrednio z główną linią zainteresowań naszej literatury w bieżącym okresie: budowa nowych obiektów przemysłowych i wyrastanie jej uczestników (Konwicki), początki współzawodnictwa socjalistycznego (Mirosław Kowalewski), wyzysk kułacki już w Polsce Ludowej i walka z nimi (dwa opowiadania Kuśmierka), początki ruchu spółdzielni produkcyjnych (Zalewski), awans społeczny szeregowego robotnika (Hamera), nowe metody wychowawcze (Neverly).

Oczywiście nie tylko dobór tematu w powyższych wypadkach jest ważny, ale i główne metody jego rozwiązania. Autorzy z tej grupy na ogół prawidłowo rozstawiają siły działające w swoich utworach, dobierają konflikty typowe i ważne i potrafią je w zasadzie rozwiązać słusznie, tj. zgodnie z dynamiką rozwoju walki klasowej w naszych warunkach. Co najważniejsza, w większości powyższych utworów zjawia się bohater pozytywny — aktywista wiejski, przodownik pracy, działacz partyjny. Akcent zostaje przesunięty z człowieka wczorajszego na bohatera naszej przyszłości. Stąd ogromna różnica między tą kategorią utworów a poprzednią.

Na tym polega duże znaczenie dla nas tej grupy utworów. Zalewski i Hamera, Kowalewski, Konwicki i inni wykazali naszym niewiernym Tomaszom, że już dzisiaj metoda realizmu socjalistycznego może z powodzeniem być u nas stosowana w twórczości literackiej. Przyznanie tym młodym przeważnie autorom najwyższego wyróżnienia w postaci nagród państwowych jest dowodem, jak dużą wagę do tych pierwocin realizmu socjalistycznego przywiązują nasze czynniki państwowe i partyjne.

Podkreślając z całym naciskiem ten największy sukces zbiorowy ostatnich dwóch lat naszej literatury, którym jest zjawienie się pierwszych dzieł realizmu socjalistycznego, nie powinniśmy jednak poprzestać na pochwałach, przymykając oczy na braki i błędy, których z natury rzeczy nie brak w tych pierwocinach. Tylko cynik, tylko człowiek, któremu dobro naszej literatury nie leży na sercu, mógłby twierdzić, że wszystko idzie gładko i prosto na tej polskiej drodze ku realizmowi socjalistycznemu. Przemilczenie zresztą słabości, czasem aż nadto widocznych, wymienionych powyżej utworów, wyrządziłoby krzywdę i autorom nagrodzonym i całej sprawie realizmu socjalistycznego u nas.

Jakie są najważniejsze błędy Mirosława Kowalewskiego czy Konwickiego? Kowalewski pod tym względem jest może najtypowszy. Poświęcając niesłychanie dużo miejsca opisowi techniki produkcyjnej, redukuje on postaci działające do jednej tylko strony — udział w produkcji i we współzawodnictwie socjalistycznym. Ta eliminacja nie ogranicza się tylko do psychologii, że tak powiem, osobistej posta-

działających, sięga także do spraw politycznych. Daremnie byśmy a podstawie fabuły powieściowej próbowali książkę umiejscowić czasie i przestrzeni. To nie Polska zaciekłej walki klasowej, Polska alki z prawicowym odchyleniem jest krajem powieści Kowalewskie-, ale jakaś idylliczna kraina, w której największym wrogiem jest euświadomiony sobek, zużyte mechanizmy fabryczne oraz szwan-ująca tu i ówdzie organizacja. Ujmując w ten sposób swoje zadanie owieściowe Kowalewski pod dwoma względami swój utwór okalecza. rzede wszystkim zasięg oddziaływania książki jest ograniczony. Nasz obotnik, nasz aktyw partyjny ma i dziś jeszcze do czynienia z poważ-ejszymi, cięższymi kłopotami, musi zwalczać o wiele groźniejsze trud-ności, czytając o perypetiach bohaterów Kowalewskiego może on po-iedzieć: to żadna sztuka dać sobie radę w takich warunkach, przy-edłby ten Goryczan do nas! Po drugie, książka wyprana z treści sychologicznej i politycznej traci na atrakcyjności. Cóż za przyjem-ość czytać powieść, której bohaterzy są niewiele plastyczniejsi od ohaterów byle gazeciarskiego artykułu?

Błąd zbyt lekkiego przechodzenia nad trudnościami, nieumiejętność ięcia konfliktu w jego istotnym punkcie (co nie znaczy bynajmniej, że udności trzeba wyolbrzymiać), pobieżne traktowanie bohatera — echuje także książkę Konwickiego, choć na ogół uniknął on tej fałszy-ej apolityczności Kowalewskiego.

Neverly i Zalewski reprezentują w mniejszym stopniu te same dwa py słabości. Pierwszy zbyt blado przedstawia walkę polityczną owe-o okresu w jej klasowej treści. Drugi jest po reportażowemu pobież-y w przedstawianiu swoich bohaterów.

Z całej tej grupy błędy Hamery są najmniej ważkie, choć rzucają się oczy niemniej szybko. Sprowadzają się one do nierównej wartości rtystycznej poszczególnych części książki, braków kompozycyjnych, twych do usunięcia i drobnych błędów w rozstawieniu decydujących gniw w opisywanej fabryce. Usunięcie początku powieści, przeredago-anie lub skrócenie końca, z grubsza biorąc, sprawę by załatwiło.

Kowalewski, Konwicki, Zalewski, Hamera, Neverly — to nie wszy-cy z grupy pisarzy, którzy najdalej zaszli na drodze do realizmu socja-stycznego, będącej głównym nurtem naszej literatury dwu lat statnich. W różnych stadiach twórczych znajdują się utwory ałego szeregu innych autorów, po których możemy się spo-ziewać bardzo poważnego wzbogacenia naszego wspólnego dorobku. Wydawnictwa sygnalizują nam szereg interesujących debiutów, jak p. Żuławskiego, Lema, Bielińskiego. Wiemy, że nad nowymi dziełami bliżonymi do tego nurtu pracują Jarochowska, Jackiewicz, Żukrow-ki. Breza, Borowski, Andrzejewski, Brandys, Piętak, Olcha-Mirek, ałaj, Pogan, Brzoza i cały szereg innych pisarzy średniego i młod-zego pokolenia. Na pewno wielu z nich przeżywa różne twórcze trud-ności i zahamowania. Sądzę, że jedną z form naszej zbiorowej dla nich omocy jest właśnie przedyskutowanie zalet i wad tych pierwszych siążek nowego kierunku, które się u nas ukazały.

Ale omawianie tych wad w żadnym razie nie powinno nam przesłaniać istotnej i najważniejszej zalety tych dzieł: śmiałego wkroczenia w nową, decydującą dla nas fazę naszej literatury. Zrekapitulujmy więc: Kowalewski dostał nagrodę państwową nie za swój technologizm, nie za swoją apolityczność, ale — pomimo tych wszystkich błędów — za pierwsze w naszej literaturze przedstawienie tak węzłowego u nas dzisiaj zagadnienia jak współzawodnictwo socjalistyczne, Hamera dostał nagrodę nie za fałszywie wystylizowany początek nowej powieści i nie za nielogiczną jej konstrukcję, ale — pomimo tych braków — za ciekawą i śmiałą, jedną z pierwszych u nas próbę przedstawienia jako bohatera przeciętnego robotnika, rosnącego w warunkach władzy robotniczo-chłopskiej.

Analizując w ten sposób pierwsze próby realizmu socjalistycznego pogłębimy naszą znajomość zasad tego kierunku i ułatwimy kroczenie w tym kierunku coraz szerszych rzesz literatów.

VII

Nasza liryka, na której formalistyczne schorzenia powojennych początków zaciążyły szczególnie mocno, niewątpliwie zrobiła duży krok naprzód, choćby w porównaniu z rokiem 1948.

Na czym te postępy polegają, gdzie występują szczególnie jaskrawo? Liryka nasza, jak i inne rodzaje literackie, zbliżyła się do realizmu socjalistycznego. Ewolucja ta jest widoczna nie tylko w zmianie ogólnego stylu poetyckiego, która wyraźnie zachodzi w naszej poezji, ale także i w świadomości poetów. Jeśli w okresie międzywojennym po początkowym zachłyśnięciu się płytkim witalizmem Wierzyńskiego i abstrakcyjnym kultem maszyny wczesnej awangardy rychło nastąpiła, uwarunkowana zresztą klasową przynależnością poetów, moda na pesymizm, solipsyzm, katastrofizm — to w warunkach Polski Ludowej, po początkowym pesymizmie i formalizmie zjawiła się fala rewolucyjnego patosu i wiary w przyszłość.

Także i w zakresie poetyckiego stylu obserwujemy odwrót od kosmopolityzmu wzorów, które bezapelacyjnie dominowały na początku okresu Polski Ludowej, odwrót od niezrozumialstwa, próby ukazania przeżycia poetyckiego jako odbicia realnie istniejącego, poznawalnego obiektywnie świata.

Trzy zjawiska w tej ewolucji dają się uchwycić jako przesłanki powyższego wniosku. U poetów średniego pokolenia, których przedwojenna twórczość była mniej lub więcej związana z ówczesną poetycką modą, odbywa się stały proces wyrastania z dawnych manier twórczych. Ostatnie wiersze Ważyka w „Nowej Kulturze" są dla niego pod tym względem o tyle znamienne, że po okresie mocnych wierszy wojennych, jest to nowy dowód jego rozwoju poetyckiego w zetknięciu z konkretnymi zadaniami naszego budownictwa socjalistycznego. Ważyk ma swój styl poetyckiego widzenia świata, który może się komuś

dobać lub nie, trzeba jednak podkreślić, że w przeciwieństwie do ektórych innych naszych poetów, jego styl nie wywodzi się z manier portowanych, nie jest polską stylizacją Nerudy, Eluarda czy Hikta, by mówić o najbardziej czołowych przedstawicielach nurtu dekratycznego w świecie kapitalistycznym.

Bardzo wyraźną ewolucję widzimy u Jastruna. Od „Sezonu w Alch" do „Roku urodzaju" Jastrun przebył długą drogę, wyrastając amotniczych, pesymistycznych nastrojów na piewcę życia, piewcę owieka i nowego społeczeństwa. Ostatnie jego wiersze w „Nowej lturze" (Nr 20) oraz „Twórczości" (Nr 8) ukazują nowe jego agnięcia, ukazują trudną, ale niezbędną ewolucję od ogólnej afircji — powiedzmy ideologicznej — nowego świata do konkretgo tematu, do konkretnego udziału w konkretnych zadaniach polej klasy robotniczej.

Nawet ostatni wiersz Przybosia (Nr 10 „Twórczości") świadczy ewnej ewolucji twórczości tego poety, który reprezentował niejako l formalistyczny i najsilniej z polskich poetów zaciążył na naszej pojennej młodzieży. Przyboś stara się w nim ograniczyć wymyślne, usprawiedliwione tematem metafory i, nie rezygnując z własnego mowania poetyckich walorów — zbliżyć utwór nowemu odbiorcy.

Nowe akcenty tematyczne znajdujemy również u — niestety mało ukujących ostatnio — mistrzów pokolenia skamandryckiego, Tuma, Słonimskiego, Iwaszkiewicza. Tę samą pozytywną ewolucję radzają wiersze znakomitego poety średniego pokolenia, Czesława Łosza.

Drugim pomyślnym zjawiskiem jest powszechny odwrót młodych etów, którzy startowali zaraz po wojnie, w warunkach słabości kryki marksistowskiej od formalistycznych manier, którym podówczas gali — do realistycznego nurtu poetyckiego. Poza Andrzejem Braun, Jerzym Millerem i innymi, u których przejście to się już dokoło, ewolucję tę można stwierdzić nawet u najsilniej dotkniętego rmalizmem, Tadeusza Różewicza.

Wreszcie musimy z radością zanotować, że najmłodsi, startujący piero poeci już nie Przybosia biorą sobie za patrona, ale Brониewego i Majakowskiego. I to może jest najznamienniejsze, jeśli chodzi stwierdzenie dokonanej ostatnio przez naszą poezję ewolucji.

Następnym elementem ogólnej oceny sytuacji poetyckiej winno być vierdzenie szeregu osiągnięć poetyckich w ostatnich latach. Coraz ęcej jest wierszy opiewających budowę socjalizmu, proletariacki ernacjonalizm, wierszy na wysokim poetyckim poziomie. Broniewswoim poematem o Stalinie, swoimi wierszami o tematyce współsnej dowodzi, że jubileusz nie jest bynajmniej dla niego podsumoniem, jest kolejnym etapem poetyckiego dzieła. Poza wymienionyjuż poetami możemy wyliczyć jeszcze cały szereg będących w pełj formie twórczej. — Stanisław Ryszard Dobrowolski, Leon Pasterk, Stanisław Wygodzki, Włodzimierz Słobodnik i inni. Konstanty

Gałczyński dał ostatnio kilka świetnych wierszy antywojennych. Roz wijają się wyraźnie tacy poeci jak Edward Fiszer z Gdańska, Jerzy Miller z Łodzi, Arnold Słucki z Warszawy, Zygmunt Mikulski z Lubli na, Wisława Szymborska z Krakowa. W naszych ośrodkach prowin cjonalnych pojawiają się nowi, uzdolnieni poeci — że wymienię ta kiego Hołdę z Miechowa. W Warszawie, Koło Młodych przy ZLP może się poszczycić całą grupą debiutantów z Henrykiem Gaworskim i zdol nym tłumaczem Majakowskiego Jerzym Litwiniukiem na czele.

Niemniej jednak, przeglądając nasze centralne pisma literackie „Nową Kulturę" i „Twórczość", musimy stwierdzić, że duży procent bieżącej produkcji literackiej posiada braki chwilami aż żenujące. Wielu naszych utalentowanych poetów pojęło — zdaje się — przejście do realizmu socjalistycznego jako zwolnienie ich z poetyckich rygo rów, jako „zniżenie się" ich do tego jakiegoś nowego, masowego, więc niewybrednego odbiorcy. Inni w poszukiwaniu nowego stylu błądzą nie umieją odnaleźć swego własnego wyrazu poetyckiego. Jeszcze inni przejście do realizmu socjalistycznego pojmują jako naśladowanie uznanych mistrzów tego stylu nie w ich podejściu do poetyckich za dań, ale także konkretnych, dosłownych poetyckich chwytach, obra zach, zwrotach syntaktycznych. I wreszcie są tacy, którzy naśladują poetyckie metody czołowych demokratycznych poetów Zachodu licząc może, że zasługi polityczne ich patronów osłonią ich przed krytyką.

Prócz tego i w poezji dają się zauważyć pewne cechy zjawisk anali zowanych już przy omawianiu prozy, jak na przykład niedostrzeganie nowego odbiorcy, adresowanie wierszy ciągle temu samemu nieprze konanemu inteligentowi, schematyczność, ogólnikowość, ucieczka — jeśli nie w czasie, to w przestrzeni — przed trudnościami dzisiejszego polskiego tematu. Olbrzymia bowiem ilość utworów lirycznych poświę conych tematyce międzynarodowej — ważnej i potrzebnej w zasa dzie — wydaje się częściowo spowodowana nieumiejętnością znalezie nia walorów poetyckich w polskim powszednim dniu budowania socja lizmu.

Przejdźmy pokrótce te słabości naszej poezji. Pierwszą stacją w te lirycznej Kalwarii wydaje się być nadmierna skłonność do stylizacji rezygnowanie z własnego wyrazu poetyckiego na rzecz tej czy innej szkoły poetyckiej, z tych czy innych względów uważanej za wzorową.

W liryce trudniej niż w dramacie czy powieści określić elementy realizmu socjalistycznego, formalizm i niezrozumialstwo przybierają tutaj czasem odcienie tak wysubtelnione, że ściganie ich wymaga dużej ostrożności, by, jak to się mówi, dziecka razem z kąpielą nie wy lać, bo zwalczając pewne cechy uważane przez nas za taki formalizm ryzykujemy to, że możemy zabić osobowość liryczną danego poety. W liryce, jeszcze bardziej niż w innych rodzajach literackich realizm socjalistyczny oznacza zachowanie różnorodności, niepowtarzalności twórcy w ogólnych ramach materialistycznego światopoglądu i literac kich zadań, postawionych nam przez naszą epokę.

Dlatego nic nie może być bardziej obcego duchowi realizmu socjali-rcznego niż stylizacja, podrabianie zewnętrznych chwytów i metod jbardziej nawet wybitnych i najbliższych nam ideowo poetów. Za-e przysłowionym już talmudyzmem byłoby zalecanie poetom pod-biania poetyki np. Majakowskiego, jako mechanicznej recepty na brą poezję.

Tymczasem musimy stwierdzić, że panoszą się u nas co najmniej y typy stylizacji. Najliczniejszy — to stylizacja pod wielkich po-w - demokratów świata kapitalistycznego — Nerudę, Eluarda, Hik-eta. Nasi, że tak powiem, „nerudyci" zapominają przy tym o tak mentarnym prawie, że każda wartość poetycka uwarunkowana jest wojem danej literatury narodowej i aktualną sytuacją społeczną. echaniczne przenoszenie zewnętrznych chwytów z obcej — zwłasz-a tak dalekiej od nas literatury jak francuska czy hiszpańska, oczy-ście nie wzbogaca naszej poezji, przeciwnie, zubaża ją i zahamowuje. Stąd niewolnicze naśladowanie cudzej poetyki wydaje się chwilami swój sposób przeżytkiem niedawno tak powszechnego u nas płasz-enia się przed kulturą zachodnią.

Nerudyci nasi zresztą przenosząc żywcem takie elementy poetyki szpańskiej jak biały wiersz, równie tam pospolity i naturalny jak nas np. sylabiczny wiersz o żeńskich rymach, braku tego rygoru nie drabiają innymi wartościami poetyckimi, których u Nerudy czy uarda nie raczyli dostrzec.

Nie chcąc być gołosłowny, wymienię przykładowo Kubiaka, który wierszach do swojej córki o pokoju (Nr 35 „Nowej Kultury") zapo-cza od Nerudy manierę litanijnej kompozycji utworu, namiętnie ope-je już nie tylko nerudyzmami, ale gargaryzmami, mniej lub więcej turalnymi u łacinoamerykańczyka, wnuka baroku hiszpańskiego, na-etnymi, rażącymi w mowie nadwiślańskiej, która bądź co bądź od An-zeja Morsztyna — w tych jego gorszych utworach — odeszła dosyć leko.

Kubiak pewnie nie zdaje sobie sprawy, jak wiele mu zaszkodziła jego isiejsza „nerudycja". Chwilami się zdaje, że ten poeta zapomniał, iż otą poezji jest zwięzłość, prostota i trafność. Poetyckość bynajmniej e polega na tym, żeby — kiedy się widzi dwie blondynki mówić:

Dwóch córek słońcu
włos poślubiony...

(„Nowa Kultura" Nr 27)

Talent poetycki Kubiaka, który jest tak duży, że nawet wszystkie te tuczności, hiperbole, litanie i wykrętasy nie potrafią go do reszty zła-ać, jak o tym świadczy wiele pięknych miejsc w tych samych wier-ach o pokoju — wygrałby niewątpliwie na stanowczym wyrzeczeniu ę przez niego tej maniery.

Elementy wpływu Nerudy możemy znaleźć u poetów tak różnych sty
lowo jak Jastrun (wstępny wiersz z „Roku urodzaju") czy Wygodzk
(słaby wiersz „Pięć zdań o intelektualistach" w 7 numerze „Twór
czości").

Chwilami „nerudycja" łączy się ze stylistyką kosmogeniczno-biblij
ną — jak w wielkim poemacie Jacka Bocheńskiego (Nr 27 „Nowe
Kultury"). Oczywiście dwie stylizacje nie dają w rezultacie własneg
poetyckiego oblicza.

Klasycznym przykładem „robienia" pod Eluarda są dwa wiersze n
tematy francuskie z 23 numeru „Nowej Kultury". Autor mechaniczni
zastosował biały i wolny wiersz eluardowski, w jednym utworze okra
szając go dwiema pointami, w drugim — absolutnie niczym. Innym
słowy ze sztuki Eluarda wzięto tutaj same ułatwienia, pogubiono za
przezornie wszystkie wewnętrzne, nie rzucające się w oczy, rygory
Rezultat — licha proza.

Przykładów tego rodzaju można by mnożyć bez końca. Wydaje m
się jednak, że na tym przykładzie można poprzestać, uznając, że zja
wisko niewątpliwie istnieje i jest niepokojące.

Chciałbym podkreślić rzecz całkiem oczywistą, że nie występuję prze
ciwko tłumaczeniu i rozpowszechnianiu u nas poezji Nerudy, Eluard
czy Hikmeta. Na odwrót — ich szeroką popularność u nas uważam z
jedno z wielkich osiągnięć naszego ruchu pokoju i internacjonalizm
proletariackiego. Ale co innego czytać, co innego uczyć się, a co inne
go — podrabiać mechanicznie i bezkrytycznie.

Drugim typem powszechnie stosowanej u nas stylizacji jest naślado
wanie zewnętrznych chwytów Broniewskiego i Majakowskiego. Chciał
bym się zastrzec, że cazus ten różni się poważnie od poprzedniego. Bro
niewski jest mistrzem nowoczesnej rytmiki polskiej; u niego dopier
wiersz toniczny, stosowany i przed nim, nabrał tych cech melodyjnośc
które, zbliżając się do sylabicznego ośmiozgłoskowca Mickiewicza i d
niektórych metrów poezji ludowej tworzą zeń najpowszechniejszy dzi
u nas wiersz trzyakcentowy, nadający się pięknie zwłaszcza do recy
tacji. Typ budowy tematycznej, składnia Broniewskiego, inne dotąd z
mało zanalizowane cechy poetyki Broniewskiego — sprawiają, że t
poetyczna szkoła jest najlepsza, najowocniejsza dzisiaj dla naszej poe
zji. Tak samo Majakowski, wielki poeta bratniego narodu rosyjskieg
w jego nowej, najbliższej nam epoce — wprowadza wiele walorów poe
tyckich, które mogą naszą poezję tylko wzbogacić. Nie mówię już o na
ważniejszym — o pojmowaniu zadań poezji, w czym i Majakowsk
i Broniewski są dla nas, zaiste, wzorami.

Ale przecież nauka nie polega na dosłownym powtarzaniu pewnyc
chwytów poetyckich mistrza.

Pieśni gniewna, pod niebo strzel,
albo się ucisz i wspomnij!

Gdyby nie nonsens tej alternatywy, postawionej przez autora przed ewną pieśnią, każdy by pomyślał w pierwszej chwili — Broniewski. następnej jednak przypomniałby sobie, że Broniewski od samego sie- nie będzie „zrzynał".

Uczenie się od Majakowskiego niektórych poezji pojmują jako ze- lenie na byle jakie schodkowanie byle jakich zestawów słownych.

Kiedy
trzeba było mieć ramię tak silne
aby wzniosło dom —
od podziwu większy?

lub:

I droga
— „ej ta droga..."
prowadzi
prowadzi naprzód!

Wiersz młodego, zdolnego poety Kapuścińskiego, poświęcony pracy odzieżowej brygady traktorzystów, więc tematowi nader ważnemu, ualnemu, za co poecie należy się pochwała — niestety obfituje w ta- poetyckie dziury. Dom od podziwu większy? To przecież nie Maja- wski, to byle jaka poetycka woda.

Trzecia kategoria stylizacji — to pseudoludowość. I tu Kubiak może n służyć za przykład w swojej „Kołysance ludowej", w której refren ym „przebiśniegiem" ma zapewne w intencji autora nadać całości i właśnie ludowy, łowicko-podhalański charakter.

Poezja ludowa może i powinna stać się dla nas szkołą poetyki, może- i powinniśmy z niej czerpać poetyckie cenności wszelkich kate- ii — w obrazowaniu, w rytmice, w budowie tematycznej. Ale taki wnętrznie przyczepiony „przebiśnieg" staje się w wierszu przysło- owym kwiatkiem przy kożuchu.

Zapewne można by znaleźć i inne źródła tych czy innych elementów lizacji u naszych poetów, można by też sprzeczać się czy przykłady zeze mnie cytowane, istotnie się wywodzą z tych a nie innych auto- v. Nie to jest ważne. Ważne są dwa stwierdzenia. Po pierwsze — sty- acja u części naszych poetów jest faktem. Po drugie — jest ona przez h rozumiana jako okazja do pozbycia się pewnych rygorów poetyc- h, akurat brakujących we wzorach i nienadrobienia ich rygorami, niejącymi we wzorach, ale nieobecnymi w poezji polskiej. Innymi wy poeta usiłuje połączyć ułatwienia stylu zapożyczonego z ułatwie- mi właściwymi naszej poezji narodowej. Nawet gdyby nie było po- źniejszych zasadniczych racji walki z tą manierą — sama taka me- la „życia ułatwionego" musiałaby wywołać u krytyki słuszną prze- vko temu reakcję.

Charakterystyczne, że naśladuje się u nas przede wszystkim poetów zkoły, które skądinąd godne są być wzorami. Jest to w pewnym stop-

niu pocieszające, bo świadczy, że ogólna ewolucja idzie w dobrym kie runku, poeci szukają dobrych wzorów. Świadczy to także jednak i o tym że poeci zapominają czy nie wiedzą, że realizm socjalistyczny wymag zachowania oryginalności twórczej, że uznając zasadę uczenia się u wiel kich mistrzów, od poezji ludowej poczynając, nie znosi on mechaniczne stylizacji, a tym bardziej metody „życia ułatwionego".

Tak jak i część naszych prozaików czy dramaturgów niektórzy nas lirycy nie wykroczyli jeszcze poza deklaratywną, ogólnikową akcep tację nowej postawy poetyckiej.

W mniej lub więcej udanych kompozycjach poetyckich zapewniają oni, że ustrój nasz jest najlepszy i najsłuszniejszy i że oni, poeci, są ca łym sercem z nami. Oczywiście i takie utwory są potrzebne, zwłaszcz jeśli są dobrze zrobione. Po pierwsze jednak najczęściej utwory te ro bione są metodą „ułatwioną". Po drugie tak w poezji jak w dramaci i w prozie — już nie deklaracja, choćby entuzjastyczna, jest najważ niejsza, ale współudział poety w pracy i trosce naszego głównego adre sata, robotnika polskiego.

U części poetów jednak głównym adresatem pozostaje ciągle nieprze konany inteligent. Dla kogo np. Kubiak napisał taki wiersz: (Nr 3 „Nowej Kultury").

A gdybyś wysłuchała
od początku do końca,
opowiedziałbym ci wiele
pięknych rzeczy o świecie.
O starych wieżach i dzwonach,
o górniku siwym jak mech,
o młodych drzewkach i skałach
wydanych na pastwę morzu.
O kraju lotnych piasków
zmienionych w krainę winnic.
I o winnicach zmienionych
na miejsce ludzkiej kaźni.
Ach, miałem mówić o pięknie
świata, ale opowieść
moja byłaby nieszczera,
gdybym nie dopowiedział.
Oto są dni zawieszone
u chmur, gdy skały półwyspów
bronią miast kontynentu
Jest śmierć, która jest przykładem

Ale jest i kraj nadziei,
gdzie koła stalowe w rzece
zapalają gwiazdę światła
wśród słoneczników kołchozu.

Kubiak, oczywiście, przyjmuje ideologiczną postawę światowego ob zu pokoju. Tym, którzy nie od razu w stylistycznych i pejzażowych z krętach znajdą jego miejsce polityczne — pomaga poeta słowem: „ko choz". Ale w sumie wiersz ten przeznaczony jest oczywiście, nie dla na ważniejszego naszego odbiorcy, lecz raczej może liczyć na powodzeni u wczorajszych kawiarnianych znawców, którzy może pomlaskują na nim językiem: bądź co bądź nic w nim nie jest nazwane po imieniu, p patrzcie, jaka dyskrecja poetycka.

Skoro już jesteśmy przy tym wierszu — pozwolę sobie na parę uwag ymie. Gorączka białego wiersza, panosząca się u nas nagminnie jest zcze jednym z dowodów zmanierowania się części naszych poetów. ciałbym cierpiącym na nią zwrócić uwagę, że rym nie tylko jest nym z najtypowszych atrybutów naszej poezji narodowej, nie tylko twia niewątpliwie percepcję wiersza u nowej, nie zblazowanej pu-zności, ale i pośrednio pomaga w eliminacji poetyckiej wody. Mia-vicie przestawienia składniowe, powodowane często koniecznością nalezienia dobrego rymu, by nie raziły, zmuszają poetę do zatrosz-nia się o dodatkowe walory treściowo-formalne. Innymi słowy wierszu rymowanym słabości są oczywiste, zdradzają się same, wierszu białym mogą się zamaskować brakiem rygorów. W rezultacie ry wiersz biały jest o wiele trudniejszy od rymowanego, ale „białe rze", które nas zalewa, za źródło swoje ma częściej nie zamiłowanie trudności formalnych, ale właśnie stylizację i „życie ułatwione".

Oczywiście jeszcze gorszy jest rym niechlujny, byle jaki, czego też, stety, nam nie brakuje. Pozwolę tu zacytować słowa Majakowskie-: „prawdziwy poeta woli z głodu zdechnąć, niż puścić w obieg wiersz i niechlujnie rymowany" (Saratów, 29.I.1927).

Jednym z zewnętrznych przejawów stadium deklaratywności, na któ-m marudzi jeszcze część naszych poetów, jest szafowanie słowami cjalizm", „komunizm" bez rozszyfrowania ich w poetyckich obra-h.

Oczywiście nie znaczy to, że słowa takie, pełne głębokiej treści pojęr-wej i uczuciowej winny być skazane u nas na banicję. Ale nie może-przyklasnąć poecie, który swoją słabość usiłuje załatać takim właś-wielkim słowem.

Wielkie słowa i wielkie tematy nie tylko nie zwalniają poetę z obo-ązku maksymalnego wysiłku, ale wymagają od niego więcej niż te-ty zwyczajne. W tym ostatnim wypadku, w razie niepowodzenia eta ośmiesza sam siebie, w pierwszym wypadku ryzykuje ośmieszе-tematu.

Poruszając wielki temat poeta powinien zadać sobie trud przestudio-nia tego tematu, nie poprzestawać na ogólnikach. Tymczasem np. ugmenty poematu Tadeusza Urgacza o marszałku Rokossowskim r 33 „Nowej Kultury") pozwalają żywić obawy, że poeta niewiele dał sobie trudu, aby ten temat pogłębić.

Ogólnikowość, deklaratywność części naszych poetów przejawia się ędzy innymi w lęku przed codziennym, konkretnym tematem z pol-ej rzeczywistości.

Mieliśmy z tuzin wierszy poświęconych bohaterskiej Raymonde Dien, jest godne uznania, ale za mało mamy wierszy o codziennych boha-rach pracy i walki u nas. Trzeba tu podkreślić, że poeci tacy jak Ka-ściński i Woroszylski mimo licznych słabości formalnych swojej ezji stanowią pod tym względem wyjątek. Tematyka młodzieżowa, owa Huta, brygady traktorowe itd. — często zjawiają się w ich wier-

szach. Należałoby życzyć naszym wszystkim poetom, aby częściej dla znalezienia tematu do wiersza sięgali do kroniki krajowej w naszej prasie. Należałoby życzyć, aby porzucili rozpowszechnione tu i ówdzie przekonanie, wyśmiane już przez Mickiewicza, że temat świeży może wejść do poezji dopiero, gdy „jak figa się ucukruje, jak tytoń uleży".

No i wreszcie powinniśmy wystąpić przeciwko panującemu tu i ówdzie — wśród utalentowanych nienajmłodszych poetów — przekonaniu że przejście do realizmu socjalistycznego oznacza „popuszczenie pasa" zwolnienie z rygorów, możność pisania byle jak, byle się odczepić.

Karty naszej centralnej prasy literackiej są czasem przytułkiem poetyckich frazesów doprawdy kompromitujących i autora, i redakcję. Jeśli to jest debiutant, jak w osławionym wypadku, „Rito, o Rito, Rito" — redakcja może się przynajmniej tłumaczyć chęcią wysuwania młodych kadr, chociaż i w tym wypadku nie usprawiedliwia to publikowania jawnej grafomanii. Ale co powiedzieć o takim np. passusie pewnego doświadczonego już i na pewno zdolnego poety:

Muszę jak okrzyk
ten krótki tekst wiersza swojego
przekazać tłumowi
— wiersz Polaka, patrioty koreańskiego —

Wytępienie tego rodzaju dziur poetyckich będzie niemożliwe, dopóki redakcje naszych czasopism nie zrozumieją, że przyjazny stosunek do autora nie oznacza bynajmniej pełnej obojętności na błędy i braki jego poezji.

Nie chcę dać okazji zawodowym entuzjastom do zarzucenia mi, że nie dostrzegam zjawisk pozytywnych. Owszem, dostrzegam. W tej samej „Nowej Kulturze" obok utworów słabych, znajdujemy wiele wierszy bardzo dobrych. Nie cytuję ich, bo liczę, że w wierszach autorskich którymi chcemy uczcić nasze plenum, sami autorzy odczytają je lepiej ode mnie.

Uważam jednak, żeśmy weszli w stadium, kiedy przymykanie oczu na słabości staje się niedopuszczalne. Doceniając osiągnięcia, widząc, że przeważają nad niedostatkami — nie powinniśmy rzeczowej i zasadniczej krytyki zastępować frazesami i grzecznościowymi dygami. Tylko rzeczową krytyką możemy pchnąć naszą poezję naprzód.

VIII

Jak już powiedziałem, nie jest moim zadaniem dać pełny i wyczerpujący bilans naszej literatury w chwili bieżącej, ani porozkładać wszystkich naszych pisarzy w pewnych, określonych dokładnie kategoriach. Zamierzam jedynie na przykładach paru dzieł naszej prozy i poezji zilustrować niektóre, zasadnicze zjawiska, zachodzące dziś w literaturze polskiej.

Nie zamierzam przedłużać tej analizy na dalsze rodzaje literackie, k literatura dla dzieci i młodzieży, dramat, satyra, sztuka przekładu. sadnicze zjawiska istniejące w prozie i poezji powtarzają się ogólnie rząc i w tych rodzajach. Tak np. w dramacie obok wielu sztuk, których główny konflikt zbudowany jest ciągle na wahaniu się inteenta między uznaniem a odrzuceniem władzy ludowej, mamy do zaowania zjawienie się całej grupy utworów, związanych organicznie nową problematyką budowy socjalizmu i mających za temat wyranie nowego bohatera — przodownika pracy, walkę z kapitalizmem ejskim itd. Tak w dramacie więc jak w poezji i prozie pisarze nasi ją już pierwsze osiągnięcia, choć i tu są jeszcze te same zahamowai opóźnienia.

W satyrze obserwujemy pokonanie szkodliwej tezy o zasadniczej neywności, opozycyjności tego rodzaju literackiego. Wielu naszych saryków może się poszczycić sukcesami literackimi zarówno w tematyce odukcyjnej — choć tego jest ciągle za mało — jak i w ogólnej płaczyźnie walki o pokój.

Są jednak wśród satyryków tacy, którzy nie wyrośli jeszcze z mieszańskich koncepcyj roli satyry. Inni znów nie rozumieją, że zadaniem tyryka jest czułe wychwytywanie wszelkich nieprawidłowości tego innego procesu społecznego, a nie czekanie, aż się go do tej czy innej kcji" urzędowo zmobilizuje. Jeszcze inni wreszcie nie doceniają roli tyry jako rodzaju literackiego, który zwalcza te czy inne przeżytki rżuazyjnej mentalności, moralności, ideologii — przede wszystkim rez obnażanie ich nicości i śmieszności. Zapominają oni, że w naszych arunkach satyra również winna razić śmiechem.

Nader ważny rodzaj literacki, którym jest literatura dla dzieci i młoieży, także przeżywa ten sam mniej więcej moment rozwojowy. w niej, z grubsza biorąc, obserwujemy zasadniczy zwrot i pierwsze kcesy. I w niej istnieją swoiste słabości, między innymi niewysoka asem jakość utworów.

Parę słów o niesłychanie ważnej odmianie literackiej — scenariuszu mowym. Film jest formą oddziaływania artystycznego o niewspółernie szerokim zasięgu. Potęgi filmu nie da się porównać dzisiaj żadną inną sztuką. Nie analizując tego zagadnienia, chciałbym zwróć uwagę wszystkich literatów na konieczność bliższego zainteresowaa się tą dziedziną. Powinniśmy dać filmowi szereg scenariuszy wysoej klasy artystycznej w ogólnym tematycznym rejestrze, który już stał omówiony.

Licząc, że wszystkie te działy i rodzaje zostaną szerzej omówione dyskusji, chciałbym w paru słowach scharakteryzować przełom, któ- nastąpił w tak węzłowym punkcie ofensywy ideologicznej, jakim jest rytyka.

Był to jeden z najsłabszych naszych punktów w ciągu pierwszych zech — czterech lat Polski Ludowej. Słabość krytyki marksistowskiej, tnienie w jej kołach charakterystycznego kierunku burżuazyjno-este-

tycznego, równoległego, z grubsza biorąc, do błędnych koncepcji L
kacsa — była bezpośrednią przyczyną naszego opóźnienia w przejśc
do realizmu socjalistycznego. Krytyka nasza nie umiała zająć logiczn
go, jednolitego stanowiska wobec powojennych zjawisk literackich, st
dezorientacja wielu zdolnych postępowych pisarzy i wiele nieudany
książek. Brak pracy przygotowawczej ze strony krytyki w pierwszy
okresie spowodował także i to, że po przejściu do realizmu socjalisty
nego wielu pisarzy nie umiało odnaleźć swego miejsca na tej drodze

Otóż trzeba stwierdzić, że na ogół krytyka nasza znakomicie się po
ciągnęła. Operuje już kategoriami estetyki marksistowskiej, umie w
dobyć i zanalizować słabości. Szczególnie pocieszający jest fakt, że i
Warszawie, i w terenie zjawiło się ostatnio wielu młodych krytyków
stojących na marksistowskich stanowiskach ideowych i umiejących s
tą metodą posługiwać.

Należałoby przy tym stwierdzić, że część młodych krytyków niesłus
nie przechodzi wyłącznie do badania historycznych epok naszej liter
tury. Nie negując wagi historii literatury należałoby podkreślić,
w naszych warunkach taki podział na historyków literatury i krytyków
jest szkodliwy. Powinniśmy dążyć, aby jak najwięcej polonistów p
święcało się i krytyce literatury bieżącej, i historii literatury.

Mimo zdarzających się jeszcze nieudanych artykułów krytycznyc
jak np. recenzja Grenia w „Dzienniku Literackim" o książce Kowalew
skiego — możemy liczyć, że krytyka dopomoże naszym literatom w p
konywaniu słabości, że spełni swoje zadanie w niezwykle ważnym d
nas etapie, który nadchodzi.

IX

Czy z powyższej, pobieżnej i niepełnej analizy zjawisk literacki
ostatnich czasów dałoby się wyprowadzić pewne wnioski ogólne? Myś
że tak.

Pierwszym takim wnioskiem jest stwierdzenie, że w płaszczyźnie id
ologicznej zwycięstwo zasad realizmu socjalistycznego jest całkowit
W płaszczyźnie osiągnięć praktycznych notujemy przejście całej niem
naszej młodzieży, wielu pisarzy średniego pokolenia i niektórych sta
szych, do prób stosowania w twórczości metody realizmu socjalisty
nego. Próby te dały już pierwsze wyniki pozytywne we wszystkich r
dzajach literackich.

Czy to znaczy, że to przejście odbywa się bez przeszkód i zahamowa
Czy to znaczy, że w tej chwili możemy się już poszczycić wielkimi r
zultatami? Mówić tak, zachłystywać się powodzeniami, nie doceni
trudności, a zwłaszcza nie analizować ich, przymykać na nie oczy
to znaczy wyrządzać niedźwiedzią przysługę naszej nowej literatur

Wydaje mi się, że w tej chwili są dwie najpoważniejsze przeszko
w dalszym rozwoju u nas realizmu socjalistycznego.

Po pierwsze płytkie, ogólnikowe, często błędne jego pojmowanie.

Po drugie niedostrzeganie lub niedocenianie przez wielu literatów ważniejszego naszego odbiorcy — polskiej klasy robotniczej, mas cujących, naszej robotniczo-chłopskiej młodzieży.

O realizmie socjalistycznym mówi się i pisze u nas dużo. Ale nasza tyka nie umie jeszcze w pełni, analizując konkretny utwór — uka-, jak ta metoda wygląda w praktyce.

Stąd takie zjawiska, dostrzeżone przez nas przy poprzedniej anali- jak próby wulgaryzacji realizmu socjalistycznego, zacieśnianie np. resu liryki, fałszywe pojmowanie zadań satyry, antymarksistowski sunek do naszej przeszłości literackiej.

Stąd częściowo wywodzi się u poetów zjawisko stylizowania twór- ści — pod kierunek, typ czy indywidualność poetycką, uznane za rowe. Zjawisko groźne, bo kompromitujące realizm socjalistycz- jako kierunek rzekomo zabijający oryginalność twórczą.

Stąd wreszcie rażące uproszczenia w twórczości pewnych poetów, chlujstwo, bylejakość.

Zjawiska te świadczą, że w świadomości pewnych naszych pisa- pojmowanie realizmu socjalistycznego jest płytkie i ciasne, więc dne, szkodliwe.

Nie rozumieją oni, że literatura budowy socjalizmu nie rezygnuje adnej z wielkich dziedzin oddziaływania na psychikę ludzką. Że y realizmie socjalistycznym wiersz musi wzruszać, satyra śmie- ć, powieść zaciekawiać, dramat trzymać w napięciu. Oczywiście ruszenie poetyckie nie będzie się wywodziło ze szczurzych przeżyć, yra nie będzie błazeńska, powieść będzie zaciekawiała nie kryminal- mi czy pornograficznymi przygodami, napięcie dramatyczne będzie egało nie na trójkącie małżeńskim. Życie duchowe klasy robotni- j nie jest uboższe od mieszczaństwa, jest za to czystsze, wznioślej- , jasne i dalekowzroczne.

Ci, którzy realizm socjalistyczny widzą jako ograniczenie sfery działywania dzieła literackiego na psychikę ludzką, są może nie- adomymi, ale nie mniej groźnymi sprzymierzeńcami resztek roz- mionych ideologicznie metafizyków czy formalistów, bo nie gorzej nich hamują lub wypaczają rozwój realizmu socjalistycznego.

Stylizacja czy niechlujstwo — rozpowszechnione u pewnych poe- w — świadczy, że nie wiedzą oni o wielości indywidualnych stylów ramach realizmu socjalistycznego i że z gruntu błędnie traktują szego nowego odbiorcę. Nasz robotnik, nasza młodzież są jako czy- nicy o wiele bardziej wymagający od mieszczucha, tylko że wyma- nia ich są inne, głębsze, bardziej zasadnicze. Tacy pisarze, którzy dzą, że dla robotnika można pisać byle jak, nie wysilając się, na od- pnego — nie omieszkają się przekonać, że są w grubym błędzie.

Cały szereg zjawisk świadczy, że sporo pisarzy nie dostrzegło jesz- nowego odbiorcy i że przyjęcie realizmu socjalistycznego rozu- ane jest przez nich jako konieczność pozyskania resztek mieszczań- wa do budowy socjalizmu.

Ta aberracja wyraża się np. w trudnościach ukazywania prz nich nowego bohatera. Jeszcze silniej zjawisko to zachodzi u pewny naszych dramaturgów czy powieściopisarzy, którzy główny konfli dnia dzisiejszego widzą jeszcze w rozdarciu psychicznym inteligen mieszczańskiego czy zgoła mieszczucha, wahającego się między akce tacją Polski Ludowej a jej odrzuceniem.

Ogólnikowość, deklaratywność wielu utworów poetyckich, nieumi jętność przełożenia haseł na konkretne obrazy, zbyt słabe sięganie codziennej polskiej tematyki — również w gruncie rzeczy wywod się z tego samego zjawiska.

Wreszcie, jeśli zanalizujemy przyczyny „technologizmu" niektóry naszych prozaików, dojdziemy do wniosku, że i w tym kryją się same przyczyny. Przecież nie robotnika dany autor będzie epatow natłokiem, nadmiarem technicznych szczegółów danej fabryki — r botnik na ogół to zna. To wygrywanie egzotycznego środowiska wyra nie jest zaadresowane do mieszczucha, inteligenta.

W ten sposób możemy następująco zreasumować w trzech zdania sytuację w naszej literaturze.

1. Realizm socjalistyczny zwyciężył w płaszczyźnie ideologiczn i we wszystkich dziedzinach mamy już do zanotowania pierws z jego ducha zrodzone utwory.

2. Pojmowanie realizmu socjalistycznego jest nierzadko powier chowne, ogólnikowe, stąd błądzenie wielu pisarzy, możliwości wulg ryzacji, nie zadowalająca często jakość naszej produkcji literackiej.

3. Wielu pisarzy nie rozumie jeszcze, że głównym naszym zadanie w tej chwili jest dopomożenie naszą twórczością polskim masom pr cującym z klasą robotniczą na czele w wykonaniu Planu Sześciole niego, że w tym celu należy bliżej zapoznać się z problematyką i życia i pracy, z nimi samymi, z ich wymaganiami od literatury.

Jeśli przyjmiemy tę ocenę za ogólnie słuszną, nasze zadania dad się sformułować w dwa równorzędne i jednoczesne hasła.

Po pierwsze: b i t w a o n o w e g o c z y t e l n i k a.

Po drugie: b i t w a o j a k o ś ć.

X

Aby te dwie bitwy wygrać musimy zdobyć się na szereg akcji ide logicznych i organizacyjnych.

Przede wszystkim winniśmy pogłębić naszą znajomość realizm socjalistycznego. Postawmy jako najpilniejsze dzisiaj zadanie nasz krytyki zanalizowanie na konkretnych przykładach i rozwinięcie t kich np. punktów:

1. Stronniczość, tendencyjność realizmu socjalistycznego w prze wieństwie do fałszywego „obiektywizmu" mieszczańskiego, do mor nego relatywizmu — jako wynik przyjęcia zasad dialektycznego m terializmu, jedynej naukowej metody widzenia świata i jako wyn

vjęcia konsekwentnie humanistycznej podstawy, sprzymierzenia pisarza z najbardziej postępową klasą społeczną, klasą robotniczą.
. Zachowanie w utworze podstawowych proporcji życia nie w statycznym, statycznym ich ujęciu, ale w dynamice ich rozwoju.
. Typowość przedstawianych postaci i wydarzeń, z zachowaniem konkretności, indywidualizacji w czasie i przestrzeni.
. Przestawienie ciężaru zainteresowań pisarskich na bohatera pownego, wypływające z ogólnego przejścia literatury od upadającego mieszczaństwa do pełnej wiary w przyszłość, z natury rzeczy mistycznej klasy robotniczej.

czywiście realizm socjalistyczny nie sprowadza się do takich czteł reguł i nie chodzi o to, by reguły tworzyć. Ważne jest jednak, śmy od ogólnikowych, choćby nawet filozoficznymi terminami szonych przemówień na tematy realizmu socjalistycznego w ogóle, eszli do konkretnej analizy jego sensu w odniesieniu do konkreth utworów literackich.

na tym etapie więc — decydujący głos ma nasza krytyka. Oby o uniknęła ona scholastyki, oby umiała znaleźć i ukazać w każdym le zaczątki nowego, a nie poprzestać tylko na sumarycznym odrzuu wszystkiego, jak to się jeszcze zdarza.

ogłębienie znajomości realizmu socjalistycznego nie jest możliwe bliższego zapoznania się z wielką literaturą radziecką, pierwszą tąd jedyną, która zasady tego kierunku zrealizowała w praktyce, azując, że nie tylko jest możliwe przy nim tworzenie arcydzieł — ew gadaninie jakichś tam niedorostków sartretycznych — ale, eciwnie — jest to jedyny kierunek, który literaturze w naszej epoce e perspektywę dalszego, owocnego rozwoju. Doświadczenie to, gające się z przykładami moralnej i artystycznej nędzy dzisiejh burżuazyjnych spadkobierców wielkiej ongiś literatury francusczy angielskiej — jest główną przesłanką naszego przejścia do izmu socjalistycznego.

Śród jego zwolenników dają się zarysować dwa typy stosunku do wiadczenia radzieckiego.

ierwszy: jesteśmy w okresie, odpowiadającym mniej więcej pierej połowie pierwszej pięciolatki. Za wzór więc bierzmy literaradziecką gdzieś z lat 1928 — 1930 i może w przyspieszonym pie, ale naśladujmy wszystkie czy najgłówniejsze jej zakręty.

rugi: literatura radziecka jest najlepszą, najbardziej postępową aturą świata. Bierzmy więc za wzór jej dzisiejszą produkcję liteą, naśladujmy mechanicznie jej technikę, jej problematykę.

czywiście, oba te stanowiska są błędne.

ealizm socjalistyczny w ZSRR powstał jako dominujący kierunek ońcowym okresie budowy socjalizmu, w okresie zaniku klas antaistycznych. Od tego czasu Związek Radziecki poczynił ogromne ępy polityczne, gospodarcze, kulturalne. Dziś jest on w drodze do

komunizmu, to znaczy m. i., że walka klasowa tam wygasła, że społeczeństwo bez klas antagonistycznych broni się tam przeciwko imperialistycznej agenturze, ale wróg ten nie znajduje już dla siebie żadnej bazy społecznej.

Tymczasem u nas przeżywamy okres narastania walki klasowej potęgowanej i wykorzystywanej przez imperialistów. Stąd u nas konieczność budowania w dziele literackim konfliktu na zupełnie innej bazie niż literatura radziecka.

Stąd błędem jest u nas całkowite pominięcie walki politycznej, walki klasowej, jak to robi Mirosław Kowalewski, lub niedostateczne płytkie jej przedstawienie, jak to widzimy u Wilczka czy Neverly'ego.

Mechaniczne naśladowanie w ten sposób konfliktów dzisiejszej np. powieści czy dramatu radzieckiego jest niedźwiedzią przysługą wyrządzoną sprawie budownictwa socjalistycznego, bo obiektywnie jest maskowaniem, kamuflowaniem nieubłaganego wroga klasowego, ukrywaniem go przed uwagą naszych mas pracujących.

Oczywiście jednak błędem byłoby również nawiązywanie do literatury radzieckiej lat 28 — 30. Głęboki sens i znaczenie doświadczeń tej literatury leży w tym, że chroni ona literatury państw demokracji ludowych przed powtarzaniem błędów, które hamowały w swoim czasie jej rozwój.

Tak jak sąsiedztwo, pomoc i przykład ZSRR uchroniły nas przed wojną domową i blokadą gospodarczą kapitalistycznego Zachodu, tak doświadczenie i przykład literatury radzieckiej winny nam pomóc w kroczeniu drogą realizmu socjalistycznego z pominięciem wszelkiego rodzaju błędnych zakrętów.

Dlatego np. nie musimy przechodzić przez ciężkie doświadczenia RAPP-owszczyzny i proletkultu, dlatego możemy łatwiej zdemaskować takie zjawiska jak formalizm, kosmopolityzm, wszelkie przejawy metafizyki w świadomości twórców i krytyków.

Dlatego wreszcie możemy poznać bliżej i konkretniej realizm socjalistyczny na przykładzie dzieł literatury radzieckiej i historii literatury radzieckiej, zwłaszcza lat ostatnich.

Powinniśmy w tym celu nalegać na naszych krytyków, by przyśpieszyli zaznajomienie naszego aktywu literackiego z historią tej literatury. Jeśli się nie mylę, dotąd w przekładzie polskim nie mamy ani jednego poważnego jej opracowania.

Innymi słowy: doświadczenia literatury radzieckiej winniśmy stosować do konkretnej naszej sytuacji społeczno-historycznej.

Trzecim zadaniem ideologicznym — i częściowo organizacyjnym — jest bliższe zapoznanie się naszych pisarzy z masami pracującymi. Konieczności tego dowodzić nie trzeba — wnioski wyciągnięte z analizy dzisiejszej sytuacji w literaturze polskiej wskazują wyraźnie, że w niedostatecznej znajomości mas pracujących kryje się jedna z największych przyczyn naszych dzisiejszych słabości.

yślę, że należy w tym celu położyć nacisk na dwie akcje. Po pierw- — tzw. wyjazdy w teren, które dały niezłe rezultaty, ale po- lane były niesłusznie jako jednorazowy wypad — zorganizować stałe, staranniej dobierać pisarzy wyjeżdżających i obiekty przez poznawane itd.

o drugie zreorganizować i upowszechnić akcję wieczorów autor- h pisarzy w środowiskach przede wszystkim robotniczych. Zamiast zdu małych miasteczek z występami przed przypadkową, głównie onomieszczańską publicznością — jak to było przeważnie dotąd — ć jak najczęstsze występy grup, brygad pisarzy w poszczególnych adach pracy, częściowo w instytucjach, częściowo w szkołach, drogich i trudniejszych organizacyjnie wyjazdów na prowincję położyć nacisk na takie wieczory w miastach, w których istnieją owiska literackie, z Warszawą na czele.

XI

ytężoną pracę ideologiczną Związek Literatów Polskich winien nocnić i usystematyzować przez wprowadzenie w życie, względnie rawnienie pewnych form i posunięć organizacyjnych.

edną z najważniejszych takich form są sekcje twórcze, które rzech ostatnich miesiącach powstały w większości ośrodków lite- ich kraju. Według danych, które w tej chwili posiadamy, istnieje as sekcja prozy w 8 ośrodkach, sekcja poezji — w 5-ciu, sekcja matyczna — w 3-ch, sekcja tłumaczy — w 4-ch, sekcja literatury dzieci i młodzieży — w 3-ch, sekcja satyry — w 1 ośrodku.

łówne zadanie sekcji twórczych polega na podwyższeniu ideolo- nego poziomu naszych pisarzy przez bliższe zaznajomienie się z ma- alizmem dialektycznym jako naukową bazą socjalistycznego rea- u, polega na podwyższeniu poziomu artystycznego przede wszyst- przez analizę i dyskusję nad konkretnymi utworami pisarzy da- o ośrodka. Szczera, nie grzecznościowa, nie kumoterska wymiana nii na temat danego utworu niewątpliwie dopomoże autorowi prze- ciężać swe słabości i łatwiej sprostać wymaganiom, które przed li- turą stawia nasza epoka.

rudno już dzisiaj wydawać sąd o pracy ogółu naszych sekcji, które yły odbyć przeciętnie 3—4 posiedzenia. Można wszakże zauważyć, a ogół wzięły one kierunek prawidłowy, nie przekształcając się na sy samokształceniowe, ani nie wpadając w gąszcz spraw admini- cyjno-osobistych. I wykłady połączone z dyskusją na temat adnień ogólnych i poruszanie pewnych spraw organizacyjnych jest liwe na sekcjach, w pierwszym wypadku — nawet konieczne. Ale jedno, ani drugie nie powinno przesłaniać zasadniczego celu sekcyj dopomożenia pisarzom w ich pracy nad konkretnym utworem.

Wydaje się jednak, że większość sekcji zarówno warszawskich jak renowych nie zrobiła planu pracy, chociażby na parę najbliższych

miesięcy. Tematy wydają się często przypadkowo dobrane. Należałoby w planowaniu prac sekcyj położyć nacisk na zagadnienia i dzieła na swój sposób kluczowe, typowe. Należałoby w pierwszym rzędzie z dzie omawiać albo typowe w swoich słabościach, albo typowe w swoich osiągnięciach. Także i referaty winny być opracowywane staranniej gdyż inaczej atrakcyjność sekcyj dla pisarzy niewątpliwie musi spaść

Zarząd Główny ZLP uruchomił — prócz sekcji — szereg komisji Pracują więc dzisiaj komisje: gospodarcza, zagraniczna, kwalifikacyj na, wydawnicza, imprez literackich.

Parę słów o pracy komisji kwalifikacyjnej. Zjazd warszawski po lecił jej zaznajomienie się ze wszystkimi członkami Związku Litera tów Polskich i sprawdzenie, w jakiej mierze odpowiadają oni nowym kryteriom statutowym. Komisja w miesiącach wrześniu - październiku przeprowadziła wizytację wszystkich ośrodków terenowych, w miesią cach zaś listopadzie i grudniu zapoznała się ze składem personalnym najliczniejszego oddziału — warszawskiego. Komisja zaproponowała Zarządowi Głównemu skreślenie z listy członków Związku 29 człon ków rzeczywistych oraz 43 kandydatów, 49 zaś kandydatów zaproponowała przenieść na członków rzeczywistych. Jako podstawę wniosku o skreślenie Komisja przyjmowała pełny brak aktywności literackiej w latach ostatnich — indywidualizując tę zasadę — oraz nieliteracki cha rakter twórczości. Zarząd Główny zatwierdził wnioski Komisji Kwa lifikacyjnej. W ten sposób w chwili obecnej Związek nasz liczy łącz nie 480 członków rzeczywistych i 270 kandydatów — czyli razem 75 osób.

Nie należy uważać prac Komisji za zakończone. Prawdopodobnie będzie ona musiała przejrzeć skład personalny Związku jeszcze raz Należy też powiedzieć, że obecne skreślenia nie mają bynajmniej cha rakteru ostatecznego. Jeżeli któryś ze skreślonych przejawi bujniej szą działalność literacką, będzie on — oczywiście — mógł być przy jęty na nowo w poczet członków Związku.

Szczególną uwagę Związek będzie musiał poświęcić pracy kół mło dych literatów, które ostatnio istnieją już nie tylko w Krakowie i Warszawie, ale także w Łodzi, Poznaniu, Katowicach, Wrocławiu Dubnie, Bydgoszczy, Gdańsku.

Sprawa dopływu nowych talentów jest węzłowym zagadnieniem dal szych losów naszej literatury. W warunkach kapitalistycznych dopływ taki reguluje się nieomal na darwinowskiej zasadzie przeżycia najsil niejszego — z tym, że najsilniejszy nie oznacza najbardziej utalen towany, ale najsprytniejszy, najszczęśliwszy i najzamożniejszy. W na szych warunkach nie możemy zdać się na ślepy los i przedsiębiorczość utalentowanej młodzieży, powinniśmy sami jej szukać, a już co najmniej uczynić wszystko co w naszej mocy, aby ułatwić jej trafienie do nas.

W tym celu przewidujemy na najbliższy okres następujący system ganizacyjny:

A. Przy Warszawskim Kole Młodych powstaje centralna poradnia eracka, której zadaniem jest — w najściślejszym kontakcie z redak-mi naszych najważniejszych gazet — segregacja utworów nadsy-ych i zapoznawanie się z autorami tych utworów, które świadczą wątpliwie o iskrze talentu. Najzdolniejsi spośród odkrytych w ten osób będą ściągani do Warszawy, zapewni się im internat i przeszko-ie ogólnokształcące w zakresie szkoły średniej (jeśli takowej nie ma-, w innym wypadku będzie się ich kierowało do szkoły wyższej.

B. Jednocześnie będą oni brali udział w pracach Koła Młodych, óre powiększy ilość swoich zebrań i wprowadzi cykl wykładów dziedziny estetyki marksistowskiej i teorii literatury.

C. Tytułem eksperymentu tworzy się instytucja tzw. aspirantury. arsi, doświadczeni literaci będą przyjmowali bezpośrednią opiekę d 1 — 2 z członków Koła Młodych, mając jako zadanie zapoznanie z ich twórczością, dopomożenie w usuwaniu elementarnych słabości, moc w doborze lektury.

Na dalszym planie — wobec szeregu trudności organizacyjnych i ma-rialnych — stoi sprawa Instytutu Literackiego, mającego za zadanie prostu szkolenie literackie i ogólne utalentowanej młodzieży.

Można się spodziewać, że wprowadzenie w ruch tych instytucji zyśpieszy wkraczanie do literatury zdolnej młodzieży, głównie ro-tniczo - chłopskiej, co jest niezbędnym warunkiem ugruntowania alizmu socjalistycznego u nas i wzbogacenia naszej literatury.

Masowe przyjście młodzieży literackiej pochodzenia robotniczo-łopskiego do literatury, jeśli będzie się odbywało w warunkach mniej ęcej normalnych, tj. przy należytym funkcjonowaniu wyżej wymie-onych instytucyj — uchroni nas zapewne od takich niemiłych i nie-trzebnych nikomu (poza naszymi wrogami) zjawisk, jak nader ybkie „zadzieranie nosa" u niektórych debiutujących autorów, po-rdliwy, wrogi stosunek do starszych kolegów i, co jeszcze gorsze, konieczności dalszego doskonalenia się artystycznego, traktowanie ytyki własnych słabości formalnych jako ataku politycznego, uchy-nie się od współpracy ze starszymi na terenie Związku, tworzenie egoś w rodzaju frakcyjki.

Takie maniery, które niewątpliwie hamują i wypaczają rozwój pa-naszych utalentowanych młodych kolegów wywodzą się, zapewne, drobnomieszczańskiego anarchizmu, z którego nie potrafili oni dotąd reszty wyrosnąć. Będziemy musieli jak najżyczliwiej im w tym pomóc.

Wreszcie Związek Literatów prowadzi starania o rozszerzenie swo-j bazy materialno - organizacyjnej. Władze państwowe Polski Ludo-ej, z życzliwością traktując literaturę i literatów, przyrzekły nam czynić niezbędne kroki, aby powstał Fundusz Literacki, jako insty-

tucja, która zapewni literatom pomoc lekarską i opiekę społeczną, ureguluje i usprawni sprawę zasiłków, pożyczek, stypendiów itd. Mamy prawo się spodziewać, że w niedalekiej przyszłości powstanie wydawnictwo, którego praca ogólnie będzie kontrolowana przez radę nadzorczą złożoną z literatów. Są wreszcie w opracowaniu nowe projekty prawa autorskiego i konwencji wydawniczej, których wprowadzenie w życie poprawi niewątpliwie warunki życia i pracy literatów.

XII

Kończąc, chciałbym zrekapitulować kilka punktów najważniejszych.

Po pierwsze, wkroczyliśmy w groźny, węzłowy, decydujący okres historyczny. Świat jest podzielony na dwa obozy. Jeden obóz — w obronie przywilejów klasowych, w obronie prymatu państw imperialistycznych, nie umiejąc rozwiązać własnych sprzeczności, nie mając do zaofiarowania ludzkości nic poza powrotem do przeżytych form socjalnych i gospodarczych — otwarcie szykuje się do wojny.

Drugi obóz, widząc jasno perspektywę swojej przyszłości, rozwiązując podstawowe trudności społeczne, usuwając od władzy klasy pasożytnicze, wcielając w życie zasadę równouprawnienia narodów — głosi konieczność utrzymania pokoju i o pokój walczy.

Polska jest w obozie pokoju i demokracji. Wkroczyła ona na drogę budownictwa socjalizmu — tego systemu, który jedynie potrafi zapewnić jej niepodległość. Plan Sześcioletni jest pierwszym etapem tej drogi, wykonanie go jest kwestią życia naszego kraju.

W tej pracy literaci polscy mają zaszczytne i ważne zadanie: stworzyć dzieła, które pogłębią świadomość rewolucyjną naszej przodującej klasy robotniczej i mas pracujących, dzieła, które potrafią je porwać i zapalić do wykonania niezwykle ciężkich zadań przed nimi stojących.

Żadne pokolenie literatów polskich nie miało przed sobą tak wielkiego zadania.

Jest ono wykonalne — jeśli śmielej i szybciej pójdziemy drogą realizmu socjalistycznego, nie zubożając go, nie zacieśniając czy wulgaryzując.

Jest ono wykonalne — jeśli bliżej zapoznamy się z wielką literaturą radziecką i potrafimy wszystkie jej twórcze doświadczenia przejąć i zastosować do naszych konkretnych warunków społecznych.

Jest ono wreszcie wykonalne, jeśli zapoznamy się bliżej z naszą klasą robotniczą, z naszą wsią i jej przodującym aktywem, jeśli poznamy ich życie, pracę, kłopoty, wymagania od nas, od naszych dzieł; jeśli poradzimy sobie z kłopotami organizacyjnymi, postawimy należycie pracę sekcyj twórczych, rozszerzymy aktyw związkowy, zepewnimy dopływ utalentowanej młodzieży, głównie robotniczo-chłopskiej, w nasze szeregi, jeśli wyleczymy część naszych literatów z samotnictwa czy klikowości.

Ideologia nasza uczy nas wiary w potęgę życia, uczy wiary we własne siły, daje nam metodę pokonywania trudności.

Ustrój nasz zapewnia literatom możliwości działania, o których poeci nie mają literaci krajów kapitalistycznych.

Dlatego nie będzie czczą przechwałką, jeśli powiem, że swoją ważną część w dziele podniesienia świadomości polskich mas pracujących, swoją cząstkę w dziele wykonania Planu Sześcioletniego, swoją cząsteczkę w wielkiej sprawie obrony pokoju — literaci polscy wypełnią.

Jerzy Putrament

Referat wygłoszony na sesji Rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP

W SPRAWIE PRAKTYKI*)

O związku poznania z praktyką — związku wiedzy z działaniem
(lipiec 1937 r.)

Materializm przedmarksowski rozpatrywał zagadnienia poznania w oderwaniu od społeczeństwa ludzkiego, w oderwaniu od historycznego rozwoju ludzkości i dlatego nie mógł pojąć obustronnej zależności między wiedzą a praktyką społeczną, tj. obustronnej zależności między wiedzą a produkcją i walką klasową.

Przede wszystkim marksiści uważają, że działalność produkcyjna jest najbardziej podstawową działalnością praktyczną, która stanowi o charakterze wszelkiej innej działalności. W kształtowaniu swej wiedzy ludzie zależą głównie od materialnej działalności produkcyjnej, stopniowo dochodzą do zrozumienia zjawisk przyrody, charakteru przyrody, praw przyrody oraz stosunków między człowiekiem a przyrodą; jednocześnie poprzez działalność produkcyjną stopniowo osiągają rozmaite szczeble poznania określonych stosunków wzajemnych pomiędzy ludźmi. Cała ta wiedza jest nie do osiągnięcia w oderwaniu od działalności produkcyjnej. W społeczeństwie bezklasowym, na gruncie wspólnego wysiłku łączącego każdego człowieka, występującego w charakterze członka społeczeństwa, z pozostałymi członkami społeczeństwa, kształtowały się określone stosunki produkcyjne, urzeczywistniała się działalność produkcyjna, mająca na celu rozwiązanie zagadnień materialnego życia ludzi. W rozmaitych zaś społeczeństwach klasowych członkowie ich wytwarzają też rozmaite formy określonych stosunków produkcyjnych i urzeczywistniają działalność produkcyjną,

*) W naszej partii była grupa towarzyszy hołdujących dogmatyzmowi, którzy przez dłuższy czas odrzucali doświadczenie rewolucji chińskiej, negowali prawdę, że „marksizm — to nie dogmat, lecz wytyczna działania", i straszyli ludzi poszczególnymi słowami i zdaniami wyrwanymi z tekstu książek marksistowskich. Była też inna grupa towarzyszy — zwolenników empiryzmu, którzy przez dłuższy czas opierali się jedynie na swym osobistym, ograniczonym doświadczeniu i nie rozumieli wartości teorii dla praktyki rewolucyjnej, nie ogarniali całokształtu sytuacji rewolucyjnej, pracowali wprawdzie gorliwie, ale na oślep. Te dwie odmiany ideologicznych błędów towarzyszy, a zwłaszcza poglądy dogmatyczne, wyrządziły w latach 1931—1934 ogromną szkodę rewolucji chińskiej; dogmatycy, stroiący się w szatę marksizmu-leninizmu, wprowadzili w błąd szerokie koła naszych towarzyszy. Tow. Mao Tse-tung napisał swą pracę „W sprawie praktyki" w tym celu, żeby ze stanowiska marksistowskiej teorii poznania zdemaskować w naszej partii subiektywistyczne błędy zwolenników dogmatyzmu i empiryzmu, zwłaszcza zaś dogmatyzmu. Ponieważ główny nacisk tow. Mao Tse-tung położył tu na zdemaskowanie gardzącego praktyką dogmatyzmu — tej odmiany subiektywizmu — praca otrzymała tytuł „W sprawie praktyki". Wyłożone w niej poglądy były przedmiotem odczytu tow. Mao Tse-tunga na Uniwersytecie im. Wojny Antyjapońskiej w Jenanie. — (Uwaga redakcji chińskiej).

ającą na celu rozwiązanie zagadnień materialnego życia ludzi. To st właśnie podstawowe źródło rozwoju wiedzy ludzkiej.

Praktyka społeczna ludzi nie ogranicza się do samej tylko działal-ści produkcyjnej, lecz ma ponadto wiele innych form: walka kla-wa, życie polityczne, działalność w dziedzinie nauki i sztuki; słowem, dzie biorą udział we wszystkich sferach praktycznego życia społecz-go. Dlatego i poznanie ludzkie nie ogranicza się do życia material-go, człowiek poznaje nadto — w rozmaitym stopniu — istotę roz-aitych stosunków zachodzących pomiędzy ludźmi w procesie życia litycznego i kulturalnego (ściśle związanego z życiem materialnym). czególnie głęboki wpływ na rozwój poznania ludzkiego wywierają zmaite formy walki klasowej. W społeczeństwie klasowym każdy owiek znajduje się w określonej sytuacji klasowej i wszelka ideolo-a nosi piętno klasowe.

Marksiści uważają, że działalność produkcyjna w społeczeństwie dzkim rozwija się krok za krokiem, od szczebli niższych do wyższych, obec czego i wiedza ludzka, zarówno o świecie przyrody jak i o spo-czeństwie, rozwija się krok za krokiem, od szczebli niższych wyższych, tj. od tego, co proste, do tego, co skomplikowane, od jed-stronności do wielostronności. W ciągu bardzo długiego okresu dzie-w ludzie mogli pojmować historię społeczeństwa tylko jednostronnie: nikało to z jednej strony z egoistycznych poglądów klas wyzyski-aczy, które stale wypaczały obraz historii społeczeństwa, z drugiej ś z tego, że produkcja na małą skalę ograniczała widnokrąg ludzi. szechstronne, historyczne zrozumienie przez ludzi dziejów społeczeń-wa i przeobrażenie wiedzy o społeczeństwie w naukę (co staje się ożliwe dopiero na wysokim poziomie rozwoju sił wytwórczych, gdy raz z wielkim przemysłem zjawia się współczesny proletariat) — właśnie jest nauka marksistowska.

Marksiści uważają, że tylko praktyka społeczna może być prawdzi-ym kryterium wiedzy ludzkiej o otaczającym nas świecie. Sytuacja aktyczna przedstawia się w ten sposób, że tylko w procesie praktyki ołecznej (w procesie produkcji materialnej, walki klasowej, doświad-eń naukowych) wiedza ludzka może zostać potwierdzona przez uzy-anie wyników, których kazała oczekiwać. Jeżeli ludzie dążą do osiąg-ęcia sukcesów w pracy, tj. do uzyskania oczekiwanych wyników, to winni bezwzględnie dostosować swe koncepcje do praw otaczającego s obiektywnego świata, w przeciwnym bowiem razie praktyka przy-esie im porażkę. Po porażce ludzie wyciągają naukę z samego faktu epowodzenia, zmieniają swe koncepcje i dostosowują je do praw aczającego nas świata, przekształcając w ten sposób porażkę w zwy-ęstwo; przysłowie, że „niepowodzenie jest matką powodzenia" i „każ-niepowodzenie jest zarazem nauką" wyraża właśnie tę prawdę. Te-ia poznania materializmu dialektycznego stawia praktykę na pierw-ym miejscu, uważając, że poznania ludzkiego nie można w najmniej-ym nawet stopniu odrywać od praktyki i zwalczając wszystkie błęd-

ne teorie negujące ważność praktyki i odrywające poznanie od praktyki. Lenin mówił: „Praktyka stoi ponad poznaniem (teoretycznym), gdyż przysługuje jej nie tylko walor powszechności, lecz i bezpośredniej rzeczywistości".*)

Filozofia marksistowska — materializm dialektyczny — ma dwie wybijające się na pierwszy plan cechy szczególne: pierwsza — to jej charakter klasowy, otwarte uznanie faktu, że materializm dialektyczny służy proletariatowi; druga — to jej praktyka, teza o zależności wzajemnej między teorią a praktyką, stwierdzenie, że podstawą teorii jest praktyka i że z kolei teoria służy praktyce. Prawdziwość wiedzy czy teorii ustala się nie w zależności od tego, jakie są subiektywne doznania zmysłowe, lecz zależnie od wyników obiektywnej praktyki społecznej. Probierzem prawdziwości może być tylko praktyka społeczna. Punkt widzenia praktyki powinien być naczelnym i podstawowym punktem widzenia teorii poznania materializmu dialektycznego.**)

W jaki sposób wiedza ludzka powstaje z praktyki i znów służy praktyce? Aby to zrozumieć, wystarczy zapoznać się z procesem rozwoju wiedzy.

Początkowo w procesie praktyki ludzie widzieli tylko niektóre poszczególne strony zjawisk poszczególnych rzeczy w procesie ich rozwoju, widzieli poszczególne strony rzeczy, zewnętrzny związek między poszczególnymi rzeczami. Na przykład ludzie, którzy przybyli w celu zbadania sytuacji do Jenanu, pierwszego dnia lub przez pierwsze dwa dni widzieli tę miejscowość, jej ulice i domy, stykali się z wielu ludźmi, byli na przyjęciach, na wieczorach i wiecach, słuchali różnych przemówień, czytali różne dokumenty — i we wszystkich tych przypadkach mieli do czynienia ze zjawiskami rzeczy, z ich poszczególnymi stronami i z zewnętrznym związkiem między nimi. Nazywa się to emocjonalnym szczeblem poznania, tj. szczeblem doznań zmysłowych i wrażeń. Znaczy to, że różne rzeczy w Jenanie oddziałały na organy zmysłowe panów z grupy przybyłej dla zbadania sytuacji, wywołały u nich doznania zmysłowe, w świadomości ich powstał szereg wrażeń i zarysował się ogólny związek zewnętrzny między tymi wrażeniami — to właśnie jest pierwszy szczebel poznania. Na tym szczeblu ludzie nie mogą jeszcze wyrobić sobie głębokich pojęć i wysnuć wniosków odpowiadających logice.

Kontynuowanie praktyki społecznej doprowadza do tego, że ludzie wielokrotnie stykają się w niej z jednymi i tymi samymi rzeczami, które stają się źródłem ich doznań zmysłowych i które wywierają na nich jakieś wrażenia: toteż w głowie ludzkiej zachodzi skok w procesie poznania, powstaje pojęcie. Pojęcie samo przez się odzwierciedla już nie tylko zjawisko rzeczy, poszczególne strony rzeczy, związek zewnętrzny między rzeczami, lecz stanowi uchwycenie istoty rzeczy, tego, co w rzeczach jest ogólne, ich wewnętrznego związku. Między

*) W. I. Lenin: Zeszyty filozoficzne. Wyd. ros. str. 185.
**) W. I. Lenin: Dzieła, t. 14. Warszawa 1949, str. 180.

jęciem a doznaniem zmysłowym zachodzi różnica nie tylko ilościo-
, ale i jakościowa. Dalszy rozwój w tym kierunku, zastosowanie me-
l rozumowania i wnioskowania może doprowadzić do wniosków od-
wiadających logice. To, co w „Opowieści o trzech królestwach" wy-
żono słowami: „Zmarszczysz brwi — i oto w sercu rodzą się myśli",
czego potrzebę tak często odczuwamy, wyrażając ją wtedy słowami:
ajcie mi pomyśleć" — to właśnie chwila zastosowana przez umysł
lzki do rozumowania i wnioskowania. Jest to drugi szczebel pozna-
a. Panowie z grupy przybyłej do nas w celu zbadania sytuacji po
praniu różnych materiałów i po „przemyśleniu" ich mogliby wydać
ki sąd: „polityka antyjapońskiego zjednoczonego frontu narodowe-
, którą realizuje partia komunistyczna, jest polityką konsekwentną,
zerą i realną". Gdyby panowie ci rzeczywiście byli za zjed-
czeniem i ocaleniem narodu, to po wydaniu tego sądu, mogliby na-
pnie wysnuć wniosek: „Antyjapoński zjednoczony front narodowy
że odnieść sukces". Ten szczebel — szczebel pojęcia, rozumowania
wnioskowania — jest w ogólnym procesie poznawania rzeczy przez
lzi szczeblem jeszcze ważniejszym, szczeblem poznania racjonalne-
. Prawdziwe zadanie poznania polega na tym, byśmy za pomocą
ślenia, poprzez doznania zmysłowe, stopniowo wyjaśnili sobie
wnętrzne przeciwieństwa w istniejących obiektywnie rzeczach,
jaśnili sobie prawa rządzące tymi rzeczami, wewnętrzny związ-
k między poszczególnymi procesami, tzn. byśmy osiągnęli poz-
nie logiczne. Powtarzamy: poznanie logiczne różni się od zmysło-
go (emocjonalnego) tym, że poznanie emocjonalne ogarnia tylko
szczególne strony zjawiska, zewnętrzny związek między rzeczami,
poznanie logiczne, stanowiące ogromny krok naprzód, ogarnia to,
jest w rzeczach ogólne, ogarnia ich istotę i związek wewnętrzny,
prowadza do wykrycia wewnętrznych przeciwieństw otaczającego
s świata i dlatego może wyjaśnić rozwój otaczającego świata w je-
całokształcie, wraz z jego wszechstronnymi związkami wewnętrz-
mi.

Przed marksizmem nikt nie wysuwał podobnej dialektyczno-materia-
tycznej teorii procesu rozwoju poznania, opartej na praktyce i na
chu od tego, co proste, do tego, co złożone. Materializm marksistow-
i pierwszy rozstrzygnął prawidłowo tę kwestię, materialistycznie
dialektycznie, oświetlił ruch pogłębiania się wiedzy, ruch postępowy
postrzeżeń zmysłowych do racjonalnego poznania ludzkiego, odby-
jący się na gruncie skomplikowanej i wciąż powtarzającej się prak-
ki produkcji i walki klasowej. Lenin mówił: „Abstrakcja m a t e -
i i, p r a w a przyrody, abstrakcja w a r t o ś c i itd., słowem
s z y s t k i e naukowe (prawidłowe, poważne, niebzdurne) abstrak-
e dają głębsze, wierniejsze, p e ł n i e j s z e odbicie przyrody".*)
Marksizm - leninizm uważa, że specyfika dwóch szczebli procesu
znania polega na tym, iż na niższym szczeblu poznanie wyraża się

) W. I. Lenin: Zeszyty filozoficzne. Wyd. ros. str. 146.

w doznaniu zmysłowym, a na wyższym — we wnioskach logicznych ale każdy szczebel jest jednym ze szczebli jednego niepodzielnego pro cesu poznania. Doznania zmysłowe (emocjonalność) i racjonalność różnią się swym charakterem, ale nie dadzą się od siebie oddzielić i łą czą się w jedno na bazie praktyki. Nasza praktyka świadczy, że ni możemy natychmiast pojąć rzeczy wywołujących w nas doznania zmy słowe — i że jedynie rzeczy, które już zrozumieliśmy, mogą stać si dla nas źródłem jeszcze głębszych doznań zmysłowych. Doznanie zmy słowe może rozstrzygnąć jedynie kwestię dotyczącą zjawiska, podcza gdy kwestię istoty rozstrzyga dopiero pojmowanie. Rozstrzygnięci tych kwestii nie może być w najmniejszym stopniu oderwane od prak tyki. Żaden człowiek nie może poznać żadnej rzeczy bez zetknięcia si z nią, tj. bez tego, by mieć jakoś z tą rzeczą do czynienia w swym ży ciu (praktyce). Nie można z góry, żyjąc w społeczeństwie feudalnym poznać praw rządzących społeczeństwem kapitalistycznym, ponieważ nie ma jeszcze kapitalizmu, nie ma odpowiedniej praktyki. Marksizm mógł się pojawić jedynie jako wytwór społeczeństwa kapitalistyczne go. Marks nie mógł w epoce wolnego kapitalizmu z góry konkretnie poznać pewnych swoistych praw epoki imperializmu, ponieważ impe rializm — najwyższe stadium kapitalizmu — wtedy jeszcze nie nasta pił i nie było jeszcze odpowiedniej praktyki; dopiero Lenin i Stalin mogli sprostać temu zadaniu. Marksowi, Engelsowi, Leninowi i Stali nowi pozwoliło stworzyć ich teorię, pomijając ich genialność, główni to, że brali osobiście udział w walce klasowej i w praktyce doświadcze naukowych swoich czasów; gdyby tak nie było, żadna genialność nie mogłaby zapewnić sukcesu. Maksyma, że „Sjutsaj"*) nie przekraczają progu może znać wszystkie sprawy tego świata" była czczym frazesem w nierozwiniętych technicznie dawnych czasach, a chociaż w naszej rozwiniętej technicznie epoce daje się to urzeczywistnić, to jedna prawdziwymi znawcami są ludzie związani z praktyką tego świata oni to w swojej praktyce zdobywają „wiedzę", która za pośrednictwem pisma i techniki trafia do „Sjutsaja", po czym „Sjutsaj" pośredni „poznaje sprawy tego świata". Do bezpośredniego poznania czegoko wiek konieczny jest osobisty udział w walce praktycznej związanej z przeobrażaniem rzeczywistości, z przekształcaniem tych czy owych rzeczy; jedynie to może doprowadzić do zetknięcia się z tymi rzeczami; jedynie osobisty udział w praktycznej walce związanej z przeobrażaniem rzeczywistości umożliwia odkrycie i zrozumienie istoty tych czy owych rzeczy. Oto droga poznania, którą w rzeczywistości kroczy każdy człowiek; są jednak ludzie, którzy umyślnie dążąc do wypaczenia faktów, przeczą temu. W najbardziej zaś komicznej roli występują tu ludzie zwani „wszechwiedzącymi", którzy, dowiedziawszy się czegoś tam od przechodniów i zrozumiawszy z tego najwyżej połowę, każą się mieć za „unikaty niedoścignionej wiedzy". Tymczasem to właśn

*) „Sjutsaj" — pierwszy stopień naukowy w dawnych Chinach.

rodzi, że nie są oni zdolni ocenić zasobu swych wiadomości. Zagad-
nie wiedzy — to zagadnienie nauki, a nauka nie znosi najmniejsze-
fałszu i zarozumiałości, lecz stanowczo wymaga czegoś wręcz prze-
nego — uczciwości i skromności. Jeżeli dążycie do zdobycia wie-
musicie brać udział w praktyce zmieniającej rzeczywistość. Je-
chcecie poznać smak gruszki, musicie wziąć ją do ust i rozgryźć.
eli dążycie do poznania budowy i natury atomu, musicie dokonać
owiednich doświadczeń fizycznych i chemicznych, oddziałać na
m. Jeżeli chcecie znać teorię i metody rewolucji, musicie wziąć
ał w rewolucji. Cała rzeczywista wiedza pochodzi z bezpośrednie-
doświadczenia. Jednakże człowiek nie może doświadczyć bezpośred-
wszystkiego; w rzeczywistości większa część wiedzy — to wytwór
wiadczenia pośredniego, to wiedza pochodząca z dawnych epok
krajów zagranicznych. Wiadomości te są wytworem bezpośrednie-
doświadczenia dawnych narodów i cudzoziemców; jeżeli bezpośred-
doświadczenie dawnych narodów i cudzoziemców odpowiada wy-
rom, o których mówił Lenin — wymogom abstrakcji naukowej
ło naukowym odbiciem obiektywnie istniejących rzeczy, to wiedza
est pewna, w przeciwnym razie nie może ona być pewna. Dlatego
wiedza każdego człowieka składa się z dwóch części: z doświad-
nia bezpośredniego i pośredniego. Zarazem to, co dla mnie jest
wiadczeniem pośrednim, dla innych jest doświadczeniem bezpośred-
. A zatem, mówiąc o całokształcie wiedzy, można powiedzieć, że
ne jej elementy nie mogą być oderwane od bezpośredniego doświad-
nia. Źródłem całej wiedzy są doznania wywoływane przez obiektywnie
iejący świat w fizycznych organach zmysłów człowieka; kto negu-
o doznawanie świata zewnętrznego, neguje bezpośrednie doświad-
nie, kto odrzuca osobisty udział w praktyce dokonywania zmian
zeczywistości — ten nie jest materialistą. W tym tkwi przyczyna
eszności ludzi „wszechwiedzących". Chińczycy mają stare przysło-
: „Nie można schwytać tygrysiąt nie wlazłszy do nory tygrysa".
ysłowie to jest prawdziwe zarówno w odniesieniu do praktyki ludz-
jak w dziedzinie, którą się zajmuje teoria poznania. Poznanie
rwane od praktyki jest nie do pomyślenia.

rzytoczmy kilka konkretnych przykładów, aby wyjaśnić ruch poz-
ia dialektyczno-materialistycznego odbywający się na podstawie
ktyki przeobrażania rzeczywistości — ruch stopniowego pogłębiania
wiedzy.

W początkowym okresie praktyki ruchu robotniczego — okresie nisz-
nia maszyn i żywiołowej walki — proletariat stoi dopiero na począt-
ym szczeblu poznania społeczeństwa kapitalistycznego i poznaje je-
ie poszczególne strony i zewnętrzny związek różnych zjawisk ka-
lizmu. W owych czasach proletariat pozostaje tak zwaną „klasą
obie". Gdy jednak nastąpił drugi okres praktyki ruchu proletariac-
go — okres świadomej i zorganizowanej walki ekonomicznej i poli-
cznej, gdy za pomocą naukowych metod Marksa i Engelsa zsumo-

wane zostały różnorodne doświadczenia długotrwałej walki, gdy powstała teoria marksistowska, która wychowała proletariat, dzięki której osiągnął on zrozumienie istoty społeczeństwa kapitalistycznego, zrozumienie eksploatatorskich stosunków między klasami społecznymi, zrozumienie własnych historycznych zadań — wówczas proletariat stał się „klasą dla siebie".

Tak samo ma się rzecz z poznaniem imperializmu przez naród chiński. Pierwszy szczebel — to szczebel poznania zewnętrznego, który przejawił się w ogólnej walce przeciwko cudzoziemcom za czasów ruchu tajpińskiego i ruchu bokserskiego. Dopiero drugi szczebel był szczeblem poznania racjonalnego — gdy odsłoniły się rozmaite sprzeczności wewnętrzne i zewnętrzne imperializmu, gdy odsłoniła się istota ucisku szerokich mas ludowych w Chinach przez imperializm sprzymierzony z compradorami i obszarnikami chińskimi; poznanie to rozpoczęło się dopiero w okresie „ruchu 4 maja" 1919 roku *).

Spójrzmy teraz na wojnę. Jeżeli wojną kierują ludzie nie mający dostatecznego doświadczenia wojennego, to początkowo nie zrozumieją oni głębokich prawidłowości dominujących w danej konkretnej wojnie (np. w naszej wojnie dziesięcioletniej w okresie rewolucji agrarnej). Początkowo zdobyli oni tylko osobiste doświadczenie w wielu bitwach, przy czym sporo bitew kończyło się ich porażką. A jednak to doświadczenie (doświadczenie zwycięstw a zwłaszcza porażek) zmusiło ich do zrozumienia prawidłowości wewnętrznych przenikających całą tę wojnę, prawidłowości tej konkretnej wojny, do zrozumienia strategii i taktyki i w ten sposób dało im możność kierowania wojną pewną ręką. Gdyby w tym czasie powierzyć dowództwo człowiekowi, któremu brakłoby doświadczenia, mógłby on zrozumieć rzeczywiste prawidłowości charakterystyczne dla tej wojny dopiero po pewnej ilości porażek (po uzyskaniu doświadczenia).

Słyszy się często od niektórych towarzyszy, nie decydujących się przyjąć tej czy owej pracy, oświadczenia, że tej pracy nie podołają. A czemu nie podołają? Ponieważ nie mają właściwego wyobrażenia o treści i warunkach tej pracy; bądź nigdy nie stykali się z podobną pracą, bądź też stykali się, ale niewiele, wobec czego nie mogą mówić o prawidłowościach tego rodzaju pracy. Gdy się im jednak da dokładną analizę sytuacji i warunków tej pracy, ci sami ludzie czują, że zapewne dadzą sobie radę i wyrażają życzenie zajęcia się tą pracą. Jeżeli ci ludzie po upływie pewnego czasu nabędą w tej pracy doświadczenia, jeżeli będą gorliwie badali sytuację, jeżeli nie będą patrzyli na rzeczy subiektywnie, jednostronnie, powierzchownie — to będą mogli sami wysnuć wniosek co do tego, jak należy tę pracę wykonywać, zaczną pracować znacznie pewniej. Tylko ludzie, którzy patrzą na rzeczy subiektywnie, jednostronnie i powierzchownie, którzy po przybyciu na nowe miej-

*) „Ruch 4 maja" — ruch antyimperialistyczny, głównie antyjapoński, zapoczątkowany demonstracją studencką 4 maja 1919 r. w Pekinie (przyp. red.).

e nie interesują się sytuacją, nie badają całokształtu sprawy (jej hisrii i całego jej obecnego stanu), nie wnikają w istotę sprawy (w związk wewnętrzny różnych stron samej sprawy i wewnętrzny związek ędzy daną sprawą a innymi sprawami), którzy zarozumiale wydają zkazy i zarządzenia — tylko tacy ludzie muszą popełniać błędy.

A zatem pierwszym krokiem procesu poznania jest początkowe zenięcie się z okolicznościami świata zewnętrznego — szczebel doznań nysłowych. Drugim krokiem jest zsumowanie materiałów postrzeża zmysłowego, ich uporządkowanie i przetworzenie — szczebel pojęa, sądzenia i wnioskowana. Jedynie posiadając zupełnie wystarczające nie bezładne i niepełne) materiały postrzeżenia zmysłowego, odpoiadające przy tym faktycznej sytuacji (a nie mylnemu postrzeżeniu), ożna na podstawie tych materiałów wypracować prawidłowe pojęcia wnioski logiczne.

Należy tu specjalnie podkreślić dwa momenty. O pierwszym była już owa, tutaj jednak wypadnie powtórzyć to raz jeszcze — jest to zagadenie zależności poznania racjonalnego od postrzeżenia zmysłowego. en, kto uważa, że poznanie racjonalne nie wywodzi się z postrzeżenia nysłowego — jest idealistą.

W dziejach filozofii istnieli tzw. „racjonaliści" przypisujący realność dynie poznaniu rozumowemu, negujący realność doświadczenia, uważający, że polegać można jedynie na rozumie, doświadczenie zaś porzegania zmysłowego jest niepewne; błędy tego kierunku polegają na m, że usiłuje on odwrócić fakty do góry nogami. Wiarygodność pierastka racjonalnego wypływa właśnie z postrzeżenia zmysłowego, przeciwnym razie pierwiastek racjonalny przekształciłby się w wodę z źródła, w drzewo bez korzeni, przekształciłby się w coś, co ma źróa czysto subiektywne, w coś niepewnego. Z punktu widzenia kolejnoi stadiów procesu poznania na pierwszym miejscu stoi doświadczenie mysłowe, toteż podkreślamy znaczenie praktyki społecznej w procesie oznania, tylko praktyka społeczna może zapoczątkować poznanie ludze, tylko w związku z nią obiektywnie istniejący świat poczyna nam ostarczać odpowiedniego doświadczenia zmysłowego. Człowiek ślepy głuchy, zupełnie oderwany od obiektywnie istniejącego świata zenętrznego, nie mógłby wcale poznawać. Poznanie rozpoczyna się od oświadczenia — to właśnie jest materializm teorii poznania.

Drugi moment — to pogłębianie poznania, konieczność przejścia od mocjonalnego szczebla poznania do szczebla racjonalnego; to właśnie st dialektyka teorii poznania *). Uważać, że poznanie może się zarzymać w niższym stadium — na szczeblu emocjonalnym — uważać, pewne są jedynie postrzeżenia zmysłowe, poznanie zaś racjonalne ie jest pewne — znaczy powtarzać znane z historii błędy „empiryzu". Błędy tej teorii polegają na niezdawaniu sobie sprawy, że ma-

*) W. I. Lenin pisze: „Aby zrozumieć, trzeba empirycznie rozpocząć pojmoanie, badanie, od empirii wznosić się do ogółu". Zeszyty filozoficzne, wyd. s.; str. 178.

teriały postrzeżenia zmysłowego niewątpliwie są odbiciem rzeczy realnych, należących do obiektywnie istniejącego świata zewnętrznego (nie mówię tu, że empiria jest jedynie idealistycznym empiryzmem z jego doświadczeniem odbicia wewnętrznego), ale są jednostronne i powierzchowne, a uzyskane odbicie rzeczy jest niepełne, nie odzwierciedla ich istoty. Do pełnego odzwierciedlenia całej rzeczy, do odzwierciedlenia istoty rzeczy, odzwierciedlenia wewnętrznych prawidłowości danej rzeczy niezbędna jest funkcja myślenia, przetworzenie bogatego materiału postrzeżeń zmysłowych, polegające na odrzuceniu plew i pozostawieniu ziarna, na usunięciu tego co fałszywe, a zachowaniu tego co rzeczywiste, na przejściu od zewnętrznego kształtu zjawisk do ich wewnętrznej istoty; do zbudowania systemu pojęć i teoryj niezbędny jest skok od doznań zmysłowych (od poznania emocjonalnego) do poznania racjonalnego. To przetworzone poznanie nie jest bynajmniej poznaniem wyjałowionym i niepewnym; przeciwnie, jest ono, jak mówi Lenin, jeszcze głębsze, wierniejsze, jeszcze pełniej odzwierciedla istniejącą obiektywnie rzecz, jeżeli tylko stanowi naukowo przetworzony produkt procesu poznania przebiegającego na bazie praktyki. Inaczej postępują wulgarni praktycy. Hołdują oni jedynie doświadczeniu, a gardzą teorią, wskutek czego nie mogą ogarnąć całokształtu procesu obiektywnego, działalność ich nie ma jasno wytkniętego kierunku, brak im rozległej perspektywy, cieszą się chełpliwie ze swych pojedynczych sukcesów i ze swego ciasnego horyzontu. Gdyby ci ludzie kierowali rewolucją — wepchnęliby ją w ślepą uliczkę.

Poznanie racjonalne zależy od doznań zmysłowych, od poznania emocjonalnego, a poznanie emocjonalne winno się rozwijać w racjonalne — oto właśnie teoria poznania materializmu dialektycznego. „Racjonalizm" i „empiryzm" w filozofii nie rozumieją historycznego i dialektycznego charakteru poznania i chociaż każdy z tych kierunków zawiera jednostronne prawdy (mowa tu o materialistycznym racjonalizmie i materialistycznym empiryzmie, a nie o idealistycznych), to jednak ich teoria poznania rozpatrywana w swym całokształcie jest błędna. Według materializmu dialektycznego ruch poznania od zmysłów do rozumu jest taki sam zarówno w małym procesie poznania (np. poznanie jakiejś rzeczy lub jakiejś pracy) jak w wielkim procesie poznania (np. poznanie społeczeństwa lub rewolucji).

Jednakże ruch poznania na tym się jeszcze nie kończy. Gdyby według materializmu dialektycznego ruch poznania zatrzymywał się na poznaniu racjonalnym — byłoby to rozwiązanie tylko połowy problemu, co więcej, nie byłaby to bynajmniej z punktu widzenia filozofii marksistowskiej połowa najważniejsza. Filozofia marksistowska uważa, że najważniejsza kwestia polega nie na tym, żeby zrozumiawszy prawa rządzące obiektywnym światem wytłumaczyć dzięki temu świat, lecz na tym, by wykorzystać to poznanie obiektywnych praw do czynnego przeobrażenia świata. Marksizm przyznaje teorii rolę czynną; jej znaczenie znalazło pełny wyraz w następującej tezie Lenina: „Bez rewolucyjnej

orii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny" *). Ale marksizm rzywiązuje do teorii poważne znaczenie właśnie dlatego i tylko dlago, że może ona kierować działaniem. Jeśli się ma prawidłową teorię, e poprzestaje się na czczych rozmowach o niej, jeżeli trzyma się ją d korcem i nie urzeczywistnia jej w praktyce, to teoria ta nie może ieć znaczenia, chociażby była jak najlepsza. Poznanie zaczyna się od raktyki, poprzez praktykę uzyskuje się poznanie teoretyczne, to zaś winno następnie znów wrócić do praktyki. Czynna rola poznania wyża się nie tylko w aktywnym skoku od poznania emocjonalnego do raonalnego; jeszcze ważniejsze jest to, by znalazła ona wyraz w skoku racjonalnego poznania do rewolucyjnej praktyki. Poznanie, które rzeniknęło prawa rządzące światem, powinno być znów skierowane ku raktycznemu przeobrażeniu świata, wykorzystane w praktyce prokcji, w praktyce rewolucyjnej walki klasowej i narodowej, jak również w praktyce doświadczeń naukowych. Jest to proces sprawdzania orii oraz rozwoju teorii, stanowiący dalszy etap jednego niepodzielgo procesu poznania. Kwestia, czy teza teoretyczna odpowiada obiekwnej rzeczywistości, nie rozstrzyga się w pełni — jak powiedzieliśmy yżej — i nie może być w pełni rozstrzygnięta w ruchu poznania od porzeżenia zmysłowego do poznania racjonalnego. Aby w pełni rozrzygnąć tę kwestię, trzeba by skierować poznanie racjonalne znowu praktyce społecznej — zastosować teorię w praktyce — sprawdzić, y może ona doprowadzić do oczekiwanego celu. Uznajemy za prawiwe wiele teorii przyrodniczych właśnie dlatego, że teorie te nie tylko stały odkryte przez przyrodników, lecz i potwierdzone w późniejszej aktyce naukowej. Przyczyną tego, że marksizm-leninizm uznano za orię prawdziwą, jest nie tylko to, że Marks, Engels, Lenin i Stalin worzyli tę teorię na drodze naukowej, lecz również i fakt, że potwieriła ją późniejsza praktyka rewolucyjnej walki klasowej i walki nadowej. Materializm dialektyczny stał się prawdą powszechną dlate, że poza jego granice nie może wyjść praktyka żadnego człowieka. storia poznania ludzkiego mówi nam, że liczne teorie posiadały wiele iejsc niejasnych, lecz dzięki sprawdzeniu w praktyce braki ich zoały usunięte. Liczne teorie były błędne, lecz dzięki sprawdzeniu praktyce błędy ich zostały skorygowane. Właśnie dlatego praktyka anowi kryterium prawdy; „punkt widzenia życia, praktyki powinien ć naczelnym, podstawowym punktem widzenia teorii poznania"**). oskonale wyraził to Stalin: „Oczywiście teoria staje się bezprzedmiowa, jeżeli nie jest związana z rewolucyjną praktyką — podobnie jak praktyka staje się ślepa, jeżeli nie oświetla sobie drogi rewolucyjną orią ***).

Czy na tym kończy się ruch poznania? Odpowiadamy: kończy się, zarazem nie kończy się. Poznanie ludzi, którzy włączyli się do prak-

---

) W. I. Lenin: Dzieła. t. 5, Warszawa, 1950; str. 404.
*) W. I. Lenin: Dzieła. t. 14, Warszawa, 1949; str. 180.
**) J. Stalin: Zagadnienia Leninizmu. Warszawa, 1949; str. 21.

tyki przeobrażania jakiegoś określonego obiektywnego procesu na jakimś określonym szczeblu rozwoju (rzecz obojętna, czy jest to praktyka przeobrażania jakiegoś procesu naturalnego, czy też praktyka przeobrażania jakiegoś procesu społecznego), przechodzi wskutek odzwierciedlenia obiektywnego procesu i czynnej funkcji subiektu od doznania zmysłowego do poznania racjonalnego i wytwarza idee, teorie, plany lub projekty, odpowiadające na ogół prawom danego procesu obiektywnego; te idee, teorie, plany lub projekty stosuje się następnie w praktyce tegoż procesu obiektywnego i jeśli uda się osiągnąć oczekiwany cel, tj. przekształcić w praktyce wspomnianego procesu posiadane poprzednio idee, teorie, plany i projekty w rzeczywistość czyli osiągnąć na ogół w zarysach ich realizację, to ruch poznania tego konkretnego procesu można uważać za zakończony. Na przykład urzeczywistnienie planu jakiejś budowli, potwierdzenie jakiejś hipotezy naukowej, stworzenie jakiegoś mechanizmu, zebranie plonów jakiejś uprawy — w procesie przeobrażenia przyrody, albo też sukces jakiegoś strajku, zwycięstwo w jakiejś wojnie, wykonanie jakiegoś planu nauczania — w procesie przeobrażenia społeczeństwa — wszystko to jest osiągnięciem oczekiwanego celu. Jednakże na ogół w praktyce przeobrażania przyrody lub społeczeństwa rzadko się zdarza, by idee, teorie, plany i projekty, z którymi ludzie do tej praktyki przystępowali, wcielone zostały w życie bez najmniejszych zmian. Dzieje się tak dlatego, że ludzie przeobrażający rzeczywistość często mają wielorako ograniczone możliwości poznania: są oni skrępowani nie tylko warunkami naukowymi i technicznymi, lecz i stopniem rozwoju procesu obiektywnego i stopniem wyrażenia się tego procesu (nie odsłoniły się jeszcze w całej pełni wszystkie strony i istota obiektywnego procesu). W takiej sytuacji wskutek ujawnienia się w praktyce okoliczności, których istnienia dawniej nie podejrzewano, zdarzają się częstokroć wypadki częściowego przekształcenia idei, teorii, planów i projektów, bywają również wypadki całkowitej ich zmiany. Znaczy to, że zdarza się, iż idee, teorie, plany i projekty, z którymi ludzie przystępują do praktyki, częściowo lub całkowicie nie odpowiadają realnej rzeczywistości, są częściowo lub całkowicie błędne. W wielu wypadkach dopiero po licznych niepowodzeniach udaje się sprostować błędne poznanie, uzyskać zgodność z prawami obiektywnego procesu — a zatem przekształcić rzecz subiektywną w obiektywną, tj. osiągnąć w praktyce oczekiwane rezultaty. Tak więc z nadejściem tej chwili ruch poznania ludzkiego w jakimś określonym obiektywnym procesie na jakimś określonym szczeblu rozwoju jest zakończony.

Ale z punktu widzenia rozwoju procesu ruch poznania ludzkiego nie jest zakończony. Wszelki proces czy to w przyrodzie, czy w społeczeństwie, wskutek istnienia sprzeczności wewnętrznych i ich walki podlega zmianom i rozwija się w kierunku postępowym, a za nim postępuje i rozwija się ruch poznania ludzkiego. Jeśli mówimy o ruchu społecznym, to przywódcy prawdziwie rewolucyjni powinni nie tylko umiejętnie prostować błędy w swoich ideach, teoriach, planach i projektach, jak o tym wspominaliśmy wyżej, lecz również podczas przechodzenia

iegoś określonego obiektywnego procesu z jakiegoś określonego
zebla rozwoju na inny określony szczebel rozwoju powinni umie-
nie, w swym własnym subiektywnym poznaniu, sami wraz ze wszy-
mi uczestnikami rewolucji włączyć się do tego procesu, tj. dążyć do
o, by wysuwane wtedy nowe zadania rewolucyjne i nowe projekty
ocze odpowiadały nowej sytuacji. Zmiany w sytuacji w okresie re-
ucyjnym odbywają się w sposób gwałtowny i jeżeli poznanie rewo-
jonistów nie będzie się również zmieniało w odpowiednio szybkim
pie, nie można będzie doprowadzić rewolucji do zwycięskiego koń-
Często jednak bywa tak, że idee pozostają w tyle za rzeczywisto-
; dzieje się tak dlatego, że rozliczne warunki społeczne ograniczą
wiedzę ludzką.

dy walczymy przeciwko konserwatystom w naszych rewolucyjnych
regach, gdyż ich ideologia nie może się rozwijać odpowiednio do
ian zachodzących w sytuacji obiektywnej, co historycznie przeja-
o się w postaci prawicowego oportunizmu. Ludzie ci nie widzą, że
ka przeciwieństw doprowadziła do rozwoju obiektywnego procesu,
ch poznanie pozostało na dawnym szczeblu. Cechy te właściwe są
ologii wszystkich konserwatystów. Ich ideologia jest oderwana od
ktyki społecznej, nie mogą oni kroczyć na czele ruchu społeczeń-
a i pełnić roli awangardy, wloką się jedynie w ogonie i wyrzekają
zbyt szybki ruch społeczeństwa, usiłując pociągnąć je wstecz i za-
ócić.

Walczymy również przeciwko „lewackiej" frazeologii. Idee jej przed-
wicieli wyprzedzają szczeble rozwoju obiektywnego procesu; nie-
rzy miłośnicy frazesów biorą złudzenia za rzeczywistość, niektórzy
łują gwałtem zrealizować w teraźniejszości ideały, które dadzą się
alizować dopiero w przyszłości; ich idee, oderwane od współczesnej
aktyki większości ludzi, oderwane od współczesnej rzeczywistości, do-
owadzają w praktyce do awantur.

Oderwanie tego co subiektywne od tego co obiektywne, oderwanie
rii od praktyki stanowi swoistą cechę idealizmu i mechanistycznego
terializmu, oportunizmu i awanturniczości. Marksistowsko-leninow-
a teoria poznania, której podstawą jest naukowa praktyka społeczna,
lczy zdecydowanie przeciwko tym błędnym ideologiom. Marksiści gło-
, że w absolutnym, ogólnym procesie rozwoju wszechświata rozwój
szczególnych konkretnych procesów ma charakter względny; ponie-
ż poznanie absolutnej prawdy wyraża się w poznaniu konkretnych
ocesów na określonym szczeblu rozwoju, przeto w każdym momencie
znanie zawiera jedynie względne prawdy. Z sumy niezliczonych
głędnych prawd powstaje prawda absolutna *). Rozwój obiektywne-
procesu — to rozwój pełen przeciwieństw i walk. Rozwój ruchu poz-
nia ludzkiego — to z kolei rozwój pełen przeciwieństw i walk. Wszelki
ch dialektyczny w obiektywnym świecie może wcześniej czy później
aleźć odbicie w poznaniu ludzkim. Proces powstawania, rozwoju i za-

*) W. I. Lenin: Dzieła. t. 14, Warszawa, 1949; str. 151.

głady jest w praktyce społecznej nieskończony i nieskończony jest też proces powstawania, rozwoju i zagłady w poznaniu ludzkim. Praktyka zmierzająca do przeobrażenia obiektywnej rzeczywistości i oparta na określonych ideach, teoriach, planach i projektach postępuje wciąż naprzód i ludzkie poznanie obiektywnej rzeczywistości wciąż się pogłębia. Proces zmian nie ustaje nigdy i nigdy też nie ustaje proces poznawania przez ludzi prawdy w praktyce. Marksizm-leninizm nie kładzie bynajmniej kresu poznawaniu prawdy, lecz, przeciwnie, nieustannie toruje drogi do poznania prawd w praktyce. Wniosek: jesteśmy za konkretną historyczną jednością tego co subiektywne i tego co obiektywne, teorii i praktyki, wiedzy i działania, jesteśmy przeciwko wszystkim „lewicowym" czy prawicowym błędnym ideologiom oderwanym od konkretnej historii.

W obecnej epoce rozwoju społecznego na barki proletariatu i jego partii politycznej historia złożyła odpowiedzialność za prawidłowe poznanie i przeobrażenie świata. W całym świecie, również i w Chinach, proces praktyki przeobrażenia świata, który ukształtował się na podstawie poznania naukowego, doszedł do momentu historycznego ogromnej wagi, momentu niebywałego w dziejach. Jest to moment całkowitego pokonania ciemności na całym świecie, a więc również i w Chinach, oraz stworzenia jasnego świata, jakiego nie znały dzieje. Do zadań walki proletariatu i rewolucyjnych mas ludowych o przeobrażenie świata należy zarówno przeobrażenie obiektywnego świata jak i przeobrażenie swego subiektywnego świata — przeobrażenie swej zdolności poznania, przeobrażenie związku świata subiektywnego z obiektywnym. W jednej części kuli ziemskiej — w Związku Radzieckim — dokonuje się już tych przeobrażeń. W obecnej chwili naród radziecki przyspiesza ich tempo. Z kolei naród chiński i inne narody świata przechodzą obecnie lub przejdą w najbliższej przyszłości proces tych przeobrażeń. Obiektywny świat ulegający przeobrażeniom obejmuje również przeciwników przeobrażeń i dlatego ich przeobrażenie powinno przejść przez szczebel przymusu; dopiero potem będą oni mogli wznieść się na szczebel samowiedzy. Epoka, w której ludzkość całego świata okaże się zdolna do uczestniczenia w świadomym przeobrażaniu siebie i świata, będzie właśnie epoką komunizmu na całym świecie.

Poprzez praktykę wykrywać prawdy, poprzez praktykę potwierdzać i rozwijać prawdy. Od doznań zmysłowych, od postrzeżeń zmysłowych czynnie przechodzić do poznania racjonalnego, od poznania racjonalnego — do czynnego kierowania praktyką rewolucyjną, do przeobrażania subiektywnego i obiektywnego świata. Praktyka — poznanie, znowu praktyka i znowu poznanie — cykle tego procesu powtarzają się nieskończenie, a treść każdego cyklu praktyki i poznania wznosi się na stosunkowo wyższy szczebel. Oto w ogólnych zarysach teoria poznania materializmu dialektycznego, oto pogląd materializmu dialektycznego na jedność wiedzy i działania.

Mao Tse-tung

EUGENIUSZ ONIEGIN

Z rozdziału czwartego

XXV

Coraz się bardziej kochał Leński
We wdziękach swej młodziutkiej Oli
I w komitywie narzeczeńskiej
Słodkiej poddawał się niewoli.
Stale był przy niej. To po ciemku
Pod wieczór siedział z nią we dworze,
To parkiem szli o rannej porze
I on jej rękę trzymał w ręku;
I cóż? Miłością upojony
Wstydliwie mierzył każdy krok,
Tyle że czasem ośmielony
Uśmiechem Oli pieścił lok
Rozwity z jej niesfornych pukli
Lub ucałował rąbek sukni.

XXVI

Czasem przykładną czytał powieść,
Gdzie jest natura opisana
Z umiarem i, jak łatwo dowieść,
Prawdziwiej niż u Chateaubriana,
A przy tym po dwie, po trzy strony
(Jakieś wymysły niedorzeczne,
Dla serc panieńskich niebezpieczne)
Przepuszczał, raptem zapłoniony.
Niekiedy znów, zaszyci w cieniu,
Siądą i oprą się o stół
Nad szachownicą, w zamyśleniu
Nie odrywając od niej czół,
Aż Leński ruchem roztargnionym
Zabije własną wieżę pionem.

XXVII

Wróci do domu i w zadumie,
Ciągle zajęty swą Oleńką,
Przerzuca kartki w jej albumie,
Ozdabia je staranną ręką:
To na lutońce kształt gołębia,
To widok wiejski kreśli, obok
Świątynię Wenus i nagrobek,
Kredkami wszystko poobrębia;

To na stroniczkach tych pamiątek,
Gdzie ktoś już kiedyś podpis kładł,
Wiersz czuły wtrąca, cichy wątek
Marzenia, niezatarty ślad
Złowionej myśli, co ulata
I wciąż ta sama trwa przez lata.

XXVIII

Może ci kiedyś w ręce wpadnie
Panieński album parafianki,
Który ze wszystkich stron dokładnie
Zagryzmoliły koleżanki.
Znajdziesz tu kpiące z ortografii
Wiersze kulawe i bez miary,
Na znak przyjaźni według starej
Recepty, tak, jak kto potrafi,
Fastrygowane, okrojone.
Qu'écrirez-vous sur ces tablettes,
Wyczytasz biorąc pierwszą stronę,
I podpis: *t. à v. Annette;*
Na końcu: *Kto cię kocha stalej,*
Ten niechaj wpisze się tu dalej.

XXIX

Wierzaj mi, znajdziesz tu na pewno
Dwa serca, znicz i arabeski;
Odczytasz tu przysięgę rzewną
W miłości do grobowej deski;
Tu ci pułkowy o d z i a r z wetknie
Haniebne płody swego ducha.
Ach, do takiego to sztambucha
Ja też bym się wpisywał chętnie
I miałbym święte przeświadczenie,
Że każda porcja miłych bzdur
Wdzięczne pozyska mi spojrzenie,
Że się nie znajdzie chytry szczur,
Co by chciał badać skrupulatnie,
Czy łgałem, i czy dość udatnie.

XXX

Lecz wy, coście nam świat zalały,
Albumy z czarcich księgozbiorów,
Majestatyczne folijały,
Tortury młodych dziś autorów,
Kunsztownie ozdabiane tomy
Pędzlem Tołstoja czarującym,
Boratyńskiego piórem drwiącym,
A niech was spalą boże gromy!
Kiedy imionnik swój in quarto

Dama podsuwa mi pod nos,
Czuję schylając się nad kartą
Mrowie i złość: przeklęty los!
Choćby ci w głębi duszy migał
Epigram, ty jej smaż madrygał.

XXXI

Nie madrygały dla swej Oli
W skromnym albumie Leński pisze;
Nie skrzy się pióro, nie swawoli,
Ale miłością czułą dysze:
Co złowi uchem, dojrzy okiem,
Wszystko o lubej w album wkłada
I żywą prawdą album gada,
Elegie płyną mu potokiem.
Tak ty, natchniony Jazykowie,
Podając sercu swemu wtór,
Nie wiedzieć o kim śpiewasz sobie,
Aż twych elegii cenny zbiór
W prawdziwym odda ci patosie
Całą opowieść o twym losie.

— — — — — — —

XXXV

A ja czytuję w tajemnicy
Płody fantazji harmonijnych
Staruszce-niani, powiernicy
Mych lat swawolnych i niewinnych;
Lub na sąsiedzką czyham duszę:
Niechno mi gość niebacznie zjedzie,
Za połę chwycę po obiedzie
I w kącie go tragedią zduszę.
Gdy rym i troska mnie napada,
(Nie kpijmy z tych poważnych spraw)
Zaskoczę dzikich kaczek stada
Obchodząc mój zaciszny staw:
Te ulatują zdjęte lękiem
Przed miodopłynnej strofy dźwiękiem.

XXXVI, XXXVII

A cóż Oniegin? Właśnie, właśnie!
Tu dla was mam nowości cenne:
Słuchajcie pilnie, a wyjaśnię
Jego zajęcia całodzienne.
Przybrał zwyczaje pustelnika;
Niewiele trzeba mu do życia;
Wstaje o siódmej, bez okrycia
Biegnie do rzeki, w nurtach znika;

Piewcę Gulnary naśladuje,
Jak on, Hellespont bierze wpław,
Wypije kawę, przewertuje
Gazetę lichą (Boże zbaw!),
Ubiera się...

XXXVIII, XXXIX

Przechadzki, książki, sen głęboki,
Leśnych strumieni szept uroczy,
Czasem dzieweczki czarnookiej
Całus wesoły i ochoczy,
Konik, co grzecznie uzdy słucha,
Na obiad smaczna legumina,
Butelka świetlistego wina,
Odosobnienie, cisza głucha —
To Oniegina żywot święty ;
Samotnik przestał liczyć dni
I słodkim wczasem pochłonięty
Z wielkiego świata jawnie kpi,
Nie dba o miasto, o przyjaciół,
O to, że nudne biby stracił.

XL

Ale północne naszę lato
Na obraz południowej zimy
Błyśnie i zgaśnie: cóż my na to?
Wiemy, lecz ukryć to wolimy.
Już dzień się kończył coraz wcześniej,
Już słonko rzadziej przyświecało,
Niebo jesienią oddychało,
Ogołocone w głębi leśnej
Gąszcze rodziły szum złowrogi,
Już na południe ciągnął sznur
Krzykliwych gęsi, na rozłogi
Opadał tuman, ławy chmur
Zapowiadały nudną słotę;
Już i listopad stał za płotem.

XLI

Świt się okrywa mgiełką chłodną;
Na polach zgiełk roboty milknie;
A z boru wilk z wilczycą głodną
Na skrzyżowanie dróg się wymknie;
Nie nadaremnie koń się wzbrania,
Poczuje dzicz i sapie trwożny,
Jeździec nawraca go ostrożny
Pod górę i co tchu pogania;
Pastuch nie pędzi bydła z obór
O rannej porze, ani dniem

Nie zbiera stada grą na rogu;
W izbie dziewoja przędzie len,
Śpiewa, i czasem jej przerywa
W noc chłodną miły trzask łuczywa.

XLII

Już idą trzaskające mrozy
I szronem srebrzą się już pola...
(Na rym ci lecą *tuberozy;*
A bierz je sobie jeśli wola!)
Jaśniej niż sal posadzka gładka
Lśni się rzeczułka, gdy zamarznie;
Tu lód łyżwami krając raźnie
Wesoła zbiega się gromadka;
Tu, na czerwonej wsparty łapie,
Śniąc, że dosięgnie łona wód,
Ostrożny gąsior ciężko człapie
I stacza się na śliski lód;
Migoce rój pierwszego śniegu
Gwiazdkami ścieląc się na brzegu.

XLIII

Cóż robić na wsi o tej porze?
Wybrać się pieszo albo konno
Na spacer? Wieś dokuczyć może
Swoją nagością monotonną.
Po dzikim zechcesz gonić stepie?
Ale stępioną koń podkową
O grudę potknie się lodową
I kwituj z jazdy. To już lepiej,
Kiedy się w książkach zapamiętasz
Pradta czy Scotta. Masz ich dość?
Sprawdzaj rachunki czy inwentarz,
Gniewaj się, śpiewaj; przejdzie złość,
Długie wieczory jakoś miną,
Poznasz, jak pysznie bywa zimą.

XLIV

Cóż tedy z naszym Child Haroldem?
W lenistwie całkiem się pogrążył:
Rano brał kąpiel w wannie z lodem,
Przez cały dzień po domu krążył.
Mija południe: on zawile
Coś tam oblicza przy bilardzie
I sam ze sobą gra uparcie
Tępym kijaszkiem we dwie bile.
O zmroku — pora odpoczynku;
Porzucił bilard, kij do gry,
Stół kazał nakryć przy kominku

I czeka głodny: z dala rży
Trójka dereszy, Leński jedzie:
Podawać! Siedzą przy obiedzie.

XLV

Błogosławione piją wino
Wdowy Cliquot albo Moëta;
Z mrożonych flaszek strugi płyną
I delektuje się poeta.
To wino skrzy jak Hipokrene,
To wino zmienną grą i pianą
(W nim jedno z drugim pomieszane)
Nęciło mnie za wszelką cenę
I ostatniego nieraz centa
Płaciłem za cudowny płyn.
Kamraci, kto z was nie pamięta,
Ile uciesznych było kpin,
Jakie wierszyki, krotochwile,
Kłótnie, wesołych rojeń ile!

XLVI

Dziś już niechętnie mój żołądek
Przyjmuje piany niebezpieczne
I bardziej cenię dziś rozsądek,
Stąd wolę pić Bordeaux stateczne.
Nie dla mnie są młodzieńcze gusta;
Aï — kochanka nazbyt żywa,
Płocha, kapryśna, błyskotliwa,
Aï — to latawica pusta...
Lecz ty, Bordeaux, ty — jak towarzysz
Na dolę dobrą i na złą,
Zawsze się w porę nam nadarzysz
Osłodę dając gorzkim łzom
I w cichym służąc nam weselu.
Żyj nam Bordeaux, nasz przyjacielu!

XLVII

Już ogień przygasł; pod powłoką
Popiołu jarzy węgiel złoty;
W powietrzu ledwie dojrzy oko
Ślad pary, nikły prąd ciepłoty
Idzie z kominka. Pod otworem
Krąży dym z fajek. Dwa kielichy
Na stole syk wydają cichy.
Mgła się gromadzi nad wieczorem...
(Lubię przyjaciół paplaninę,
Kieliszek i przytulny kąt,

Gdy zegar bije nam godzinę,
Którą nazwano, nie wiem skąd
Godziną między psem a wilkiem.)
A teraz posłuchajmy chwilkę:

XLVIII

„Co u sąsiadek? U Tatiany?
Jak tam się Olga twoja chowa?"
„Nalej mi jeszcze, mój kochany...
Dziękuję, dość... Staruszka zdrowa;
Ukłony od nich ci przywożę,
Grzecznie pozdrowić cię kazały.
Ach! Wiesz jak Oldze wypiękniały
Ramiona? Jaka pierś, mój Boże!
A jaka dusza!... Jedź, zobaczysz.
Ale, mój drogi, byłeś tam —
Coś ze dwa razy i nie raczysz
Pokazać nosa: pomyśl sam.
Ach, prawda... Głowa do pozłoty!
Jesteś proszony tej soboty."

XLIX

„Ja?" „Tak. Tatiany imieniny.
Ola i matka ich przeze mnie
Proszą cię... Skrewić bez przyczyny
Byłoby bardzo nieprzyjemnie."
„Już widzę, jak się tam zaroi,
Hołota całą kupą zjedzie..."
„Cóż ty! Nikogo tam nie będzie!
Kto miałby zjechać? Sami swoi.
Wybierz się ze mną, bądź tak miły!"
„No dobrze." „Dzięki... Bierz Cliquot!"
Kieliszki w palcach zadzwoniły
I odstawiwszy puste szkło
Przemówił znów na nutę czułą
O Oldze: miłość jest gadułą!

L

Wesoło plótł... Za dwa tygodnie
Miał się połączyć z ukochaną
I w zachwyceniu przyjąć od niej
W poślubną noc tajemne wiano.
Urok tej słodkiej obietnicy
Zakrył mu przyszłe utrapienia,
Troski domowe, chłód znudzenia.
Cóż my, przysięgli samotnicy?
Nas od małżeństwa łatwo odwieść:

Widzimy łańcuch nudnych scen,
Jakąś nieznośnie ckliwą powieść,
Jakby ją pisał La Fontaine...
A co innego biedny Leński:
On w sercu nosił stan małżeński.

LI

I był kochany... Tak przynajmniej
Myślał, po stokroć tym szczęśliwszy,
że w miłość wierzył najzwyczajniej,
że roje myśli swych uśpiwszy
W rozkosznej sobie drzemce przyległ,
Jak na noclegu pielgrzym pjany
Lub, delikatniej, jak przyssany
Wiosną do kwiatka śpi motylek.
Biedny, kto wszystko dziś przewidzi,
W kim trzeźwy pokutuje duch,
Kto pojmie w lot i znienawidzi
Każde słóweczko, każdy ruch;
Serce mu zetnie chłód lodowy
I nie pozwoli stracić głowy!

Z rozdziału piątego

O, tych strasznych snów nie zazna
Moja ty Świetlano!

Żukowski

I

W tym roku długo się trzymała
Pogodna jesień bez zamieci,
Długo na zimę wieś czekała.
Śnieg spadł dopiero w noc na trzeci
Stycznia. Zbudziwszy się nad ranem
Tatiana zobaczyła z okna,
Jak biel calutki dwór powlokła
Z kulami klombów i parkanem;
Na szybie haftowane wzory,
Na dworze zlot wesołych srok,
Lodowe srebrne drzew bisiory
I okolicznych wyżyn stok
Pod miękką, skrzącą się pościelą:
Dokoła aż pałało bielą.

II

Zima!... Wesoło pohukując
Wieśniak płozami drogę żłobi
I szkapa, śnieg pod nogą czując,
Tędy, owędy truchtem drobi;
Unosząc kłąb śnieżnego puchu
Kibitka mknie aż dech zamiera:
Na koźle jamszczyk się rozpiera
W czerwonym pasie na kożuchu.
W saniach posadził Żuczka malec
I sam je ciągnie niby koń;
Urwis odmroził sobie palec;
W biegu raz po raz chuchnie w dłoń:
Na przemian ból i śmiech go chwyta;
Groźbą go matka w oknie wita...

III

A może zima jakaś inna
Wam by się bardziej spodobała:
Tu jest natura całkiem gminna,
Powabu siła — całkiem mała.
Od Feba inny brał natchnienie
I słodkim żarem wiersz ogrzewał,
On z pierwszym śniegiem wam opiewał
Wszystkie zimowych łask odcienie.
Nie wątpię, że was urzec mogą,
Kiedy w ognisty wpadną rym,
Tajne przejażdżki sanną drogą;
Nie mam ochoty ani z nim,
Ani też z tobą iść w zawody,
O mój ty piewco Finki młodej!

IV

Tania (Rosjanka z całej duszy),
Nie wiedząc czemu, w sercu młodem
Kochała zimę w wiejskiej głuszy,
Chłodną rosyjską jej urodę,
W słońcu na mrozie szron świetlisty,
Różowych śniegów migotanie
O późnej zorzy, lotne sanie

I Świętochrzestny [1]) wieczór mglisty.
W ten dzień kobiety z dworskiej służby,
Kiedy zapadał pierwszy zmrok,
Stawiały swym panienkom wróżby,
Przepowiadając im co rok,
Że wszystkie wnet za mężów pojmą
Wojskowych, i straszyły wojną.

V

Tania wierzyła w tajemnice,
Które się w gminie przechowały,
W stary zabobon, złe księżyce,
I sny, i karty do kabały.
Niekiedy znaki ją płoszyły
I wszystkie rzeczy o jej życiu
Wyrokowały coś w ukryciu,
Przeczucia stale pierś tłoczyły.
Kot się na piecu dąsem nadął,
Mył pyszczek łapą, mrucząc m i a u,
A to był znak, że goście jadą.
Na niebie z lewej strony stał
Dwurogi, ostry nów miesiąca
I naraz ona, cała drżąca,

VI

Mieniła się na twarzy, bladła!
A gdy na niebie zabłąkana
Latała gwiazda, kiedy z nagła
Rozpryskiwała się, Tatiana
Spieszyła, tknięta cichą trwogą,
Życzenie serca szepcąc właśnie,
Dopóki gwiazda nie zagaśnie.
Gdy czarny mnich przechodził drogą,
Albo spłoszony szybki zając
Spod miedzy wyrwał się na wskos,
Ona, ze strachu umierając,
Już przeczuwała nagły cios,
Który na pewno na nią spadnie,
Oczekiwała go bezradnie.

[1]) W kościele prawosławnym dzień Trzech Króli świętuje się jako dzień ch
Rusi. (Przyp. tł.).

VII

Cóż? Nawet groza nieuchronna
Rozkoszą skrycie ją poiła:
Tak nas do przeciwieństwa skłonna,
Sama natura ulepiła.
Nastały świątki. Toż uciecha!
Niefrasobliwie wróżą młodzi
I żal ich jeszcze nie nachodzi,
I życie do nich się uśmiecha,
Sercu się przyszłość jasna marzy
Szeroko ścieląc się do stóp,
Sterani życiem wróżą starzy
Przez okulary patrząc w grób.
Różnicy nie ma: starzy, młodzi,
Szczebiot nadziei wszystkich zwodzi.

VIII

Zaciekawiona Tania bacznie
Śledzi jak lany wosk osiada;
Wosk układając się cudacznie
Coś po cudacku zapowiada
I w zapełnionym wodą cebrze
Mnóstwo obrączek się wyłania;
Razem z obrączką nasza Tania
Złowiła starą pieśń o srebrze:
„Tam chłop ma skarby, tam łopaty
Nakopią srebra cały stos;
Komu śpiewamy, ten bogaty,
Temu pokłony!“ Smutny los
Wróży ta pieśń; natomiast *kotki*
Budzą w serduszkach odzew słodki.[2])

IX

Noc mroźna; w boskim korowodzie
Górą niebieskie płyną światła
Wśród takiej ciszy, w takiej zgodzie...
Tania na śnieżny dwór wypadła
Nie narzuciwszy nic na suknię
I do księżyca zwraca lustro,

[2]) Wróżba wesela. Pierwsza pieśń wróży śmierć (przyp. Puszkina).

Ale w tym ciemnym lustrze pusto,
Księżyc w nim tylko świeci smutnie...
Cyt... śnieg zaskrzypiał... ktoś nadchodzi;
Dziewoja na paluszkach wnet
Leci i głosik dzwoni słodziej
Niżby się w noc odezwał flet:
Jak wam na imię?[3]) A on na to
Spojrzy i mruknie jej: Agaton.

X

Tatiana za namową niani
Do nocnej wróżby każe skrycie
Stół na wieczerzę wnieść do b a n i,
Podwójne dać na stół nakrycie;
Nagle się czegoś przeraziła...
I mnie — gdy wspomnę cię, Świetlano,
Strach oblatuje — nie, z Tatianą
Nie będziem wróżyć: złego siła..
Teraz Tatiana nad pościelą
Jedwabny z bioder zdjęła pas,
Legła. Nad głową krąży Lelum,
W solennej ciszy płynie czas,
Panieńskie lustro pod poduszką
Puchową leży. Uśnij, duszko...

XI

I śni się dziwny sen Tatianie.
I śnieżna śni jej się polana,
A ona brnie po tej polanie,
Obłokiem smętnej mgły owiana.
A w białych zaspach przed oczyma
Rozkotłowany, hałaśliwy
Pieni się potok ciemno-siwy,
Którego nie okuła zima.
Nad nim zdradliwy mostek z pali
Ledwie opiera się o lód
I lada chwila się zawali;
Spod chwiejnej kładki wieje chłód
Otwierającej się otchłani;
Tu już odwagi zbrakło Tani.

[3]) Takim sposobem poznaje się imię przyszłego męża. (Przyp. Puszkina).

XII

Na strumień żali się, narzeka
Jak na rozłąkę i udrękę;
Nikogo z bliska ni z daleka
Nie widzi, kto by podał rękę.
Naraz się biały śnieg dziewiczy
Poruszył. Któż pod zaspą siedzi?
Kudłaty wyjrzał łeb niedźwiedzi;
Tatiana a c h! a niedźwiedź ryczy
I łapę do niej pazurzystą
Wyciąga przez spienioną toń;
Zlęknionym krokiem, ale bystro,
Kładąc na łapie drżącą dłoń,
Przebyła kładkę nad otchłanią
I poszła — cóż to? Niedźwiedź za nią!

XIII

Nie śmie obejrzeć się... Nic z tego,
że kroku, ile tchu, podwaja;
Żadnym wybiegiem kosmatego
Nie może pozbyć się lokaja;
Wali się niedźwiedź, ciężko stęka;
Przed nimi las; zastygły sosny
W urodzie chmurnej i żałosnej;
Śnieg nawisł u każdego sęka;
Gwiazdy migają przez konary
Jesionów, nagich lip i brzóz;
Drogi nie widać; krzewy, jary
Zniknęły; zanim stężał mróz,
Zamieć wszyściutko tu zawiała,
Głęboko w śniegu zagrzebała.

XIV

Tatiana w las; a niedźwiedź za nią;
Aż po kolano śnieg się kruszy;
To ją gałęzie w szyję zranią,
To, nagle szarpiąc ją za uszy,
Zedrą kolczyki lane w złocie;
To z drobnej stopy spada w biegu
Trzewiczek mokry lgnąc do śniegu;

To gubi chustkę i w przelocie
Boi się podnieść; gnana lękiem,
Słyszy za sobą ciężki chód
I wstyd jej nawet ująć w rękę
Zawadzającej sukni spód;
Ucieka; on się za nią wali;
Już brak jej sił uciekać dalej.

XV

Na śnieg upadła; zwierz kudłaty
Podnosi Tanię i porywa;
Ona, wydana w jego łapy,
Bez czucia leży, jak nieżywa.
Niedźwiedź ją leśnym tropem niesie
W bezludną pustkę; aż tu naraz
Zewsząd zawiany śniegiem szałas
Nędzny, samotny, w głuchym lesie
Rażącym świeci się okienkiem;
Tam gwarnie, hucznie; gości tłum;
A niedźwiedź mówi: *Tu troszeńkę*
Możesz się ogrzać, tu mój kum;
I wprost do sieni wnosi Tanię,
I tam układa ją przy ścianie.

XVI

Oprzytomniała: niedźwiedź zniknął;
Ze szpar do sieni blask się sypie;
Za drzwiami goście to zakrzykną,
To w szkła zadzwonią jak na stypie.
Za grosz w tym wszystkim ładu, składu
Nie widać; spojrzy się przez szpary;
I cóż zobaczy tam?... Poczwary
Obsiadły stół i gadu, gadu;
Tu ktoś rogaty i z psią mordą,
Z nim łeb koguci za pan brat,
Tu wiedźma trzęsie koźlą brodą,
Tu na ogonie siedzi skrzat,
Tu się czupurny szkielet miota,
Tu pół żurawia a pół kota.

XVII

Tu nowe, tu groźniejsze dziwy:
Rak na pająku gna okrakiem,
Na gęsiej szyi czerep żywy
Wierci czerwonym swym kołpakiem,
Tańczący młyn w przysiudach goni,
I trzeszczy, i skrzydłami macha;
Ryk, śpiew i świst, hoho i haha,
I ludzki głos, i tupot koni!
A jak to Tanię zadziwiło,
Kiedy znajomą sobie twarz
Zatrważającą, a tak miłą,
Ujrzała: to bohater nasz,
Oniegin — tam za stołem siedzi,
Zamknięte drzwi spod oka śledzi.

XVIII

Dał znak, i wszyscy z miejsca skoczą;
Wypił, i wszyscy pijąc krzykną;
Zaśmiał się, wszyscy zachichoczą;
Nachmurzył brew, i wszyscy milkną.
On — panem domu. Jeszcze chwila,
A już Tatianie trochę raźniej,
Chciałaby dojrzeć go wyraźniej
I powolutku drzwi uchyla...
Od sieni dmuchnął powiew nagły,
Kagańce zgasił; trwożny pisk
Wydały zaskoczone diabły;
A w jego oczach — groźny błysk;
Miota nad stołem gromy; wstaje;
Idzie do drzwi, odpycha zgraję.

XIX

I wielki strach Tatianę chwyta;
Próbuje wymknąć się pospiesznie;
Niesposób; stoi jak przybita;
Szarpie się, chce zakrzyknąć: też nie.
Oniegin cofnął drzwi przed Tanią;
Od razu wszystkim w oczy wpadła,
Piekielne zbiegły się widziadła,

Śmiech dziki zagrzmiał; patrzą na nią
Ryje kosmate i koślawe,
Tuziny chwostów, wąsów, chrap,
Rogi, jęzory, zęby krwawe,
Racice, kły kościanych łap,
Bałuszą na nią oczu dwoje
I wszystko wrzeszczy: moje! moje!

XX

Moje! Oniegin odparł groźny,
Rozpędził nagle całą zgraję
I sam na sam w ciemności mroźnej
Młodziutkie dziewczę z nim zostaje.
On się łagodnie zwraca do niej,
Potem układa ją, troskliwy,
W kącie na ławie chybotliwej
I głowę na jej ramię kłoni.
Światełko błysło; Olga wchodzi,
Z nią Leński; słysząc obcy krok
Eugeniusz gniewnie ręką wodzi,
Błędny po izbie toczy wzrok,
Sarka na nieproszonych gości;
Tatiana ani drgnie w ciemności.

XXI

Kłócą się głośno; jedno mgnienie
I dopadł noża; spór się kończy;
Zachwiał się Leński; groźne cienie
Zbiegły się, krzyk rozdzierający
Wstrząsnął szałasem... I Tatiana
Budzi się drżąca przeraźliwie...
Patrzy: na zamarzniętej szybie
Jutrzenka mieni się różana
I światło dzienne bije z okna.
Naraz otworem stają drzwi:
To Olga, jak jaskółka lotna,
W żywszych rumieńcach młodej krwi
Niźli Aurora na Północy:
„A kto się tobie śnił tej nocy?"

XXII

Tatiana siostry nie spostrzega;
Leży i czyta coś po cichu;
Stronę po stronie w lot przebiega.
Co ją tam nęci? Piękno sztychu?
Mrzonki poetów? Mądre zdania?
Nic podobnego, moi mili,
Ale nikogo tak Wergili
Ani też Rasyn nie pochłania,
Ni Scott, ni Byron, ni Seneka,
Ni nawet żurnal damskich mód;
To był, to był... Marcin Zadeka,
Ten, co chaldejskich mędrców ród
Prześcignął, losów przyszłych badacz,
Wróżbita, ciemnych snów wykładacz.

XXIII

Kiedyś tę książkę epokową,
Zawieruszywszy się w powiecie,
Wędrowny księgarz wyjątkowo
Razem z *Malwiną* (nie w komplecie)
Odstąpił jej za trzy trzydzieści,
A iżby krzywda się nie działa,
Jeszcze Tatiana mu dodała
Zbiorek jarmarcznych opowieści,
Gramatykę i dwie Petriady,
I Marmontela trzeci tom.
Tatiana wie, gdzie szukać rady,
Odkąd Zadeka wszedł w ich dom;
On jej pociechą, dobrą wróżką,
Ona go chowa pod poduszką.

XXIV

Przedziwny sen Tatianę trwoży,
Nie może pojąć, co to znaczy;
Chyba Zadeka jéj wyłoży,
Jak to na rozum się tłumaczy.
Bierze skorowidz na początku,
Sprawdza: bór, burza, czarownica,
Jodła, most, niedźwiedź, sień, śnieżyca,

I tak do zet. Nie chwyta wątku.
Cóż? Nie wyjaśni jej Zadeka
Znaczenia tych okropnych scen,
Lecz pewnie moc ją smutków czeka
I o tym właśnie mówi sen.
Przez kilka dni, a jeszcze potem,
Z tym ciężkim nosi się kłopotem.

przełożył **Adam Ważyk**

GRZEGORZ LASOTA

O Nazimie Hikmecie

Jeżeli ty nie będziesz płonąć
Jeżeli ja nie będę płonąć,
Jeżeli my nie będziemy płonąć,
to któż rozświetli mrok?
(Nazim Hikmet)

I

W Salonikach były piękne domy bogatych. W takim domu w 1902 roku urodził się Nechmet Nazim.

W Salonikach były również obdrapane, cuchnące rudery robotników, biedaków, drobnych handlarzy. Chociaż Nechmet Nazim przyszedł na świat w domu gubernatora, nie pozostał wierny klasie, z której wyszedł. Zerwał z nią i stał się synem tych drugich Salonik, Salonik robotników i nędzarzy. Wieczorami Nechmet Nazim patrzył na miasto i widział jak na dłoni, że dzieli się ono na dwie części. Jedna — to bogaci druga — to biedni, od rana do nocy harujący, noszący towary, wypluwający w pracy chore płuca.

Rodzice posłali Nechmeta do szkoły morskiej, ale nie uczył się długo. Po dwóch latach został ze szkoły usunięty za działalność rewolucyjną.

Może tą działalnością były wiersze Nechmeta, które podpisywał pseudonimem Nazim Hikmet.

Usunięcie Hikmeta ze szkoły zbiegło się z klęską Turcji w II wojnie światowej, kraj znalazł się pod częściową okupacją angielską.

W całej Turcji narastał wielki ruch narodowo-wyzwoleńczy, którego ostrze skierowane było zarówno przeciw okupantom jak i sprawcom nędzy i nieszczęść wojennych, przeciw panującej bandzie feudalnych możnowładców. Młoda burżuazja turecka wykorzystała ogólne niezadowolenie zużytkowując dynamikę mas dla własnych, klasowych celów. Nacjonalistyczno - burżuazyjne ugrupowanie kemalistów. (ruch „młodo-turecki") chwyciło ster walki w swoje ręce.

Nastąpiła mocno zapóźniona rewolucja burżuazyjna, karczująca przeżytki feudalizmu. Mustafa-Kemal poczynił szereg śmiałych reform. Ale rewolucja ta została opanowana przez burżuazję, która wkrótce przeszła do faszystowskich metod rządzenia.

Na miejsce sułtana przyszedł prezydent. Na miejsce jednej klasy wyzyskującej przyszła druga klasa wyzyskująca. Na polach Anatolii i w zaułkach Salonik nędza pozostała ta sama. Nazim Hikmet szybko zdał sobie sprawę z charakteru tej rewolucji.

W 1920 roku ulicami Moskwy szedł młody człowiek o ciemnych oczach i ciemnych włosach, trzymając mały kuferek w ręku. To 19-letni Nazim Hikmet przybył do stolicy ZSRR.

Nauka w Komunistycznym Uniwersytecie Pracujących Bliskiego Wschodu

pozwoliła Hikmetowi zobaczyć świat w nowej, zupełnie innej perspektywie. Poeta otrzymał wspaniałą broń — broń marksistowskiej analizy zjawisk społecznych i historycznych. Nazim Hikmet urabia swój światopogląd. Moskwa, przemiany rewolucyjne i nauka z wielką siłą wpływają na świadomość młodziutkiego tureckiego poety. Już w pierwszych, młodzieńczych (nie raz słabych) wierszach Hikmeta pojawia się pewna cecha charakterystyczna dla całej jego późniejszej twórczości. Tą cechą jest nierozłączone traktowanie tego, co osobiste i tego, co społeczne. Tą cechą jest nierozłączne traktowanie tego, co społeczne. Tą cechą jest głęboko partyjny stosunek do życia i utożsamianie osiągnięć klasy robotniczej z własnymi osiągnięciami, klęsk klasy robotniczej z własnymi klęskami.

W wierszu napisanym bezpośrednio po zamordowaniu 15 komunistów tureckich w 1921 roku Hikmet mówi:

Piętnaście ran w mojej piersi,
Piętnaście noży,
Piętnaście śmierci,
Ale serce moje — silniejsze.

Jedność z walczącymi robotnikami i chłopami Turcji pozwala Hikmetowi na zachowanie głęboko optymistycznej postawy, postawy wyrażającej się wiarą w słuszność i zwycięstwo sprawy.

Nazim Hikmet pracuje, pisze, wchodzi w radzieckie środowisko literackie. Jego wiersze ukazują się w pismach „Sijanje", „Sierp i Młot". Pierwszym tłumaczem wierszy Hikmeta był utalentowany poeta Bagricki.

Wreszcie Nazim Hikmet poznaje i zaprzyjaźnia się z Włodzimierzem Majakowskim. Ta przyjaźń wzmacnia artystyczną i ideową postawę poety.

Wiersze Hikmeta przesyłane do Turcji drukowane są tam w postępowej prasie. Każdy wiersz Hikmeta agituje do walki, do rewolucji. Nazim Hikmet zostaje zaocznie skazany na więzienie przez rząd turecki. Nic dziwnego. Jakże nienawistne musiały być dla burżuacji słowa poety:

Jeżeli mnie zapytasz,
z jakiej jestem części świata,
gdzie żyłem i com widział —
odpowie ci na to
czarny chleb — mój obiad
i książka Marksa „Kapitał".

Przed wyjazdem wyraża swoją miłość do kraju budującego się socjalizmu w szeregu wierszy jak „Człowiek ze Wschodu w ZSRR" w pełnej optymizmu i wiary w zwycięstwo „Pieśni pijących słońce". W wierszu pt. „Pożegnanie" napisanym przed wyjazdem do Turcji Hikmet mówi:

Tak jak chłop kocha ziemię,
tak my kochamy ciebie
O Rosjo, Rosjo
zrodzona w dniach Października.

Wiersz swój kończy Hikmet wzruszającymi słowami człowieka wyjeżdżającego z kraju wolności do kraju niewoli:

Podaj nam rękę ZSRR!

Nazim Hikmet wie, że ZSRR to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel chłopów Anatolii i robotników Konstantynopola.

Natychmiast po powrocie do kraju Nazim Hikmet zostaje osadzony w więzieniu. Tu poznaje po raz pierwszy smak więziennego chleba. Tu pisze piękne i dumne słowa:

Komunista —
to znaczy człowiek, który
idzie razem z historią.

Słowom swym pozostaje wierny. Poeta twórczością swoją organizuje szeregi wszystkich postępowych ludzi Turcji.

Po wyjściu z więzienia wydaje pierwszy swój tomik pt. „835 linijek" a następnie poemat „Gioconda i S-ya-u" oraz tom wierszy pt. „1+1=1".

W roku 1931 Nazim Hikmet ponownie zostaje osadzony w więzieniu pod zarzutem wzywania do robotniczej rewolucji. W wyniku poważnej akcji protestacyjnej Hikmet zostaje zwolniony. Natychmiast po uwolnieniu pisze poemat pt. „Miasto które straciło głos" poświęcony strajkującym w tym czasie tramwajarzom.

W roku 1932 ukazuje się poemat Hikmeta pt. „Telegram otrzymany w nocy" piętnujący stosunki panujące w przemyśle filmowym. W tym samym mniej więcej czasie ukazuje się powieść „Dlaczego Benarsi się zabił" oraz dwie sztuki.

Wzrastająca popularność poety nie daje spokoju sferom rządzącym. W 1933 roku zainscenizowany zostaje wielki proces poety oskarżonego o szerzenie komunistycznej propagandy, zakończony skazaniem Hikmeta na śmierć. Hikmet pisze z więzienia do żony:

„Nie straszna jest śmierć, lecz straszne jest to, że nie można pieśni dośpiewać do końca".

Na skutek zabiegów obrony wyrok zostaje zmniejszony do lat 5-ciu. W parę miesięcy później amnestia powoduje zwolnienie poety z więzienia.

Nazim Hikmet powraca do wytężonej pracy. W roku 1935 wystawia w stambulskim teatrze sztukę pt. „Zapomniany człowiek" oraz wydaje zbiorek satyr pt. „Portrety".

Nazwisko poety znane jest już w całym kraju. Sława Hikmeta dawno przerwała krąg inteligencji i dotarła do chłopów i robotników Turcji. Bezkompromisowa postawa poety i aktywna rola jego wierszy w dziele kształtowania klasowej świadomości mas powoduje powtórne oskarżenie poety o uprawianie propagandy komunistycznej. Hikmet zostaje zakuty w kajdany i odstawiony do więzienia w Bursa. Znów proces i znów jeszcze jedno zwycięstwo postępowej opinii publicznej — tym razem już ostatnie.

W roku 1936 Nazim Hikmet wydaje poemat pt. „List do Taranta Babu", w którym potępia zbrodnie faszystów w Abisynii, poemat, w którym demaskuje rolę Watykanu w imperialistycznych podbojach Mussoliniego. W tym samym roku ukazują się dwie doniosłe prace publicystyczne Hikmeta; „Faszyzm i rasizm niemiecki" oraz „Demokracja radziecka".

W pierwszej pracy Hikmet wykazuje antyhumanistyczną istotę faszystowskiego ustroju stanowiącego najbardziej zwyrodniałą formę imperialistycznego kapitalizmu. W drugiej pracy Hikmet rozprawia się z wszelkimi wrogimi „uczonymi wywodami" na temat konstytucji radzieckiej, wskazując najbardziej postępowy charakter radzieckiego państwa, w którym konstytucja stalinowska gwarantuje wszystkim ludziom wolność oraz prawo do nauki i pracy.

Działalność poety niosącego prawdę najszerszym masom tureckiego społeczeństwa staje się dla ankarskiego rządu zupełnie nie do zniesienia. Kemaliści postanawiają zagłuszyć raz na zawsze głos poety. W roku 1938 pod pretekstem podburzenia wojska przeciw rządowi (umotywowanym faktem znalezienia w biblioteczkach uczniów Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej tomików Hikmeta) poeta zostaje skazany na 35 lat więzienia. Jednakże prawo obowią-

zujące w Turcji nie zezwala na dłuższą karę ponad lat 30... Wyrok zostaje zmniejszony do lat 28.

Zatrzasnęła się ciężka brama więzienia w Bursa.

Milknie głos poety.

Ale za kratami, w więzieniu Hikmet nie przestaje pisać. Dochodzą do niego wieści ze świata, przeżywa potworności Oświęcimia i pierwsze klęski na wschodnim froncie. Przeżywa bohaterstwo Zoji przeklinając swoją nieznośną bezczynność. W poemacie o Zoji Kosmodemiańskiej, bohaterskiej partyzantce radzieckiej pisze:

Tania,
Ja kocham swój kraj tak jak ty —
Ja Turek,
Ty Rosjanka — my komuniści...
Tania, Tania, wstyd mi, pozwól powiedzieć mi to tobie,
siedem lat już nie walczę, siedem lat jestem w niewoli i wciąż jeszcze żyję...

Za kratami więzienia Hikmet przeżywa wielkie zwycięstwa Stalingradu i Berlina. Ale drzwi celi nie zostają otwarte.

W 1948 roku udaje się poecie przesłać na wolność paczkę wierszy.

Wiersze te jak telegramy błyskawicznie rozchodzą się po całym świecie. Poeta może przemówić pełnym głosem. Wiersze jego tłumaczone są na rosyjski, francuski, polski, angielski, hiszpański. Hikmet staje się czołową postacią wśród bojowników o pokój. Schorowane serce poety bije gorąco za kratami więzienia. Hikmet towarzyszy wielkiej walce o pokój, o szczęście:

Jeżeli nawet, doktorze, tu jest pół mego serca
To drugie pół z Armią w Chinach
Podąża ku Żółtej Rzece
A zresztą, doktorze, co rano o świcie
Moje serce idzie w Grecji na rozstrzelanie...*)

Poeta wierzy w zwycięstwo pokoju, w zwycięstwo socjalizmu. Wie, że nieubłaganę prawi historii przyniesie zwycięstwo ludziom szczęśliwej przyszłości:

...Jakim fantastycznym szczęściem jest zrozumieć,
Zrozumieć, co odchodzi, i to, co nadchodzi.

Ta wiara pozwala przezwyciężyć Hikmetowi myśl o śmierci:

...jeśli
za kratą na śmierć zamęczą mnie kaci,
nawet wtedy nie umrę.
Będę żył wśród was,
Będę żył —
w pieśni Paula Robesona,
w dźwięcznych wierszach Aragona,
w białym gołębiu pokoju,
w waszych sztandarach czerwonych
w uśmiechu dokerów francuskich...*)

II

Wspaniałe, porywające oddaniem sprawie i wytrwałością życie poety, znalazło pełne odbicie w wysokiej ideowości jego utworów. Poezja Nazima Hikmeta stała się nowym, zupełnie wyjątkowym zjawiskiem na tle całej literatury Wschodu, zjawiskiem stanowiącym zupełnie nowy etap w rozwoju tej literatury.

W tureckiej literaturze w ciągu wielu wieków wyraźnie można było oddzielić dwa nurty poetyckie. Nurt dworskiej, salonowej poezji operującej częściowo słownictwem perskim i arabskim — oraz nurt poezji ludowej operującej słownictwem wyłącznie tureckim.

---

*) Przekład Ewy Fiszer.

*) Przekład Ewy Fiszer.

Poezję dworską charakteryzowała niesłychana zawiłość formalna, bogactwo pustej metaforyki i ornamentyki, formalne zabawy, bezideowość, wyrafinowanie, erotomania. Poezja dworska wymagała opanowania kunsztu formalnego, który często zezwalał na zupełne lekceważenie treści. Poezja dworska była zupełnie obca ludowi, niezrozumiała dla mas chociażby przez sam fakt, iż pisana była w klasowym żargonie klas panujących, że zanieczyszczona była masą obcych (perskich) wyrazów.

Poezja ludowa, posługująca się językiem tureckim, w tematyce swej bliższa życiu, posiadała odmienną, ludową formę. Poezję ludową charakteryzował rytm sylabiczno-przyciskowy, częste posługiwanie się aliteracjami i wewnętrznym rymem. Ulubioną formą ludowej poezji było powtarzanie po sobie dwóch zdań o tej samej treści wyrażonych tylko w różnej formie słownej *), jak np.:

Słońce tonie w morzu
Słońce zanurza się w morzu.

Dwa takie zdania stanowiły pewną dwuczłonową całość. Rolę rymu spełniało powtórzone słowo „morzu" (Ten typ rymowania jest zresztą częsty w poezji Wschodu).

Nazim Hikmet wniósł do poezji tureckiej rewolucję treściową i formalną. Jego nowatorstwo polegało na wprowadzeniu do tureckiej poezji zupełnie nowej problematyki i sięgnięciu w środkach wyrazu z jednej strony do nurtu ludowej twórczości — z drugiej do wspaniałej poezji Majakowskiego.

*) wg T. Kowalskiego „Ze studiów nad formą tureckiej poezji ludowej", Warszawa, 1921.

Nowatorstwo treściowe Hikmeta wyrażało się w rewolucyjnej tematyce mówiącej o walce ludzi pracy, o budownictwie ZSRR. Hikmet od pierwszej chwili był poetą politycznym, a podejmowana przez niego tematyka była wyraźnie politycznie zaangażowana po stronie socjalizmu. Hikmet stworzył po raz pierwszy w poezji tureckiej nową, wspaniałą socjalistyczną lirykę.

Wiersze Hikmeta nie miały nic wspólnego z idealistycznym i mistycznym bredzeniem dworskich poetów. Widzenie świata w poezji Hikmeta jest na wskroś realistyczne, opiera się na trwałym fundamencie filozofii materialistycznej.

Siła nasza
w ruchu historii,
której nie można zatrzymać

—mówi Hikmet w wierszu „Ściana imperializmu".

Wszystkie wiersze Hikmeta są przesycone wysoką ideowością, gorącym ukochaniem kraju, szczerym internacjonalizmem. Poeta żywo reaguje na wszystkie wydarzenia polityczne i utrwala ich wymowę w artystycznym, głębokim, uogólnionym (a zarazem bardzo indywidualnym) obrazie. Wśród wierszy Hikmeta znajdujemy utwory mówiące o Rewolucji Październikowej („Rok 1917"), wiersze mówiące o budownictwie socjalistycznym (cykl wierszy o ZSRR), wiersze mówiące o walce ludu chińskiego („Gioconda i S-ya-u"), wiersze mówiące o walce w Abisynii („List do Taranta Babu"), wiersze mówiące o politycznej i kulturalnej sytuacji w Turcji („Telegram, który nadszedł w nocy", „Miasto, które straciło głos"), wiersze mówiące o wielkiej wojnie światowej i roli ZSRR w tej wojnie („Zoja"), wiersze mówiące o walce o pokój („Angina pectoris",

„Na piąty dzień głodówki") i wiele, wiele innych.

Przy tak głębokiej analizie politycznej, którą widzimy w szeregu wierszy poety, uderza wspaniały liryzm wierszy Nazima Hikmeta. Wydaje się zresztą, iż profil poety należy określić jako liryczny.

Oto wiersz Nazima Hikmeta pt. „Nie zapalony papieros" napisany w 1930 roku, który wydaje się przykładem dobrze pojętej liryki politycznej:

Miał umrzeć tej nocy
trafiony kulą w serce.
Ale szedł bez strachu,
z uśmiechem
naprzeciw śmierci.
Zapytał mnie — Papierosa masz?
— Mam — powiedziałem—A zapałki?
— Nie ma,
Ty od kuli żartem przypalisz
z przyzwyczajenia.
Wziął papierosa, odszedł...
A teraz świtem, rano
być może na ziemi leży
z krwawiącą raną.
— Prawda gorzka i prosta —
W kąciku zastygłych ust
kontur nie zapalonego papierosa.

Głęboki talent liryczny Hikmeta wyraża się w innych utworach jak wiersze „O czapce i pilśniowym kapeluszu", „Złotooka dziewczynka, liliowe fiołki i głodni towarzysze", „Listy z więzienia".

W wierszu o „Złotookiej dziewczynce..." Hikmet opisuje pewien wiosenny dzień, kiedy pragnął kupić mały bukiecik liliowych fiołków dla swojej córeczki. Miał na to odłożone pieniądze. Ale kiedy poszedł go kupić okazało się, że strajkujący towarzysze głodują i trzeba pieniądze im oddać...

Prostota i bezpośredniość — oto następne cechy charakterystyczne twórczości Hikmeta. Ta bezpośredniość daje się zauważyć w większości wierszy. Liryczny bohater wierszy Hikmeta wzrusza szczerością i prawdą artystyczną.

Ideowość, pasja, szczerość, głęboki liryzm, trafność syntezy politycznej, operowanie indywidualnym przykładem — poparte jest jeszcze w wierszach Hikmeta trafnym, prostym ale plastycznym obrazem.

W oficjalnej historii literatury uznawano za poezję tylko twórczość dworską. Hikmet „wypowiedział nieubłaganą walkę starym, zastygłym kononom wschodniej poezji — postawił przed poezją nowe rewolucyjne zadania, złamał kanony wierszą wschodniego w imię wymogów życia i wielkiej rewolucyjnej treści" (ze wstępu do „Wiersży" Nazima Hikmeta w języku rosyjskim).

Wyraziło się to wprowadzeniem do poezji prostych potocznych wyrażeń, potocznych zwrotów. Wyraziło to się w karczunku ornamentyki, wyraziło to się w sięgnięciu do ludowej poezji, której forma znalazła znakomite zastosowanie w wierszach Hikmeta.

Z Majakowskiego Hikmet czerpie dość często i zawsze w udatny sposób. W pierwszym rzędzie widoczne jest to w tematyce, w pasji, w agitacyjnym charakterze jego wierszy. Nauka u Majakowskiego, jeżeli chodzi o przesycanie poezji ładunkiem politycznym jest bezsporna. Ciekawe jest również twórcze przetwarzanie dorobku Majakowskiego od strony formy, widoczne w wielu wierszach Hikmeta. Nazim Hikmet nie rezygnuje absolutnie ze swojego własnego indywidualnego wyrazu artystycznego, często jednakże w kształtowaniu własnych środków wyrazu sięga do warsztatu poetyckiego autora „Dobrze". Widać to w takich wierszach jak „1917 rok", „Pierre Lotti", „Śmierć

Lenina" i w wielu innych. W takim wierszu jak „Najdziwaczniejsze stworzenie" wyraźny jest wpływ ostrych, bezlitosnych satyr Majakowskiego.

Synteza twórczego przejęcia dorobku przeszłości z doświadczeniami pracy Majakowskiego — wyrażona w indywidualnym mistrzowskim wyrazie — przyniosła poezji tureckiej jednego z największych poetów świata pierwszej połowy XX wieku.

*

* *

Wiersze Hikmeta w Polsce spopularyzowane zostały dzięki wytrwałej pracy Ewy Fiszer, która przełożyła przeszło 30 utworów tego wielkiego poety i bojownika o pokój.

Niedawno ukazał się zbiorek wierszy Hikmeta w języku polskim z przedmową i w przekładzie Ewy Fiszer.

Jednakże tłumaczka korzystając z francuskich tłumaczeń Hikmeta, zmuszona była do swoistego wyboru wierszy oraz do swoistej ich interpretacji formalnej. Mianowicie tłumacze francuscy pozwolili sobie na manierę przystosowywania Hikmeta do stylu współczesnej poezji francuskiej. Widoczne to jest zarówno w wyraźnej awersji do używania rymów, jak i w lekceważeniu rytmiki, aliteracji i charakterystycznej budowy wierszy Hikmeta. Należy sądzić (na podstawie porównania poszczególnych tekstów), iż radzieckie tłumaczenia są o wiele bliższe tureckiego oryginału. Trzeba stwierdzić również, iż w pewnych przekładach Hikmeta na język rosyjski spotykamy się z drugą również niebezpieczną skrajnością, jaką jest „zaokrąglanie" wierszy Hikmeta w imię zachowania pełnej frazy, pełnego rymu itp.

Wiersze Hikmeta w tłumaczeniu Ewy Fiszer są bardzo piękne. Sądzić należy, iż następny wybór wierszy Hikmeta pokaże go bardziej wielostronnie, w bardziej wyraźnym oświetleniu. Wybór opracowany przez Ewę Fiszer, jak powiedzieliśmy wyżej, uzależniony był od tekstów francuskich. W następnym wyborze utalentowana tłumaczka z pewnością weźmie pod uwagę w większym stopniu narodowy i indywidualny styl poety — posiadając możliwość wykorzystania radzieckiego wyboru wierszy Hikmeta, bardziej wielostronnego, obejmującego poematy i wiersze liryczne z okresu 30 lat. Wydaje się w każdym razie, iż w następnych przekładach nie wolno rezygnować z oddawania rymów oraz w miarę możności z oddawania charakterystycznych aliteracji.

Dla przykładu zacytujmy tekst pierwszej strofki słynnego wiersza Hikmeta o Robesonie w oryginale:

Bize türkulerimizi söyletmiyorlar
Robeson
Kartal kanath kanaryam
Inci disli kardesim.
Türkulerimizi soyletmiyorlar bize.
Korkuyorlar Robeson.
Safaktan korkuyorlar,
Görmek*ten*, duymak*tan*,
dokunmak*tan* korkuyor*lar*
Yagmurda cirileiplak
yikamr gibi aglamak*tan*
Sumsi*ki* bir ayva*yi* disler
gibi gülmekten korkuyor*lar*.
Sevmek*ten* korkuyorlar,
bizim Farhad gibi seymek*ten*
— Sizin de bir Ferhadimz
vardir elbette Robeson,
adi ne?... —

Rymy, asonanse i spoistą aliterację specjalnie uwidoczniliśmy w tekście.

Jak widać wyraźnie Hikmet posługuje się rymem, jednakże rzecz charakterystyczna — w momencie, w którym wtrąca zdanie na marginesie (zdanie

pytające) rozbija strofę i rezygnuje z rymu. Poniżej dosłowny przekład tej strofki uzyskany od ob. dr. Bielawskiego:

Nie pozwalają nam śpiewać
naszych pieśni, Robesonie,
kanarku o orlich skrzydłach,
bracie o perłowych zębach,
Śpiewać nam nie pozwalają naszych
pieśni.

Boją się, Robesonie,
Jutrzenki boją się,
Widzieć, słyszeć,
dotykać boją się,
Od płaczu jakby wymyci,
nadzy w deszczu.
Kochać boją się,
tak jak nasz Farhad kochał
— Wy też macie
swego Farhada, Robeson,
Jakie jego imię?

Tę samą zwrotkę na zakończenie zacytujmy w poetyckim przekładzie Ewy Fiszer. Samo porównanie dosłownego przekładu oraz oznaczonych właściwości oryginału — w zestawieniu z ładnym, ale nie oddającym oryginału przekładem Ewy Fiszer — wystarczy:

Nie pozwalają nam śpiewać naszych
pieśni,
Robesonie,
Orle śpiewu, Czarny Bracie,
Nie chcą, abyśmy śpiewali nasze
pieśni.

Boją się, Robesonie,
Boją się widzieć, boją świtu,
Boją się słyszeć i dotykać,
Boją — kochać,
Tak jak nasz Farhad kochał.
(I wy, Robesonie, macie pewnie swego Farhada,
Jak mu na imię?)"

III

...Sala Domu Słowa Polskiego w Warszawie przepełniona była delegatami z całego świata. Wielkie, białe posągi podpierały szklany sufit olbrzymiej sali. Wzdłuż stołów siedzieli ze słuchawkami na uszach delegaci milionów ludzi miłujących pokój.

Przewodniczący w huraganie oklasków odczytywał nazwiska ludzi zaproszonych do prezydium. Powoli zapełniały się miejsca za szerokim stołem. Delegaci rozpoznawali znajomą sylwetkę Erenburga z fajką, błyszczącą łysinę Picassa, charakterystyczny profil Nerudy.

Ale wiele miejsc pozostało pustych, jedno z nich przeznaczone było dla Nazima Hikmeta.

W prezydium II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju Nazim Hikmet nie mógł zająć miejsca.

W parę dni później Piotr Nenni odczytał listę nazwisk laureatów Międzynarodowej Nagrody Pokoju. Na drugim miejscu znalazło się nazwisko Nazima Hikmeta.

Ale nikt nie odebrał nagrody. Nazim Hikmet nie mógł przybyć do Warszawy. Wypuszczony z więzienia w wyniku wielkiej międzynarodowej akcji, nadal pozostał w państwie, które całe jest wielkim obozem koncentracyjnym.

Chociaż Nazim Hikmet nie był na kongresie, wszyscy wiedzieli, że jego myśl była na sali. Bo przecież wolnej myśli wielkiego poety nie są w stanie zagłuszyć bramy więzień i huk salw— bo myśl ta, tak jak siła wolnego człowieka utrwalona w wierszach — jest nieujarzmiona.

Grzegorz Lasota

JESZCZE RAZ NAD ENGELSEM

Na wstępie swego artykułu „Czyżby nad Engelsem" (nr 1 „Twórczości") Wirpsza informuje, że utwór mój składa się z ośmiu pieśni i informacja ta jest prawdziwa, natomiast w całym artykule mówi ciągle o poemacie napisanym przeze mnie, co już nie jest zgodne z prawdą, bowiem żadnego poematu nie napisałem. Napisałem właśnie osiem wierszy, dodam: luźnych wierszy nie związanych w żadną kompozycyjną całość, które w odróżnieniu od poematu nie mogą mieć i nie mają ani wspólnej akcji, ani wspólnego bohatera. Pieśni te mają jedynie wspólny temat, nic więcej. Poeci wiedzą, że inne zasady obowiązują przy pisaniu poematu, inne przy pisaniu kilku wierszy związanych ze sobą tematycznie i spór toczyć się może jedynie na temat ideologicznej prawidłowości moich wierszy. Skoro jednak Wirpsza pisze w pewnym miejscu, że poemat się załamuje, to mówić można o wyraźnym nieporozumieniu: nie może się załamać to, czego nie napisałem.

Artykuł Wirpszy zawiera szereg bardzo cennych i słusznych miejsc, mianowicie tam, gdzie cytuje Engelsa; pragnę jednakże wyjaśnić, że nie pisałem ani komentarza do pracy Engelsa, ani rozwinięcia tej pracy. Nie usiłowałem również rewidować Engelsa: praca Engelsa, podobnie jak inne dzieła twórców naukowego marksizmu są dla mnie źródłem inspiracji, zaryzykowałbym słowo: natchnienia, co oczywiście nie znaczy, że wszystko co napisałem, sięgając do tego źródła inspiracji, jest słuszne i dobre. Ale o tym jeszcze będzie mowa.

Wirpsza zarzuca mi poważne nieścisłości historyczne. I tak ruch „biednego Konrada" — to rok 1514, Luter zaś wystąpił w 1517 roku, z czego wynika, że ideologiczne starcie między poglądami Lutra a ideologią biednych mas chłopskich zaczęło się dokładnie w 1517 roku, że na trzy lata przed wystąpieniem Lutra nie było ani źródeł, ani sił, które rodziły zarówno jeden jak i drugi ruch społeczny i że rok 1517 jest rokiem narodzin ruchu, któremu przewodził Luter. Jest rzeczą jasną, że tak właśnie n i e było, i Engels właśnie jako marksista nigdy tego nie wskazywał, bo jako dialektyk nie musiał wskazywać, w którym roku albo w granicach którego z trzech „spornych" lat narodziła się ideologia Lutra i ideologia mas chłopskich. Engels wskazał jedynie datę wygłoszenia przez Lutra jego tez i należy przypuszczać — i tu będziemy w zgodzie z marksizmem — że tezy te, stanowiące zasady pewnego ruchu, były wynikiem historycznego procesu, że narastały do momentu, gdy je sprecyzowano, ale rok 1517 nie był rokiem narodzin tej ideologii. Rok 1517 mógł ten proces przyspieszyć.

To samo dotyczy zarzutu w sprawie wystąpienia Münzera. „Moi" chłopi mówią w 1514 roku językiem Münzera, który wystąpił w 1521 roku, o czym wiem równie dobrze jak Wirpsza, bo czytałem Engelsa, ale czy wychwycenie tego jako wypaczenia świadczy o tym, że ideologia Münzera narodziła się właśnie w 1521 roku? Oczywiście nie. Znaczy to jednakże, że tendencje i idee, którym Münzer dał wyraz, żyły w masach chłopskich już

przed 1521 rokiem, nie mógłbym natomiast odpowiedzieć, czy już w 1514 roku były one tak dojrzałe i tak sprecyzowane jak w siedem lat później. Najpewniej nie. Trzeba jednakże zrozumieć i to, że Münzer pozostał w historii, ponieważ całej sumie historycznego doświadczenia mas chłopskich w Niemczech, datującego się nie od 1521 roku, ani nawet nie od 1514 roku, potrafił dać wyraz i wystąpić jako rzecznik tych mas. Ich świadomość nie ukształtowała się w 1521 roku.

Oczywiście nie jestem w zgodzie z datami widniejącymi w pracy historycznej, natomiast jestem w zgodzie z określonym okresem dziejowym, jestem w zgodzie z tendencją rewolucyjną tego okresu i nie bez znaczenia jest fakt, że 16-letni Münzer nie dostrzegał w 1514 roku tego, co spostrzegał w siedem lat później. W życiu poszczególnego człowieka 7 lat to wiele (lub nie), w życiu społeczeństwa nierzadko bardzo niewiele, ale ani w jednym, ani w drugim wypadku tych lat wykreślać nie wolno. Marksizm mówi bardzo dużo o krystalizowaniu się procesów społecznych, mówi również o latach przełomowych, ustala daty tych przełomów, lecz dat tych nigdy nie odcina od przeszłości przez stawianie granic na kształt płotków, które odgradzają przeszłość od teraźniejszości.

Według Engelsa chłopi poszli do Szwajcarii, ja ich posłałem do Niderlandów. Jest to niezgodne z historią? Zgoda. Ale jest zgodne z tendencją rozbitków, którzy uciekali przed toporem i stosem? Tak. Nie pisałem pracy historycznej, ale pozostałem w zgodzie z twierdzeniem Engelsa: chłopi opuszczali Niemcy. Dlaczego posyłam ich do Niderlandów? Na str. 160 Wirpsza zdaje się domyślać, o co mi chodzi, bo w tym miejscu otwierają się poetyckie, przeze mnie nierozwinięte możliwości ukazania dalszych dziejów pewnej części tych chłopów.

Engels pisze wyraźnie o procesie w Stockach, a Wirpsza ma pretensję, że nie napisałem komentarza do tego procesu. Bo też mnie nie o t e n proces chodziło: napisałem o sądzie nad tymi, którzy pragnęli ziemi i których możni tego świata skazują za to na stos. Czy nie jestem w zgodzie z historią? Czy zafałszowałem dzieje? I czy naprawdę nie wiadomo kogo sądzą oprawcy, tęgie mieszczuchy, klerycy i pobożna mieszczka? Jeżeli Wirpsza nie odczuwa ironii pewnych pieśni, to albo nieudolnie to napisałem, albo strona czytająca po prostu nie rozumie.

W pewnym miejscu Wirpsza przyznaje się do tego, że nie rozumie, o co mi chodzi i jestem mu (może) skłonny przyznać rację, rozumie jednak, jak wypaczyć istotę treści pewnych pieśni, co znalazło swój najjaskrawszy wyraz w ocenie „Pieśni o zbrojeniach". Oczywiście chodziło mi również o rusznikarzy, sprawa stanu uzbrojenia zarówno w przeszłości jak i w teraźniejszości nie jest bez znaczenia, ale chodziło również i o to, co dalej jest w tej pieśni:

Lecz t m już kują zbroje trwalsze
dla mnichów, klechów i żołnierzy,
o broń tę Kościół moc swą wsparłszy
do naszych serc i uczuć mierzy,
a kiedy zwątpisz, kiedy legniesz,
dzwon Sądu dzwoni i podzwania...
Niewolę kują w noc i we dnie
ich myśli, słowa, modły, zdania.
I na nic ogień, na nic kule,
wężyskiem nam się wkradnie w serca
zwątpienie w siebie, wiara w króla,
brat bratu stanie jak oszczerca,
a kiedy przyjdą ogniomistrze,
miast serc odnajdą sakwy puste,
gdzie Luter szalał i wśród zniszczeń
nie gniew, lecz podłość spała tłusta...

Myślę, że przytoczone strofy, rozmyślnie opuszczone przez Wirpszę, powinny być jasne w okresie, kiedy tyle się mówi o uzbrojeniu ideologicznym, bowiem ten element jest najważniejszy w mojej pieśni „O zbrojeniach". Hołduję metodzie (może niesłusznej), która wynik pewnego rozwiniętego toku rozumowania umieszcza w końcowych zwrotkach utworu; tego się uczyłem na poezji polskiej i proszę, aby Wirpsza, jeżeli chce i ma ochotę czytać któryś z moich wierszy, czytał go do końca. Nawet cytować jest też czasami lepiej od końca, może bowiem wreszcie w ostatniej linijce wiersza znajdzie się wyjaśnienie tego, o czym poeta pisał.

A teraz z kolei ja czegoś nie rozumiem: dlaczego „gniewne cheruby" to typowy młodopolski żargon poetycki, dlaczego cień kata, stojącego przed płonącym stosem „przyrównany do zgłodniałego wilczura należy zaliczyć do kategorii obrazowania ekspresjonistycznego" i dlaczego porównanie to jest niedobre, dlaczego strofa:

A Ten, co już skonał na krzyżu,
dłoń jedną oderwał od drzewa
i w niebo uderzył ze spiżu,
i spadła wieczorna ulewa...

to secesyjny obrazek. Wyjaśnienie tego bardzo mnie interesuje.

Czy to wszystko, co powiedziałem, oznacza, że moje wiersze na temat wojen chłopskich nie są pozbawione błędów? Oczywiście nie. Wiersze te — przyczynia się do tego zwłaszcza brak właściwych proporcji między pewnymi wątkami tematycznymi — posiadają poważne braki, i wytknęła mi je bardzo rozumnie Maria Janion. Błędem z mojej strony jest również to, że temu przekonaniu nie dałem wyrazu w publicznej wypowiedzi, ograniczając się jedynie do zaakcentowania wobec kolegów słuszności zarzutów postawionych przez Marię Janion.

Poważnym, kardynalnym brakiem książki jest brak wierszy o postaci Münzera, co nie znaczy, że moim uczuciom, sercu i umysłowi bliższy jest lumpenproletariat aniżeli postać rewolucjonisty.

Krytyk-marksista przy ocenie wierszy o tematyce historycznej powinien (moim zdaniem) odpowiedzieć na pytanie: dlaczego pisarz żyjący w konkretnie określonym historycznym czasie (pisałem wiersze o wojnach chłopskich w 1946 roku) sięga po temat historyczny, dlaczego sięga po ten, a nie inny temat z określonego momentu historycznego, do czego mu to służy, wreszcie, czy rozwinięcie tematu historycznego wyjaśnia, czy też pomaga wyjaśnić określoną sytuację historyczną, w której autor żyje. Nie wstydzę się przyznać do tego, że się ciągle uczę i chętnie posłuchałbym uwag, które by mi pomogły w posuwaniu się naprzód.

Stanisław Wygodzki

W ŚRÓD KSIĄŻEK

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI: *Ślubne obrączki.* Czytelnik, Warszawa, 1949; str. 102.

Gałczyński w swojej twórczości powojennej szeregiem wierszy opowiedział się po stronie nowej, ludowej rzeczywistości. Większość wierszy zawartych w zbiorze „Ślubne obrączki" pisanych w latach 1945 — 48 wiąże się z rozwojem życia w demokracji ludowej i z ówczesną fazą walki o pokój. Nad wierszami tymi ciążą jednak naleciałości poetyki burżuazyjnej, w niektórych wypadkach nawet niebezpieczne dla dalszego rozwoju poety.

Najważniejszym z przejętych reliktów dawnej twórczości jest komponowanie wiersza w sposób, który najogólniej biorąc polega na epatowaniu czytelnika.

Gałczyński szuka takiej tematyki, takiego ujęcia lub takiego obrazu, który byłby formalnie nowy, niestosowany dotąd i w konsekwencji dziwaczny, czasem karykaturalny i tym sposobem zaskakuje czytelnika, pokazuje mu coś rzekomo odmiennego i interesuje tą dziwacznością. Utworom tego typu trudniej w konsekwencji liczyć na zdobycie odbiorcy masowego, ich czytelnikiem będzie w pierwszym rzędzie zblazowany inteligent burżuazyjny.

Posłużmy się od razu przykładem. Osiedle Mariensztackie, jeden z najpiękniejszych obiektów architektonicznych nowej Warszawy przedstawia Gałczyński tak:

To jakaś mania, daję słowo
(czyżbym istotnie z byka spadł?),
bo każdą nocą księżycową
muszę odwiedzić Mariensztat.
Żadna mnie siła nie powstrzyma,
niechby sam premier! No to co?
I jeszcze chwila — już mnie nie ma.
Jak ptaszek lecę. Oiseau.

Na swoiste piękno Mariensztatu odpowiada Gałczyński lunatyzmem. Reakcja poety na zmiany otaczającej go rzeczywistości jest tu pojęta niesłusznie. Gałczyński odbiega w wierszu w krainę groteski, kierującej uwagę czytelnika poza istotę zagadnienia, które autor zamierzał przedstawić. Dziwaczenie w ramach samego obrazu poetyckiego wygląda w tym samym wierszu tak:

A o dwa kroki, tam gdzie zwisła
Gwiezdną gałęzią noc sierpniowa,
majestatycznie jedzie Wisła,
ta polskich rzek dyrektorowa.

Piękno płynącej Wisły podane w wyobrażeniu jakiegoś dygnitarskiego pojazdu może działać tylko na mieszczańskiego czytelnika i jego tylko zaskakiwać może swą wymyślnością. Słowo dyrektor przestało już mieć dla nas „majestat".

Znany z poezji lat międzywojennych nurt egzotyki, wyrażający wówczas pragnienie ucieczki od rzeczywistości społecznej własnego środowiska, da się także dostrzec i w tym zbiorze i, jakkolwiek wyrażony jest zgoła odmiennie, pełni podobną funkcję. Przypomnijmy tytuł: „Na śmierć Esteriny, deportowanej przez hitlerowców Wenecjanki" lub fragment utworu (tłumaczonego z Aragona) pt. „Proza na dzień św. Katarzyny":

...dopóki będziemy smażyć naleśniki w karnawale, dopóki maleństwa siadać będą do fortepianów, żeby odnaleźć melodię au clair de la lune...

...świat będzie nucił piosenkę francuską...

Rolę zaskakiwania egzotyką spełniają również stosowane przez poetę wtręty różnojęzyczne.

Najwięcej dziwaczności znalazło się w tematyce poszczególnych wierszy. Wiersz „Romancero" sprawia wrażenie jakiegoś surrealistycznego utworu o swobodnym toku kojarzeń bez logicznej kontroli. W trakcie utworu autor wyjaśnia jakieś zagadnienia swojego stosunku do nowej rzeczywistości w ogólnikowych metaforach. Np.:

W cyrku-m też występował,
w jednym powiecie
Lwu głowę wkładałem do pyska.
I również jako poeta-komik.
I co powiecie,
dwie noce w ogonku po bilety stali
ludziska.
A w waszych wierszach rzadkie jest
poezji lato,
a szczególniej, gdy w nosie muchy.
Ja myślę, moi mili, że poezja jest
na to,
żeby ludziom dodawać otuchy;
by mieli robotnicy, wśród których
ja chodzę,
drogę otwartą w pokój. I kwiaty
przy drodze.
A to? To koleżkowie. Oni tam są
wśród brzóz.
Jeden jest kolejarzem. Drugi, zdaje
się, ptakiem.

Obrazy te podane w tak chaotycznym kontekście są ogólnikowe i dlatego trudno zrozumiałe.

Współczesny czytelnik żąda logicznej, zwartej i sensownej kompozycji przy jednoznaczności i jasności metafory. Przypomnę jeszcze parę tytułów utworów tego typu: „Ostrzeżenie przed czekoladowymi zajączkami", „Koń", „Satyra na bożą krówkę", „Gdybym miał jedenaście kapeluszy."

Odwrotnością dziwaczności jest inny środek pełniący tę samą funkcję epatowania czytelnika — środkiem tym jest banalizowanie obrazu, banalizowanie w duchu drobnomieszczańskim:

Widziałem taki balkon, w kwietniu,
w słońcu,
w takim słońcu, że aż się oczy
mrużą.

lub

Koń to zwierzak.
Animal.
Rży i wierzga,
patrzy w dal.

Obrazy takie w kontekście wymyślności działają także zaskakująco, np.:

Pelargonie podlewa się wodą
zaś drżących — proszących — o —
jałmużnę pieniędzmi.

Najbliższe wymaganiom współczesnej krytyki są niektóre utwory satyryczne Gałczyńskiego. Poeta trafnie wybiera obiekt satyry, najczęściej obiektem tym jest środowisko drobnomieszczańskie i trafnie a zarazem dowcipnie wybiera cechy ośmieszające środowisko. Pozycja satyryka nie jest jednak dla czytelnika zupełnie jasna i musi on ją odczytywać z kontekstu innych wierszy. Sposobem zacierającym pozycję autora jest, dające się tu i ówdzie dostrzec, wprowadzenie egzotyki. „Powiastka o czterech wytrwałych reakcjonistach" jest utworem, który uderzając satyrą we wroga klasowego, ustawia go jednocześnie gdzieś w przestrzeni pozahistorycznej, mitologizuje go. O-

słabia to oczywiście ostrze satyryczne, czytelnik nie może skonfrontować utworu z rzeczywistością, zostaje w nim wrażenie obrazu wymyślonego, wziętego z fantazji.

Inną wadą utworów satyrycznych Gałczyńskiego jest fragmentaryczność wybranych i ośmieszonych cech środowiska. Wadę tę dostrzec można w utworze „Atanazy i Placyda", który jest w wielu momentach dowcipny, trafnie pokazujący niektóre cechy drobnomieszczańskiej psychiki. Autor nie wykracza jednak poza pokazanie śmieszności i głupoty środowiska, zapomina o jego roli społeczno-politycznej, czuje się w śmiechu autora trochę ciepła, Atanazy i Placyda to tylko głupcy — nic więcej.

Że środowisko to nie jest autorowi uczuciowo obce, zorientować się można także z kilku innych utworów, w których Gałczyński deklaruje uczucia pewnego związania się z kulturą i obyczajowością mieszczaństwa, uczucia wyrażone czasem w formie dobrotliwego karcenia. („Uwertura dorożkarska"). W tym miejscu poruszyć trzeba zagadnienie sentymentalizmu drobnomieszczańskiego, nurtu poetyckiego nieobcego i poezji polskiej lat międzywojennych. Ideologia tej poezji polegała na uznawaniu akcesoriów obyczajowości drobnomieszczańskiej za przedmioty o wyjątkowo wielkiej wartości emocjonalnej, przedmioty, których wartość społeczno-postępowa jest znikoma, ale otaczane są tkliwym uczuciem ze względu na swe związki z tym środowiskiem. Jakie to mogą być akcesoria? Przytulna kawiarenka z wydrapanym napisem (Słonimski), niedzielna partyjka szachów (Tuwim), mroczna uliczka, którą oświetla księżyc (Gałczyński), jakieś stare sklepiki, które przypominając Prusa, przypominają od razu klasową genealogię zjawiska. Funkcja społeczna tego sentymentalizmu w latach międzywojennych mogła być obosieczna, sentymentalizm mógł stanowić obronę wartości moralnych warstwy drobnomieszczańskiej przed monopolistyczną burżuazją (wczesne wiersze Słonimskiego) lub przed „widmem komunizmu". Zależało to od całokształtu postawy poety.

Akcenty tego sentymentalizmu spotkać można i w obecnym zbiorze Gałczyńskiego, wyraźnie w wierszach z Czechosłowacji, w utworach: „Pod wiaduktem na Solcu", „Budka z papierosami", „Trąbki świątecznej poczty", „Lubię..." A funkcja takiego sentymentalizmu u poety demokracji ludowej jest bezapelacyjnie wsteczna.

Pozostałości poetyki burżuazyjnej stanowią niebezpieczeństwo dla nowej poezji Gałczyńskiego, która tematycznie i w świadomym zamiarze autora chce być poezją nowej rzeczywistości. Gałczyński wyraża nowe treści starymi symbolami. Jakże charakterystyczny jest tu tytuł zbioru: „Ślubne obrączki". Wiersz ten umieszczony w zbiorze na samym początku mówi o kupionych w Moskwie obrączkach na miejsce starych, sprzedanych na życie w czasie okupacji. Ten właśnie wypadek uznał Gałczyński za godny poetyckiej rejestracji z moskiewskiej podróży. W kilku wierszach autor wybiera sobie za temat poetycki człowieka pracy, ale obraz jego ogranicza do minimum istotne wartości człowieka i jego twórczą działalność. Człowieka tego oddziela Gałczyński od społeczeństwa, wybiera te fragmenty obrazu, które różnią go, indywidualizują jego i jego pracę, a nie łączą go z proletariatem, nie pokazują go jako członka klasy robotniczej. (Wiersze: „Gotuje się obiad", „Dziewczyna z Centrali" i i.). W cha-

rakterystyczny również sposób włącza się Gałczyński swoją poezją we wspólny front walki o pokój. Wolę pokoju wyraża obrazami, które w znacznej mierze operują wyobrażeniami życia drobnomieszczańskiego, tzn. chętniej mówią o odpoczynku i godzinach rozrywek niż o codziennej pracy.

Dzięki tobie spokojnie na koźle
dorożkarz fajkę pali.
Dzięki tobie na kolanach babki
mruczy malutki kotek.

Gałczyński poświęca wiele utworów hasłom, wezwaniom ulepszenia czy zwiększenia produkcji, włączając tym swoją poezję w budownictwo socjalistyczne. Niestety jednak poeta często skłonny jest walczącego o dobrobyt proletariusza identyfikować z „szarym człowiekiem", za którym czytelnik niekoniecznie widzieć musi człowieka pracy. W jego hasłach odczuwa się często pragnienie wygody, mówiąc ogólniej poeta chętniej pisze o konsumpcji niż o produkcji.

Innym sposobem brania poetyckiego udziału w przemianach rzeczywistości, którego nie możemy akceptować, jest uchylanie się od precyzji w metaforze, zamazanie i ogólnikowość. Zacytuję tu taki fragment:

Rzucam kwiaty na tor,
którym przejeżdża rewolucja.

albo

Zetwuem? Fajni goście. Dąbczaki.
Dąbrowszczaki.
Każdy, wiecie, tak jasno spoziera,
jak pilot samolotu.

Zapewne, określenia te świadczą o pozytywnym stosunku uczuciowym, ale zagadnienie zamazują, gdyż pozbawiają je ostrza walki, stwarzają obrazy jakiejś ogólnej zgody i wesela. Gałczyński w ogóle chętnie wprowadza do swych utworów nastroje jakiejś świątecznej radości, jego wiersze „pozytywne" nie problematyzują walki o socjalizm, ale robią z tej walki misterium beztroskiej wesołości. (Tu znowu trzeba by zacytować cały wiersz „Pierwszy maja".) I takie wiersze nie mogą, rzecz jasna, być realistyczne.

W zakończeniu spróbujmy zastanowić się nad sposobami pokonania tych błędów. Jakaż jest rada na powierzchowność i ogólnikowość haseł, na wykręcanie się dziwaczeniem? Poeta powinien przemyśleć cele, o które walczy swoją poezją. Jeśli poezja jego ma być współtwórcą w budownictwie socjalizmu, musi stać się poezją walki, tzn. musi wyrażać sprzeczności współczesnej nam epoki i nie może ograniczać się do pozytywnego „świętowania". To samo dotyczy metafory. Niewiele znaczy tak nieprzemyślana przenośnia: „a na następnym przystanku już będzie wiosna". Od współczesnego poety żądamy metafory przemawiającej do czytelnika swym liryzmem, ale jednocześnie jasnością. Wtedy naprawdę czytelnik będzie miał w tej poezji sojusznika, wtedy uzna tę poezję za swoją.

Włodzimierz Maciąg

PAUL ELUARD: *Wybór wierszy*. Pod redakcją Adama Ważyka. Przedmowa Jana Kotta. Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 80.

Powiedziałem ci to dla obłoków
Powiedziałem ci dla morskiego
drzewa
Dla każdej fali dla ptaków
w liściach
Dla kamyków szmeru
Dla bliskich rąk.

Nie od razu w wierszu Eluarda zjawiły się ludzkie ręce, ręce z kości i krwi. Droga wiodła przez cienie, w któ-

rych zakochana „zatraca się jak kamień pochłonięty niebem", przez „niestrudzone kroki samotnika". Ale zawsze drogi był Eluardowi — człowiek. Humanistyczne spojrzenie pomogło poecie wyjść z obcego mu kręgu surrealistycznej nieodpowiedzialności i intelektualnego grymasu.

Od bolesnego rozpamiętywania „podróży cisz", od „spojrzenia, co nigdy nie pojmie przestrzeni", idzie Eluard, by powiedzieć swym ciężkim słowem wędrowca: „nie jestem sam". I od tej chwili — od chwili wyboru — w sposób coraz bardziej widoczny staje się poezja Eluarda częścią wielkiego nurtu narodowej poezji Francji. Od chwili wyboru staje się również kamieniem na szańcu walczącego ludu francuskiego. Wybór zaś był koniecznością. Wystarczyło postulować nieodpowiedzialność czy jakąś „trzecią siłę" abstrakcji i zaciemniania, żeby już wybrać — wybrać filozoficzny obłęd imperializmu i jego poetycki odpowiednik: bełkot bezsensu, język pozbawiony ludzkiej treści.

Inny był wybór Eluarda, który stanął w szeregach francuskiej Partii Komunistycznej. Eluard nie powrócił na ziemię francuskich „strasznych mieszczan"; ta była bowiem jedyną ziemią surrealizmu, który nie omieszkał przejść wkrótce do bardziej konkretnych obrazów, sławiąc faszystowskie aspiracje „złotej młodzieży" i nierobów z eleganckich bulwarów.

Eluard wszedł na wielką ziemię rewolucyjnej walki proletariatu. Jan Kott w przedmowie do „Wyboru wierszy" Paul Eluarda pisze: „Paul Eluard stał się patriotą, ponieważ został komunistą. Paul Eluard zdołał w wierszach swoich wyrazić gniew i nienawiść, miłość i nadzieję tysięcy ludzi prostych na całym świecie, ponieważ został komunistą. Paul Eluard przestał być samotny, ponieważ został komunistą."

Wiersze Eluarda stały się dokumentem walki. Poeta towarzyszy „klasie, która naciera", klasie, która „stała się narodem". I towarzyszy jej nie jako widz, ale jako aktywny uczestnik walki.

W „Zwycięstwie pod Guernica" Eluard przerzuca most do ludzkich spraw. Wiersze te krwawią z republiką hiszpańską, niosą się pod niebo dumną pieśnią stalinowskich pięciolatek, skupiają się wokół walki ludzkości z faszyzmem i zbrodnią. W okresie tym wiersz Eluarda umie już stanąć we wspólnym szeregu.

Parias śmierć ziemia i brzydota
Naszych wrogów mają monotonny
Kolor naszej nocy
Nasze będzie górą

Wiersz „Wczorajsi zwycięzcy zginą" (1938) kończy się:

Lecz naszych pragnień bieg mniej
rwący nocą
Bracia niż tej czerwonej gwiazdy
która na przekór wszystkiemu zdobywa ziemię

Zola pisał niegdyś o Dantem: „Czyż można wyobrazić sobie, że Dante stworzyłby „Boską Komedię", gdyby — nieczuły na życie społeczne — zamknął się w czterech ścianach i nie brał żywego udziału w walkach epoki."

Poezja nie może istnieć bez ludzkiej treści. Wiersze Eluarda weszły w nurt narodowej poezji wtedy, kiedy Eluard stał się poetą Francji walczącej, Francji maquisardów i Ruchu Oporu, Francji lasów Vercors i proletariackiego bohatera — pułkownika Fabien.

Oto wspomnienie o Gabrielu Peri:

Oto powstanie paryskie:

W pełni sierpnia na barykadach nasz
kraj
Paryż ośmielający się podnieść wzrok
Paryż ośmielający się krzyczeć
zwycięstwo
(„W pełni sierpnia")

Oto powitanie idących dni wolności wtedy, gdy „bezprawie uderzało wszędzie":

Bo ja słyszałem ich śmiech
We krwi ich broczącej w ich pięknie
W nędzy i na miejscu kaźni
Śmiali się śmiechem co przyjdzie
Śmiali się do życia i rodzili się
do śmiechu

Od walki nieodłączna jest czujność. Poezja Eluarda reaguje na wszystkie wydarzenia grożące człowiekowi faszyzmem i wojną.

Wiersz „Gwiazdka Oskarżeni w Norymberdze mają ferie" (1945) jakąż ma wymowę właśnie dzisiaj, kiedy hitlerowscy siepacze stają na czele atlantyckich dywizji!

Wraca poezja Eluarda do jęczącej pod jarzmem faszyzmu Hiszpanii („W Hiszpanii"), do Grecji w faszystowskiej niewoli („Grecjo moja różo dojrzała", „Jeśli się Grecja uwolni").

Wita Eluard świat nowy, świat wolny i piękny. Sławi Józefa Stalina, który

dla nas dzisiaj rozpędza niedolę.
Wiara w przyszłość to owoc czułej
myśli
— — — — — — — — — — — — —
Bo i życie i ludzie wybrali Stalina
Aby wcielał na ziemi nadzieję
bez granic

W tomie znajdujemy również wiersz „W Warszawie mieście fantastycznym" i „Wiersz na śmierć generała Świerczewskiego" poświęcony „pamięci bohaterów — francuskiego i polskiego — złączonych w walce i śmierci".

Braterstwo ludzkości w walce o pokój, braterstwo ludów uciemiężonych przez kapitalizm w walce o chleb i wolność, pozdrowienie dla wolnych krajów, w których „człowiek odnalazł swój oddech" — to zasadnicza treść poezji Eluarda.

...Będziemy żyli przeciwko śmierci
Bili się przeciwko wojnie
Walczyli o życie
(„Rachunek do wyrównania")

Mieszkam w dzielnicy La Chapelle
Dziennik mojej komórki nazywa się
„Przyjaciele ulicy do was mówią"
Nie sprzedaje się go lecz rozdaje
Kosztuje tylko chwilkę naszego czasu
Moje serce jest razem z przyjaciółmi
ulicy
Mówią do mnie dodają mi odwagi
Abym był jednym z ludzi ulicy
Pomnożonym przez przyjaźń przez
pragnienie
Abyśmy razem byli silni
(„Pamięci Pawła Vaillant Couturier")

Bliski jest dzień o siostry wielkości
Gdy śmieszne będzie słowo wojna
i słowo nędza
Nic nie pozostanie z tego co było cierpieniem
Każda twarz będzie uprawniona do
pieszczoty
(„Siostry nadziei")

Zakończenie wiersza „Cienie" jest zapewne jednym ze świadectw postawy Eluarda, dokumentem walki, którą postępowa poezja francuska stacza u boku swego ludu:

Towarzysze górnicy ja widzę i to
wam powiadam
Pieśń moja nie jest potrzebna jeśli nie
przy was jest słuszność
Jeżeli człowiek ma umrzeć nim jego
godzina wybije
Niechaj poeci umierają pierwsi

„Poezja powinna mieć na celu praktyczną prawdę" — ten tytuł jednego z wierszy Eluarda mówi bardzo wiele, jest programem.

Bo chciałbym wolność wam dać by was złączyć
Tak samo z algą i laską jutrzenki
Jak z mymi braćmi co budują światło

Wydanie starannie opracowanego „Wyboru wierszy" Eluarda pożądane było nie tylko dlatego, że wybitny poeta francuski powinien być przedstawiony polskiemu czytelnikowi. Było ono celowe również dlatego, że poezja Eluarda przekładana była u nas czasem nieudolnie lub niewłaściwie. Obok dobrych przekładów pojawiały się w pismach literackich tłumaczenia pozostawiające czasem bardzo wiele do życzenia albo wręcz niedołężne. Frazę poetycką Eluarda przekładano anemicznie, według słownika. Niektórzy tłumacze nie znając zasad wersyfikacji francuskiej, brali wiersz regularny za wiersz wolny.

Liryka Eluarda, związana bezpośrednio z obecną — tak odmienną od naszej — walką społeczną we Francji, wymaga od tłumaczy rzetelnej orientacji ogólnej. Poza tym poetyka Eluarda jest dość odległa od zasadniczego nurtu naszej poezji. Metafora Eluarda, bardzo silnie osadzona w języku francuskim, w dosłownym przekładzie stać się może niejednokrotnie mało zrozumiała dla polskiego czytelnika, sztuczna, oderwana. Tłumaczenie tych białych wierszy jest znacznie trudniejsze niż to się na pozór wydaje.

W tych warunkach tłumaczom trudno uchronić się czasem od zniekształcających dowolności. Niektóre z nich trafiły nawet do Antologii Współczesnej Poezji Francuskiej z roku 1947. Przypominam to na tym miejscu po to także, aby podkreślić, że w nowym „Wyborze wierszy" wiele przekładów uległo przeróbkom, które wyszły im na dobre. W porównaniu z pierwszym drukiem korzystnym zmianom uległy m. i. tłumaczenia wierszy: „Zwycięstwo pod Guernica", „Bez urazy", „Denise mówiła do cudów", „W imię".

Utwory Eluarda w nowym „Wyborze wierszy" pod redakcją Adama Ważyka ukazały się w przekładach: Zbigniewa Bieńkowskiego, Marii Castelatti, Ewy Fiszer, Julii Hartwig, Pawła Hertza, Mieczysława Jastruna, Jana Kotta, Adama Ważyka i Witolda Wirpszy.

Całość sprawia wrażenie rzetelnego wyboru solidnych przekładów.

Artur Międzyrzecki

ANTONI OLCHA: *Most nad urwiskiem.* Wydawnictwo Ludowe. Warszawa, 1949. T. 1 — str. 240, t. 2 — str. 220.

Kazimierz Wyka pisał półtrzecia roku temu: „Jest rzeczą bardzo niepokojącą, jeśli pisarze, którzy wychodzą wprost ze wsi i wieś biorą jako temat, tak ów temat ujmują, że nie może on jako lektura powrócić do swych źródeł. Że *książka o wsi* nie staje się *książką dla wsi.*" I stawiał prognostyk: „...Nie widać, by dzisiaj zanosiło się na szybkie rozwiązanie tego zadania".

Niewiele przybyło od tego czasu książek o tematyce wiejskiej. Można je policzyć na palcach jednej ręki: Gałaja „Rodzina Lebiodów", Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę", Olchy „Most nad urwiskiem" i Pogana „Na głodnym zagonie". Są to pozycje o szerszym adresie społecznym. W każdym razie odnosi się to do reportażu Zalewskiego i do powieści Olchy.

Te dwie książki różnią się rodzajem literackim i kręgiem doświadczenia społecznego, perspektywami spojrzenia; ale trzeba pamiętać, że dzieli je także czas powstania. „Most nad urwiskiem" opuszczał już prasę drukarską, kiedy Zalewski nie ukończył jeszcze pracy nad reportażami. Dlatego „Traktory" mogły stać się książką o spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, mogły dać niemal współczesny obraz wsi. A o czym pisze Olcha?

Akcję pierwszej swojej powieści umiejscowił Olcha w Henrykowie, jednej z podhalańskich wiosek, a więc w swoich rodzinnych stronach, z którymi łączy go wiele lat społecznej i literackiej działalności. Precyzyjne ustalenie chronologii przedstawianych wydarzeń nasuwa pozorne trudności. Informacja o minionych dwóch powojennych wiosnach i jesieniach kieruje uwagę na rok 1946 i 1947, jednak zestawienie „niedziela, 19 lipca", pojawiające się w drugim roku akcji, stawia nas w niezgodzie z kalendarzem. Jest to oczywiście mało ważny szczegół, po prostu autor nie przywiązuje wagi do ścisłości takich drobiazgów. Rzecz dzieje się po reformie rolnej, po ukończeniu masowej akcji przesiedleńczej a przed rzuceniem hasła spółdzielczości produkcyjnej. Olcha objął etap powojennych przemian wsi, w którym spółdzielczość sięga w dziedzinę zaopatrzenia i — w zapowiedzi — własności i użytkowania maszyn rolniczych; o spółdzielczym gospodarowaniu nie ma jeszcze mowy.

„Most nad urwiskiem" jest powieścią wielowątkową, o złożonej kompozycji i skomplikowanej problematyce. Poszczególne wątki mają swój kościec, zazębiają się ze sobą i podporządkowane są jednemu, wybijającemu się na pierwszy plan: są to losy Agnieszki Grębalówny. Nimi wprowadza autor w akcję i zamyka ją. Materiał literacki rozrasta się jednak pod piórem. W powieści obiektyw raz po raz kieruje się na zagadnienia walki klasowej na wsi, oddala się od jednostkowych losów i psychologicznych przeżyć i przybliża całą galerię postaci typowych, stanowiących przekrój układu sił społecznych, reprezentujących swoją mentalnością i sposobem postępowania najistotniejsze formy starć wyzyskiwaczy z biedotą wiejską.

Wieś podhalańska nie obfituje w kułaków; słabe uprzemysłowienie okolicy, niski poziom kultury rolnej przyczyniały się do postępującego rozdrobnienia gospodarstw. Wieś pozbywała się nadwyżki ludności przez sezonową i stałą emigrację i — w mniejszym stopniu — żywiołowy odpływ do miast. Barwny, w połowie literacki szkic socjologiczny tego zjawiska otrzymaliśmy od tegoż autora wcześniej. *)

Być może dlatego właśnie nie ma w powieści typowego bogacza wiejskiego. Jest za to Łukasz Radoń, średniak, który posługuje się sezonowo siłą najemną, ale którego ideałem i celem życiowym jest dobrze prosperujące, kapitalistyczne gospodarstwo rolne. Jest Ignacy Latarka, nieuczciwy młynarz i właściciel maszyn rolniczych wypożyczanych na prawie lichwy. Jest wreszcie sklepikarz, Tomasz Zadra, który staje się potem kierownikiem sklepu spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Te trzy postaci reprezentują obóz wstecznictwa w Henrykowie, pragnący za wszelką cenę utrzymać swoją władzę na wsi, opartą na przewadze ekonomicznej.

Przedstawiciele wstecznictwa henrykowskiego ukazani są zdecydowanymi,

---

* Antoni Olcha: *Nowa Naprawa*. Czytelnik, Warszawa, 1946.

śmiałymi pociągnięciami pióra. Nie ma niecelowych momentów charakterystyki. Każdy przejaw ich działalności jest logicznie zdeterminowany dążeniem do zysku i zachowania różnic społecznych umożliwiających wyzysk, spekulację i łowienie ryb w mętnej wodzie. Dzięki temu przy całej dokładności psychologicznej, zapewniającej prawdziwość rysunku, otrzymujemy postaci o wyraźnie określonym obliczu, nie budzące wątpliwości co do ich rzeczywistej wstecznej roli w życiu wsi, nawet, jeśli — jak Łukasz Radoń — są subiektywnie przekonani o swojej uczciwości i wartości.

Logiczna, pośrednia charakterystyka musi oczywiście łączyć się z logicznie zbudowaną akcją, z prawdziwie pokazaną dynamiką rozwoju bohaterów, która — jeśli bohaterowie są typowi— jest zarazem dynamiką rozwoju ogólnospołecznych wydarzeń. Tak jest w powieści Olchy. Zmieniają się formy wyzysku, zmieniają się wraz z sytuacją metody działania wyzyskiwaczy i spekulantów. Istnieje np. początkowo ukryta rywalizacja i zawiść między Zadrą a Latarką. Do czasu. Zwycięstwo w wyborach bloku demokratycznego skłania Zadrę do wstąpienia w szeregi Partii, Latarkę — do zrezygnowania z legitymacji PSL-u i zachowania drugiej, posiadanej na wszelki wypadek— SL-u. W postępowych działaczach i w biedocie wiejskiej widzą oni swoich wspólnych wrogów. Dlatego, kiedy ograbiona przez faszystowsko-rabunkową bandę spółdzielnia pozostaje bez kapitałów — nawiązuje się porozumienie między młynarzem, sklepikarzem i zasobniejszymi gospodarzami dla finansowej odbudowy spółdzielni i użytkowania jej przez posiadaczy kapitału — nieproszonych udziałowców. Dlatego, kiedy Cisoń, prezes SL-u, zostanie zamordowany przez bandytów — Zadra chętnie powita na opróżnionym miejscu Latarkę. Wreszcie, kiedy na skutek oszczerstwa Latarki zostaje aresztowany Wałęga, miejscowy nauczyciel i działacz PPR, Zadra, z rezerwą i ostrożnością, ale z ukrytym zadowoleniem przystąpi do zmiany planu zbudowania na miejscu byłego dworu przetwórni owocowej, bo przecież o wiele większe dochody przyniesie spółdzielni i jej nieuczciwemu kierownikowi gorzelnia. Tak wspólne interesy doprowadzają do sojuszu. Tak w miejsce konkurencji powstaje porozumienie, które ma zapewnić przewagę uprzywilejowanej garstki nad wsią.

W obrazie ginącego świata pokazał Olcha dużą dojrzałość pisarską. Natomiast poważnym niedostatkiem książki jest nieumiejętne przedstawienie obozu walki o nową wieś. Barcwik, Blichta, Kędzierzak, Marfiak przez cały niemal czas trwania akcji pozostają biernymi obserwatorami, którzy solidaryzują się z postępem tylko deklaratywnie, czekając aż rozwój wypadków przyniesie im sprawiedliwość społeczną. Być może, że świadomość klasowa biedoty wiejskiej nie wszędzie była w tym czasie dostatecznie rozbudzona; nie była prawie na pewno, skoro władza kułaków i spekulantów w spółdzielniach była objawem dość powszechnym. Autorowi nie wolno było jednak rezygnować z możliwości przedstawienia rosnącego rozumienia sensu i istoty walki klasowej, rosnącej aktywizacji biedoty. Tymczasem Barcwika, Plichtę czy innych widzimy od przypadku do przypadku; narastaniu przewagi reakcji nie odpowiada narastanie zaostrzającej się walki klasowej ze strony biedoty.

Nie znaczy to, aby nie było go w powieści wcale. Barcwik zaczyna wkońcu

rozumieć swoją zależność od Radonia, ale nie dzieje się to w logicznym, celowym powiązaniu z przebiegiem wypadków. Rosnącą aktywność Barcwika sygnalizuje nam autor poprzez relację jego skarg i próśb o pomoc sąsiedzką w celu uwolnienia się od zależności. Przedstawiciele obozu postępu są najsłabiej pogłębieni psychologicznie, ich droga rozwojowa pokazana jest nieprzekonywająco. Nawet w czasie wizyty robotników, którzy przyjechali pomóc przy pracach gospodarskich, nawiązuje się rozmowa na tematy polityczne i społeczne, będąca w zasadzie dialogiem między Sarnkiem i Łukaszem Radoniem. Barcwik, który zerwał przecież z Radoniem już wcześniej, ogranicza się do solidarnego słuchania murarza i do zachęcania go, by mówił dalej.

Można by oczekiwać od wyzyskiwanego do niedawna chłopa, aby zajął czynną postawę w dyskusji, która toczy się pod koniec drugiego tomu powieści.

Możliwie, że Olcha pragnął nadrobić popełniony błąd. Prawdopodobnie w tym celu doprowadził do bezpośredniej utarczki słownej aktywu dwóch wrogich obozów, które wystąpiły przeciw sobie na oczach całej wsi.

Przysłowiowym ostatnim ziarenkiem dorzuconym do ładunku wielbłąda stał się fakt poczęstowania Plichty przez Zadrę pudełkiem amerykańskich papierosów. Fakt ten otworzył oczy Plichcie na jego zależność od spekulantów i doprowadził go do wniosku, że „już się ulęgli nowi pankowie".

„Odkrycie" Plichty jest dla czytelnika wyważeniem drzwi otwartych, dokonuje się zbyt późno jak na czołowego działacza partyjnego i dlatego symboliczny obraz znęcania się nad tytoniem nabiera cech groteski. A ponieważ powieść się kończy, Plichta nie zostanie pokazany w działaniu wtedy, kiedy niema już bielma na oczach.

Niewykorzystanie przez Olchę wydarzeń i sytuacji, które mogłyby być pomocne w ukazaniu potęgującego się gniewu klasowego biedoty wiejskiej, staje się w powieści niemal regułą. Podobnie jak podane poprzednio przykłady wiadomość o aresztowaniu Latarki, który okazał się mordercą Goldberga, daje dużo do myślenia czytelnikowi i... babce Grzędzielinie, natomiast nie służy udokumentowaniu procesu dynamizowania się obozu rewolucji.

Zupełnie osobną pozycję zajmuje wśród ludzi postępu nauczyciel Wałęga. Słusznie zauważył sprawozdawca książki *), że w niektórych momentach przywodzi on żywo na myśl pokolenie społeczników ze szkoły Żeromskiego. Zwłaszcza fragment, kiedy Wałęga wędrując przez wieś i obserwując przejawy zacofanej gospodarki, niechlujstwo, niedbalstwo i stagnację— snuje myśli na temat możliwych ulepszeń — bezpośrednio przypomina wędrówkę Judyma przez obskurne przedmieścia Warszawy.

Inny jest, rzecz jasna, sens rozważań osamotnionego inteligenta-humanitarysty, a inna wymowa projektów nauczyciela — członka Partii po rewolucji proletariackiej. Ale powinowactwo nie jest ani pozorne ani przypadkowe.

Wałęga jest jedynym człowiekiem w Henrykowie, który obejmuje myślą całokształt wypadków; zajmuje się on niemal wszystkimi żywotnymi sprawami wsi. Jest jednak wyobcowany z rdzennego środowiska wiejskiego przez

*) Leonard Sobierajski: O literacką wizję wsi (nad powieścią Antoniego Olchy). Wieś, nr 12/1950.

swoją odrębną pozycję społeczną i swoje wykształcenie. Poza tym przejawia jako sekretarz PPR w niektórych wypadkach dziwny niedowład w działaniu. Znowu zasób wiedzy politycznej nauczyciela stoi tu w dysproporcji z celowym wykorzystaniem jej przez autora. Wałęga wie o nadużyciach w spółdzielni, widzi, jak na miejsce dawnej nierówności społecznej tworzy się nowa, wspomina nawet o konieczności społecznej kontroli spółdzielni i sprawiedliwego opracowania planu samopomocy sąsiedzkiej, ale kontrola ta, która mogła stać się dużym przełomem w narastaniu rewolucyjnej świadomości biedniaków—jak w niejednej wsi się działo — do ostatnich stron powieści nie dochodzi do skutku. Wałęga źle rozumie swoje obowiązki, skoro Barcwik wywożąc gnój na pole Radonia marzy o własnym kapitalistycznym gospodarstwie, a Plichta, pełniący po aresztowaniu Wałęgi funkcje sekretarza partyjnego, mówi do uświadomionego politycznie Sarnka o niecelowości zaostrzenia walki klasowej... Troska Wałęgi o przetwórnię owoców, o cegielnię i o sadownictwo, przy braku zrozumienia zadania najważniejszego i konieczności obalenia przewagi gospodarczej spekulantów, którzy nie pozwalają biednym chłopom stanąć na nogi — wyraźnie przesuwa akcenty „społecznikostwa" nauczyciela. Dobrze charakteryzują Wałęgę niewinne z pozoru słowa, wypowiedziane przez niego do młodzieży na przeciągającym się do późna w noc zebraniu: „No, to cóż? Pomarzymy se trochę"...

A konsekwencje? Wieś pozostaje bez odpowiedzialnego przywódcy. Prawda, że nie wszędzie zdarzali się odpowiedzialni przywódcy; mimo to rewolucja na wsi dokonała się. Nie zrobili jej oczywiście Wałęgowie. Rewolucja wyrosła na fali postępującej radykalizacji biedniaków i bezrolnych. Historia powojennej wsi polskiej jest historią walki klasowej biedoty wiejskiej, a znalezienie literackiego kształtu dla tego procesu jest głównym zadaniem pisarza podejmującego wiejską tematykę. Jednostka wtedy spełnia swoją właściwą rolę, kiedy jest organicznie związana z określonym klasowo zespołem i potrafi nim umiejętnie pokierować. Osamotniony mimo pozorów Wałęga, wyrastając na przywódcę wsi i pozytywnego bohatera, sugeruje fałszywe proporcje o układzie sił społecznych, zwłaszcza że — jak wspomnieliśmy — proces dojrzewania ideologicznego biedoty pokazany jest nieprzekonywająco.

Dalsze konsekwencje? W Henrykowie odczuwa się pęd do reform, do sprawiedliwej organizacji życia, ale nie widać perspektyw. Latarka pójdzie do kryminału, społeczna kontrola wykryje nadużycia w spółdzielni i usunie Zadrę ze stanowiska kierownika, ale co dalej? Olcha nie zauważył zalążków nowego w roku 1948. A może nie napisał jeszcze trzeciego tomu?

W powieści stają się zbyteczne komentarze odautorskie i bezpośrednia charakterystyka; motywy i sposób postępowania bohaterów określają ich prawdziwie i plastycznie. Trudno tu jednak pominąć często stosowany przez autora rodzaj mowy pozornie zależnej, będący transpozycją sposobu myślenia przeważającej części wsi, usposobionej konserwatywnie. Przyjrzyjmy się przykładom:

„Młodzi rośli w przeświadczeniu, że prędzej czy później trzeba będzie z gniazda zapolować na szczęście, szukać dobrych zarobków. Na wsi przecież tak będzie jak jest, bo tak być musi, a je-

dynie najroztropniejsi mogą wypłynąć, gdy im się uda."

Tymczasem przebieg wypadków, pokazany przez Olchę, wyraźnie przeczy takiemu stawianiu sprawy.

„Hanka bywała u Radoniów rzadkim gościem, atoli od czasu, gdy Barcwikowie pochowali jedynego syna, Łukasz okazywał im — przyjaźń i serce."

Rzecz jasna, Łukaszowi zależało na zjednaniu sobie najemnego robotnika.

Słuszny gniew Mikołaja Barcwika, kiedy — mimo wpłacenia za wysupłane z trudnością pieniądze udziału w spółdzielni — zabrakło dla niego towarów, opisuje Olcha w następujący sposób:

„Słowa, wymawiane nazbyt prędko, bulgotały mu w ustach, jakby tam miał gorącego ziemniaka, który parzy i piekielnie przeszkadza obracać zgrabniej językiem.

Zaiste, ten Mikołaj Barcwik to nawet się przyzwoicie gniewać nie umie."

Czyj pogląd wyraża pogardliwy epitet „wtrącalski" w zestawieniu z robotnikiem, który przyjechał z brygadą, by pomóc wsi przy wiosennej orce i przy sposobności zainteresował się życiem społeczeństwa henrykowskiego?

Olcha, może nieświadomie, zbyt ulega klimatowi opisywanego środowiska. Dałoby się to odnaleźć także w charakterystyce postaci. Zadra i Łukasz Radoń są energicznymi, zapobiegliwymi ludźmi. Mamy pełne prawo wierzyć autorowi, kiedy mówi, że „dzięki jego (Zadry) energii auto ciężarowe woziło już na Opolszczyznę transporty prosiąt do chowu i cieląt". Nie ma również podstaw do obrony Barcwika, kiedy Olcha wytyka mu za pośrednictwem Radonia niezręczność:

„— Jak to wej trzyma te lejce. Niech mu się koniowce pośliźnie!... Przecie nie zdole go na cas poderwać, beskurcyjo zatracono!..."

Wskutek tej swojego rodzaju dyskwalifikacji sprawności gospodarskiej Barcwika może się w niewyrobionym czytelniku ugruntować sąd Łukasza, że stan majątkowy człowieka, zależy od jego umiejętności, sprytu, pracowitości i zapobiegliwości, a nie od ustroju społecznego. Poglądy starego Radonia uzyskują żywą dokumentację.

Nie należy posuwać się zbyt daleko w wyciąganiu wniosków; o wymowie powieści decyduje całokształt jej elementów, który nie uprawnia do takiej konkluzji, a opinię Łukasza o Barcwiku można traktować jako wykorzystywanie wygodnych dla jego poglądów zjawisk. Jak wiadomo, każde twierdzenie da się poprzeć przykładem.

Jeden wniosek wydaje się wszakże niezaprzeczalny: w stylu pisarskim Olchy tkwią pozostałości naturalistycznego spojrzenia na rzeczywistość. Świadczy o tym także pewna statyka, indolencja i niewyraźny rozwój przedstawicieli obozu postępu.

Wielowątkowa struktura powieści pozwala autorowi na swobodne przerzuty kompozycyjne. Olcha nie zaniedbuje również możliwości intrygowania sensacyjnością konstrukcji; przez pewien czas utrzymuje np. czytelnika w przeświadczeniu, że Agnieszka Grębalówna rzeczywiście popełniła samobójstwo.

Ta tendencja do jak najbardziej efektownego wykorzystywania sensacji da się połączyć z inną: do awanturniczego rozmachu, który — nie ubliżając całemu heroizmowi bohaterki — znalazł swoje odbicie w dziejach poszukiwania przez Agnieszkę synka w Niemczech. Epizod nie przyczynia się do pogłębienia analizy stosunków społecznych w Henrykowie, ale stanowi ważne ogni-

wo w rozwoju akcji, nazwanej przez nas dominującą: w dziejach miłości i macierzyństwa Agnieszki. Powstały w ten sposób obraz jest tym mniej typowy, że gotowość Agnieszki do działalności społecznej zdaje się wyrastać z tłumionej, ale nie wygasłej miłości do Szymka Radonia, a więc z pobudek psychologicznych. Podobna motywacja przychodzi na myśl przy analizie postaci Józka Radonia: jego zainteresowania społeczno-naukowe, wyraźna dążność do włączenia się w nurt życia, rodzą się na tle kalectwa, na tle kompleksu niższości w stosunku do otoczenia przynajmniej w zobiektywizowanej interpretacji autora. (Charakterystyczny jest tu moment, kiedy Józek stawia się w sytuacji bohaterów przeczytanych książek: „był lotnikiem i marynarzem, średniowiecznym rycerzem, wyruszającym na wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej i nowoczesnym rewolucjonistą, który poświęcił wszystko dla sprawy ludu".) Trzeba dodać, że ta psychologiczna wyłączność motywacji postępowania wcale nie jest zasadą autora; charakterystyka poszczególnych przedstawicieli rodziny Radoniów umacnia w nas zaufanie do umiejętności Olchy przedstawiania właściwych proporcji i bogatego zróżnicowania w określaniu wyboru drogi życiowej.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że pierwszoplanowy wątek przeżyć Agnieszki oznacza koncesję na rzecz łatwizny konstrukcyjnej, właśnie przez swoją niewyraźnie rysującą się celowość w kontekście całego solidnie podbudowanego tła. Wiele oznak wskazuje, że autorowi rozleciała się zamierzona konstrukcja powieści i pod nawałem realiów z życia wsi przesunęły się proporcje: wątek zasadniczy stał się zbędnym do pewnego stopnia epizodem. Stąd właśnie płynie — oddajmy sprawiedliwość autorowi — zarzut łatwizny, polegającej na dokładnym przedstawieniu przeżyć psychologicznych osoby, nie odgrywającej zasadniczej czynnej roli w życiu wsi. Jest to wyraźne zamącenie harmonijnej współzależności i hierarchii elementów.

Na koniec wytknąć trzeba autorowi dość zresztą rzadko występującą manierę. Jest to naiwna młodopolska stylizacja gwarowa: „Radliły śródpolną ciszę pojękliwe nuty pastuszych pieśni..." „Urzekliwie roziskrza się polna jaśnizna"... Dołączają się do tego różne „wichurzyce", „powichry" i „kipiele".

W zakończeniu powieści Szymek Radoń rozpoczyna budowę własnego mostu nad przepaścią, w którą mało się nie stoczył. W ten sposób ostatni z reakcyjnych Radoniów wkracza na słuszną drogę. Potomstwo Łukasza Radonia ułoży sobie życie już w innych warunkach.

Dziś już książka Olchy nie może odegrać roli mobilizującej; pozostanie jednak kształcącym dokumentem.

Andrzej Lam

MARIANNA KOŚCIŃSKA: *Niedziela na Wydartej*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 224.

Tom opowiadań Marianny Kościńskiej „Niedziela na Wydartej" w sposób gruntowny, ale od jednej strony, omówiła już we „Wsi" (nr 51) Anna Kamieńska.

Recenzentka poddała sumiennej analizie warsztat pisarski Kościńskiej. Pokazała jej niedostatki, słusznie zwracając uwagę na te momenty, które zamąciły ostrość i uwydatniły niepełność obrazu podgórskiej wsi z lat międzywojennych. Na książce zaciążyło z jednej strony niedostateczne otrząśnięcie się z maniery psychologizmu i

naturalizmu drobnomieszczańskiej powieści okresu międzywojennego, z drugiej strony brak uzbrojenia się w jakąś pełniejszą wiedzę „o rzeczywistości i o jej historycznych przebiegach". Stąd cenny materiał doświadczeń pisarki nie został wygospodarowany jak należy. Autentyzm rozsadzał konstrukcję opowiadań, zacierając ich ideologiczną ostrość. Zarzuty są niewątpliwie trafne. Ponieważ zostały one już sformułowane, będzie nam wolno spojrzeć na debiut Kościńskiej od innej strony.

Chciałbym zatrzymać się nieco dłużej na pierwszym opowiadaniu „Wychowawcy", gdyż na nim widać, z jakimi trudnościami pisarskimi walczy Kościńska; inne opowiadania, zamieszczone w tomie, jak: „Niedziela na Wydartej" czy „Podegrodzki matac" przekonują czytelnika, że autorka wyzwala się z fałszywego postulatu autentyzmu: „wierności dla przeżytego", wierności dla materiału obserwacyjnego, który na pisarza napiera bez wyboru, uniemożliwiając mu wypracowanie konstrukcji, u podstaw której leżałyby jasno określone wyznaczniki ideologiczne. To jest także rdzeń trudności i Pogana i Dunarowskiego.

W „Wychowawcach" Kościńska postawiła sobie za zadanie pokazać nieudaną, żałosną próbę „awansu społecznego" zdolnej dziewczyny wiejskiej, córki biedniackiego chłopa z podhalańskiej wsi. To stanowi fabułę noweli, w której odsłaniają się losy Wikty. Istotniejszy jednak w opowiadaniu jest element konstrukcyjny uboczny, przy pomocy którego autorka zakreśla krąg dla typowej sytuacji biedniackiej rodziny chłopskiej w przedwojennej, drobnokapitalistycznej wsi. Wyczuwa się tu nawet określony moment historyczny; w opowiadaniach Kościńskiej otrzymujemy obraz wsi po krwawo złamanych strajkach chłopskich z 1936 i 37 roku, wsi w swoich masach biedniackich popadającej w stan rezygnacji i otępienia.

Ambitnej Wikcie matka perswaduje ciągle: „Takie dziopy jak ty pomagają już łojcom! Takie podgorzanki to i na cetynę chodzą, na kopacki, na zarobki... Miej rozum, żeś jest ciężarem łojców." W świadomości chłopki z karłowatego gospodarstwa nie ma już innych dróg dla jej zdolnego dziecka. Dla artystycznego wyrażenia tej prawdy Kościńska posługuje się celnym chwytem pisarskim. Jest nim powracający w opowiadaniu motyw „cetyniarek", dziewczyn zbierających chrust w lesie. Obrazowi Wikty, marzącej o wyrwaniu się ze swojego środowiska, o indywidualnym osiągnięciu jakiejś lepszej pozycji społecznej zawsze towarzyszy widok lub daleki śpiew tych dziewczyn, które los klasowy zamknął w kręgu „cetyniarek, kopaczek, wyrobnic"... u co bogatszych gazdów.

„Od podgórzańskiej strony ciągnęły przez las dziewczęta. Przepasane na krzyż płachtami gziły się i chichotały, jakby je kto zlewał wodą podczas śmigusu.

— Turdziu turdziu hop, hop, hop! — pokrzykiwały.

Albo gdzie indziej: „Drogą ku lasowi ciągnął się sznurek dziewczyn. Przepasane na krzyż płachtami dokazywały, jak to zwyczajnie w lesie. „Huha!" pohukiwały. Wikta poznała po głosie nieustraszoną grubą Andę, wytrawną „cetyniarkę", mylącą trop gajowego niczym gangster trop detektywa. Pokrzykiwała buńczucznie:

Nie boję się leśnego,
Wypnę zadek na niego!

I jeszcze: „Z góry od lasu wracały cetyniarki. Uginając się pod pękatymi

brzemionami, figlowały hałaśliwie. Gruba Anda nuciła przyjemnym, smętliwym głosem:

Słoneczko na zachodzie,
Mój miły odprowadź mnie,
Odprowadź mnie za las,
A ja cię jeszcze raz
I tam się rozejdziemy.

Wikta stanęła pod stodołą i patrzyła bezmyślnie w pękate brzemiona cetyny, ginące za zakrętem."

W opowiadaniu dużo jest tych zaśpiewek ludowych. Autorka nie przywołuje ich jednak dla zarejestrowania folkloru podhalańskiego; pełnią one swoją określoną funkcję w utworze. Ukazują mianowicie cofnięcie się świadomości klasowej biedniackiej wsi w sytuacji, o której wspominaliśmy, rysują ten stan rezygnacji, jaki charakteryzuje głodującą rodzinę Kaciałów. Przeciwko złamanym ambicjom Wikty staje już tylko „kultura ludowa", cały skromny zespół treści, który ma wystarczyć, który powinien wystarczyć biedniejącym masom chłopskim. Autorka przez kontrastowanie złego losu Wikty i jej rodziny właśnie z elementami tej „kultury ludowej" pokazuje, w jaką sytuację kulturalną spychała wieś burżuazja, odcinając ją od szkół, od nowoczesnej wiedzy i dorobku cywilizacyjnego.

To, co najbardziej pasjonuje Kościńską, co mobilizuje jej wyobraźnię pisarską — to potrzeba pokazania form bytowania biednego chłopstwa, potrzeba pokazania tych wszystkich elementów, które ograniczają i ubożą świadomość społeczną i kulturalną biedniackiej wsi. Czy jest to postawa naturalisty? Czy można robić Kościńskiej zarzut, że nie pokazuje „nowego", że nie dostrzega rewolucyjnych sił wsi. Kościńska przy swojej znajomości realiów potrafi dać plastyczne przesłanki, z których wnioski ideologiczne nie trudno jest czytelnikowi wyciągnąć. Ponury, bezwyjściowy obraz wsi stanowi sam przez się oskarżenie systemu kapitalistycznego. Ale to jeszcze byłoby mało. Jest w nim świadectwo żywe jeszcze i dzisiaj. Z tego obrazu odsłania się cała beznadziejność drobnotowarowej gospodarki chłopskiej, skazującej „indywidualnych" gospodarzy na wąskich poletkach na żywot pozbawiony wszelkich ambicji społecznych i kulturalnych, skazujący tych „gospodarzy" na wegetację o polu widzenia nie wykraczającym poza „własne zagnojone podwórko" i sznur krowy, wypasanej na „własnej miedzy". Kościńska tej prawdzie dała wyraz. Przypatrzmy się jednemu z jej szkiców:

„Frania sina z zimna, w krótkim po pępek lejbiku siedziała pod nalepą; gryzła pacyny odlatujące ze ściany pieca. Wikta wzięła dziecko na rękę i siadając w kuchni na ławie zabawiała przez okno widokiem na oborę. Widły śmigały w powietrzu nad gnojem, cienkie i ostre. Dyszel i osłony wózka były gotowe. Ojciec ślęczał teraz nad podkólkami... Dziecko prężyło się na podołku Wikty, gaworząc skakało w przysiadach w górę jak piłka. Ostre paznokietki przejeżdżały po twarzy piastunki i darły włosy z głowy. Wikta oganiała się. Wreszcie odwróciła się od okna i utkwiła oczy w korycie. Matka wstrzymała pałkę, którą gniotła w korycie ziemniaki."

Kościńską szczególnie przejmuje los dziecka wiejskiego w biedniackiej rodzinie chłopskiej. Odsłania ona ten los w celu zwrócenia uwagi na sam system, w którym dziecko wiejskie jest pierwszą ofiarą. Rejestr tych krzywd jest duży. Zaczyna się on już od typu doświadczeń, dzięki którym kształtuje się wyo-

brażnia dziecka: „Rejna, Jagniesia i mała Frania bawiły się w chorą na wzdęcie krowę. Frania była krową, którą wzdęło, bo wrzeszczała w niebogłosy. Obie starsze siostrzyczki gniotły jej brzuch, wlewając do ust wodę i wciskając do zadka palce.

— Co wy temu dziecku robicie? — krzyknęła Biedzina. — Chcecie ją udusić? Dajcież dziopięciu pokój!

— Bawimy się w fuconą krowę! — odpowiedziała rezolutnie Jagniesia."

Siłą prozy opowiadań Kościńskiej jest jej ostry, plastyczny rysunek biedniackiej wsi podkarpackiej sprzed 1939 roku. Nie wniosła jeszcze Kościńska w swoje pisarstwo dostatecznie ostrej świadomości klasowej, pozwalającej porządkować materiał doświadczeń z siłą artystycznie przekonywającą, nie potrafiła jeszcze bezbłędnie operować „autentycznym", tym, co dla niego jest typowe. Należy jednak podkreślić duży wysiłek autorki, bo jest widoczne, że łamie się z manierą psychologizmu, że potrafi z dużą siłą sugestywną kreślić obrazy, które komponują się w książce w całość artystycznie dobrze umotywowaną. Gdy odrzucimy z jej pierwszego opowiadania wszystko to, co autorka przejęła ze złej tradycji literackiej, bądź co wynika z jej nieporadności czysto technicznej (warsztatu pisarskiego) — to otrzymamy czysty, ostry rysunek, przypominający podhalańskie drzeworyty Kulisiewicza.

Maciej Koliba

NA WIDNOKRĘGU

Uwagi o współczesnej twórczości dramatycznej

Uwagi niniejsze odbiegać muszą nieco od zwykłych artykułów krytycznych. Krytyk wygłaszać powinien sądy sprawdzalne, oparte na tekstach powszechnie dostępnych. Tymczasem, spośród kilkudziesięciu polskich sztuk współczesnych, nadesłanych w związku z Konkursem do Generalnej Dyrekcji Teatrów, niektóre tylko ukazały się dotychczas na scenie i to raczej poza Warszawą, inne znajdują się na warsztatach teatralnych, jeszcze inne dopracowują obecnie autorzy; kilka zaledwie wyszło w formie książkowej. Niezależnie od tego wiele interesujących wniosków wyciągnąć można również z tego materiału, który nie pójdzie do realizacji, a który przecie składa się także na obraz naszej współczesnej twórczości dramatycznej. Materiał pięćdziesięciu sztuk, jakie wypadło mi przeczytać, pozwala niewątpliwie na wykrycie nie tylko indywidualnych osiągnięć czy potknięć, lecz tendencji, błędów i niedomagań bardziej powszechnych; wydaje mi się zresztą, że szersza analiza utworów, znajdujących się w „odsiewie" redakcyjnym, jest — zwłaszcza w naszych warunkach — wdzięcznym zadaniem krytyka i jego obowiązkiem nie tylko wobec pisarzy, którym się nie powiodło. Nie chcąc więc ferować kapturowych wyroków, ocenę indywidualną pozostawić muszę krytyce, która analizować będzie poszczególne utwory w miarę ich realizacji scenicznej; zajmę

się natomiast wnioskami ogólnymi, unikając o ile to możliwe wytykania palcem.

Przede wszystkim więc powodzenie samego konkursu. Jako członek Kolegium Repertuarowego Generalnej Dyrekcji przeczytałem 51 sztuk; nie jest to liczba pełna, gdyż nie wszystkie sztuki przeszły przez moje ręce, a kilku złożonych ostatnio nie miałem jeszcze możności przeczytać. Na tle nierzadkich u nas utyskiwań na „zahamowania twórcze" i dorabianych do tego teorii, obfitość nadesłanego materiału wydaje mi się dość wymowna. Świadczy ona przecież niewątpliwie o żywym nurcie naszej literatury, o zbliżaniu się pisarzy do zagadnień współczesnego życia, o szukaniu bardziej bezpośredniego kontaktu z odbiorcą, o potrzebie żywego reagowania na nurtujące tego odbiorcę sprawy. Wydaje się dalej, iż to ożywienie nie ogranicza się do żadnej wyodrębnionej grupy pisarzy; znów na przekór rozmaitym teoriom, śród pięćdziesięciu reprezentowanych tu pisarzy piętnastu należy do pokolenia, mającego za sobą książki wydane przed wojną, dwudziestu dwu — do pisarzy, którzy wysunęli się po wojnie, trzynastu wreszcie debiutuje w ogóle w literaturze po raz pierwszy. Ale — i to wydaje mi się szczególnie godne uwagi — również i śród pisarzy już znanych poważny jest odsetek debiutów dramatycznych: w pierwszej grupie jest ich dziesięciu, w drugiej — trzynastu. Trudno to zjawisko — iż na pięćdziesięciu autorów dramatycznych niemal czterdziestu występuje w dramacie po raz pierwszy — tłumaczyć jedynie zamówieniem konkursowym; przypuszczałbym raczej, iż w dążeniu do atakowania współczesnej problematyki pociąga autorów ten gatunek literacki, który, jak im się wydaje, nie wymaga szerszej epickiej podbudowy całości.

Również i rezultaty konkursu nie wydają mi się nikłe. Spośród sztuk, które czytałem, zakwalifikowano w zasadzie do realizacji szesnaście (w sumie będzie ich zapewne nieco więcej). Przy znacznej ilości debiutantów trudności rzemiosła dramatycznego musiały wpłynąć na zwiększenie odsiewu, który i tak przy wszelkiego rodzaju konkursach jest pokaźny. W tych warunkach około dwudziestu polskich sztuk współczesnych, które zasilą bieżący repertuar — to przy naszej niezwykle wątłej dotychczas twórczości dramatycznej nieomal przełom.

Już samo ciążenie pisarzy do formy dramatycznej, w której trudniej niż w innych dziedzinach uciec od zagadnień otaczającego świata, świadczy o potrzebie stanięcia twarzą w twarz wobec tych zagadnień. Potwierdza to analiza materiału konkursowego: tematyka utworów, problemy stawiane przez pisarzy, ludzie, jakich usiłują nam pokazać — wszystko to wskazuje, że nurt naszej twórczości znalazł właściwe łożysko, że żłobi sobie drogę ku coraz lepszemu rozumieniu naszej rzeczywistości, socjalistycznej istoty naszych przemian, nowego gospodarza Polski Ludowej, roli i zadań literatury. Nawet te utwory, które na swój sposób uprawiają ucieczkę od życia, czynią to z „zachowaniem pozorów", formalnie obracając się w świecie aktualnych zagadnień — a może po prostu nie mogą tylko jeszcze zdobyć się na nową miarę, nowe widzenie świata; nie potrafią na świat ten spojrzeć inaczej, jak z punktu widzenia problemów wiecznej moralności, dobra i zła, winy i kary. Jednakże takich utworów, anachronicznych w naszej epoce, błąkających się w ujmowaniu naszej rzeczywistości

gdzieś między werbalistyczną symboliką Szaniawskiego a misteriami Rostworowskiego, mieliśmy w konkursie stosunkowo niewiele.

Wygasają również, podobnie jak w ogóle w literaturze, sprawy okupacyjnej przeszłości — nie w sensie szukania w niej korzeni i źródeł dzisiejszych konfliktów i postaw czy choćby uzupełniania biografii bohaterów (w tym sensie bowiem dramat nasz niemal z reguły do lat okupacji nawiązuje) — ale w sensie oceny moralnej postaw ówczesnych. Stawianie konfliktów okupacyjnego życia na płaszczyźnie ogólnoludzkiej moralności kryło w sobie poważne niebezpieczeństwo pojednawczego odpuszczania grzechów i związane było niewątpliwie z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym; dziś ono zanika, choć tu i ówdzie jeszcze przebłyskuje.

W przytłaczającej większości naszej twórczości dramatycznej panuje niepodzielnie dzień dzisiejszy, sprawy główne i najważniejsze, węzłowe zagadnienia naszego życia, i to w bardzo rozległym wachlarzu. „Brygada szlifierza Karhana" nie stała się, jak się obawiano, obowiązującym mundurkiem realizmu socjalistycznego w dramacie, mimo że zagadnienia współzawodnictwa i racjonalizacji pracy stanowią dość często oś konfliktów dramatycznych. Silniej niż w „Brygadzie" występują u nas elementy walki klasowej w dziedzinie produkcji; zagadnienia awansu społecznego i wzrostu socjalistycznej świadomości klasy robotniczej, czujność i problem inteligencji technicznej — wszystko to są sprawy, w których pisarze nasi poczynają dostrzegać źródło współczesnych konfliktów. Na równi ze środowiskiem wielkoprzemysłowym (kopalnia, huta) szczególnie często jako tło akcji występuje budowa — być może dlatego, że środowisko robotników budowlanych i problemy budownictwa są dla wielu pisarzy dostępniejsze w obserwacji, ale zapewne i dlatego, że ten teren stanowi dogodną i prostą odskocznię dla metafory, która z konkretnej akcji dramatycznej czyni bezpośrednio i bez szczególnych zabiegów symbol spraw dziejących się w Polsce.

Sztuki o tematyce czerpanej z życia klasy robotniczej stanowią nie tylko największy odsetek materiału konkursowego, ale wykazują również na ogół najwyższy poziom ideologicznej dojrzałości — a może nawet mogą być tej dojrzałości dowodem. Najwyraźniej i w najwłaściwszym ustawieniu występuje tu rola partii, konflikt nie jest zamącony psychologicznymi spekulacjami, ideologiczna chwiejność postaci nie szuka usprawiedliwienia w osobistych przeżyciach. Mamy tu również kilka sztuk o tematyce partyjnej, stawiających w punkcie centralnym sprawy obciążeń ideologicznych w środowisku partyjnym. Problematyka ideologiczna Plenum sierpniowego i III Plenum PZPR, problematyka żywa i ważna, stanowi dla naszej młodej dramaturgii zadanie szczególnie trudne; toteż, mimo że autorzy nie uniknęli tu pewnych potknięć, podnieść wypada, że i ta problematyka znajduje odbicie w twórczości naszych dramatopisarzy. Wreszcie — mimo iż sztuki te nie są związane ze środowiskiem proletariackim — tu włączyć by należało utwory poświęcone walce z imperializmem; jeden z nich— „Zwykłą sprawę" A. Tarna — widzieliśmy już w Warszawie na scenie Teatru Współczesnego. Odstępując w tym wypadku od reguły anonimowości, powiedzieć mogę, że sztuka ta wydaje mi się ideologicznie i dramaturgicznie bardzo dobrze zbudowana, trafnie rozstawia siły społeczne, demaskuje demokrację amerykańską nie sloganami, lecz kon-

kretnym materiałem faktycznym, ma żywy nerw publicystyczny i szereg wyrazistych postaci, i jest chwytliwa, przekonywająca, „bierze" widza, a to się niewielu jeszcze naszym sztukom udaje.

W całej tej grupie utworów mamy już wiele prawdziwego odczucia proletariackiego środowiska, wiele żywo narysowanych postaci, dużą klarowność ideologicznej budowy; są to sztuki rzeczywiście aktualne, interesują i mobilizują. Toteż spośród tych utworów stosunkowo najwięcej uznano za nadające się do realizacji, choć wiele ideologicznych i artystycznych potknięć wymaga tu jeszcze dalszej pracy autorów i teatru.

Z trudnością nasz dramat toruje sobie drogę do współczesnej wsi. Kilka sztuk zaledwie śród tych, które czytałem, rozgrywa się w środowisku wiejskim; z nich dwie tylko podejmują istotnie próbę zobrazowania rozwoju walki klasowej na wsi. Wielki odcinek batalii o socjalizm pozostaje jeszcze praktycznie poza zasięgiem widzenia naszych dramatopisarzy. Działa tu niewątpliwie wątłość tradycji literackiej, zwłaszcza takiej, do której pisarz współczesny mógłby nawiązać. Maria Jarochowska pokazała niedawno w „Buraczanych liściach", w zabawnej parodii ziemiańskiego romansu „z życia wsi", dystans, jaki dzieli rzeczywisty obraz wsi od jej szlachecko-burżuazyjnego zakłamania. Pisarz przedzierać się musi przez to zakłamanie, by dotrzeć do istoty konfliktu klasowego; a konflikt to trudniej uchwytny, bo zatarty w swych zewnętrznych przejawach przez wyrównane warunki i obyczaje codziennego życia, niską świadomość społeczną, gromadzkie obcowanie. Trzeba też szukać nowych środków artystycznych, które pozwolą pisarzowi wyzwolić się ze wszystkich konwencji kułackiej krzepy, solidaryzmu, folklorystycznej malowanki i sławetnego przywiązania do ziemi, tylekroć wyzyskiwanego w obronie najświętszych podstaw kapitalistycznej własności. Wszystkie te konwencje zostały na ogół w naszej twórczości współczesnej przezwyciężone; jednakże nieznajomość środowiska, trudność osadzenia konfliktu na konkretnym materiale, brak swobody w poruszaniu się w konkretach życia i gospodarki rolnej — wszystko to sprawia, że dramaty osnute na problematyce wiejskiej grzeszą schematyzmem, są nie zlokalizowane w terenie — dzieją się wszędzie, więc nigdzie — a dialog ich często jeszcze zalatuje mieszczuchem.

Podobnie jak szczególnym wzięciem wśród pisarzy w środowisku proletariackim cieszą się robotnicy budowlani, spośród inteligencji największe upodobanie zdradzają autorzy dla lekarzy. Nie sądzę, by i to zjawisko było przypadkowe. Z sześciu sztuk osadzonych w środowisku lekarskim tylko jedna ukazuje na przykładzie tego środowiska walkę nowego ze starym, konflikt ustawiony klasowo i rozwiązywany w kategoriach realizmu socjalistycznego. Pozostałe odwołują się do medycyny raczej dlatego, że w postaci lekarza, niosącego ulgę cierpiącej ludzkości, usiłują znaleźć pomost od moralności mieszczańskiej do nowej moralności socjalistycznej. Toteż konflikt tych sztuk jest najczęściej konfliktem moralnym; klasowa postawa bohatera jest tu raczej sztucznie doczepiona, sprawa bowiem rozgrywa się na płaszczyźnie czysto osobistej szlachetności. Mimo częstej nieporadności ideologicznej tych sztuk nie trzeba lekceważyć ich znaczenia. Płyną one z postawy tej części naszej inteligencji, która pozytywnie ustosunkowuje się do naszej rewolucji, ale przeskakując założenia ideologiczne, przeskakując przez socjalizm, przyjmu-

je tylko pozytywne skutki: budownictwo, troskę o dobrobyt mas, walkę o utrwalenie pokoju. W dramacie jednak ta postawa kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo — i mamy również przejawy tego śród sztuk konkursowych. Jeśli się przyjmuje tylko pozytywne efekty, a omija to, co w naszej rewolucji najistotniejsze — jej rewolucyjność, walkę klasową, dyktaturę proletariatu— sprowadza się socjalizm właśnie do owej szlachetności, do przymiotów duszy. Wiąże się to z całą sprawą humanizmu i moralności socjalistycznej, jednym z węzłowych zagadnień sztuki realizmu socjalistycznego, bardzo jeszcze nie przetrawionym nie tylko w dramacie, lecz w całej naszej literaturze, i często w dwojakim sensie wulgaryzowanym.

Jeden typ wulgaryzacji, związany nieraz z młodzieńczą żarliwością rewolucyjną, prowadzi do przedstawiania komunisty jako bezdusznego fanatyka, nieczułego na nakazy zwykłego ludzkiego uczucia, gdy w grę wchodzą nakazy idei. Fałszywe założenie, iż nakazy te muszą pozostawać ze sobą w sprzeczności, prowadzi do szukania konfliktu w starciu między obowiązkiem społecznym a życiem rodzinnym — i oczywiście do pognębienia życia rodzinnego. Ale bohater Żeromskiego skazany był na samotność, gdyż działał na przekór nikczemnemu światu i to czyniło go postacią tragiczną; pozytywny bohater literatury socjalistycznej nie jest w sprzeczności z drogą rozwoju świata; stanowi cząstkę tej społeczności ludzkiej, do której przyszłość świata należy i nie ma potrzeby zrywania żadnych więzów, które go z tą społecznością wiążą. Z tego samego źródła — to jest z fanatycznej koncepcji i z przenoszenia konwencji literatury mieszczańskiej — płynie u nas niekiedy pomieszanie pojęć ofiarności i ofiary. Walka wymaga poświęceń i pociąga za sobą ofiary — to prawda; ale katastrofa bohatera, jeśli nie jest ofiarą nieodzowną, prowadzącą bezpośrednio do osiągnięcia celu i przez ten cel dostatecznie okupioną, jeśli nie następuje w walce, wymagającej najwyższego bohaterstwa — jest lekceważeniem życia, jak najbardziej sprzeczna z socjalistyczną moralnością, z socjalistycznym pojęciem humanizmu. Politycznie — to jakieś odległe echo tych burżuazyjnych, kontrrewolucyjnych pojęć o komunizmie jako o ruchu, który poniewiera życiem jednostki w imię szczęścia przyszłych pokoleń; artystycznie — to konstrukcja pesymistyczna, konstrukcja literatury mieszczańskiej, w której jednostka musiała przegrać.

Druga odmiana wulgaryzacji płynie z postawy mieszczańsko - inteligenckiej i polega na utożsamianiu moralności socjalistycznej z moralnością chrześcijańską. Ta postawa bierze z socjalizmu to tylko, że występuje w obronie uciśnionych i wyzyskiwanych. Ale socjalizm nie zadowala się niesieniem ulgi pokrzywdzonym i nie zajmuje filantropią, walczy bowiem o zniesienie samej krzywdy i źródła wszelkich krzywd; socjalizm wypowiada walkę złu nie dlatego, że zło, korzystając z prawa silniejszego, używa przemocy, lecz dlatego, że jest złem — choćby było słabe i samo doznawało przemocy. Toteż niedość jest twierdzić, że socjaliści— to po prostu przyzwoici ludzie, czuli na ludzkie cierpienia i pragnący je sprawiedliwie nagrodzić. Przyzwoitych ludzi znaleźć można również śród burżuazji; różnica wszakże polega na tym, że jedni chcą przebudować świat, a drudzy pragną by pozostał, jaki jest. Jasne jest, że ta chrześcijańska interpretacja moralności socjalistycznej prowadzi w konsekwencji do głoszenia treuga Dei, do generalnego odpuszczenia

win i generalnego pojednania ciemiężców i uciemiężonych.

Zawodzą jak dotychczas próby w dziedzinie komedii satyrycznej. Z siedmiu utworów tego rodzaju ani jeden nie został bezpośrednio zakwalifikowany do realizacji scenicznej. O większości z nich można by powiedzieć, że są właściwie rozwiniętym skeczem czy rozbudowanym na kilka aktów felietonem. Brak im ciężaru gatunkowego i pogłębienia, figury są płaskie, jednowymiarowe, konflikt dramatyczny zastępuje najprostsze qui pro quo. Jasełkowe postacie, wprowadzane na scenę tych komedii, przypominają często ową półkobietę, pokazywaną kiedyś w prowincjonalnym cyrku, o której zapowiadacz mówił: „jest tylko to, co państwo widzą— głowa i biust, a tam dalej za kotarą nic nie ma, tam jest wiatr". Przede wszystkim zaś — operując najczęściej karykaturą i groteską, nie dostrzegają różnicy między wrogiem i ułomnościami naszego własnego, nowego życia, atakują z tego samego dystansu, na tej samej płaszczyźnie ginący świat i przywary świata, który się rodzi. W rezultacie — mimo woli są nieraz tyleż walką z rzeczywistością wrogą, co satyrą na naszą własną rzeczywistość.

Jakie są główne słabości naszej nowej dramaturgii? Na kongresie krakowskim w sprawie badań nad sztuką prof. Korzeniewski mówił o niebezpieczeństwie naturalizmu, upatrując je w tym, co nazywał dysproporcją między schematem maszyny a wiedzą o człowieku, przewagą przedmiotu na scenie. Jeśli ocena taka wydaje mi się przynajmniej częściowo słuszna, nie mogę zgodzić się z diagnozą. Niewątpliwie często jeszcze mamy do czynienia z przesunięciem punktu ciężkości dramatu od spraw człowieka do zagadnień produkcji — choć, jak mówiłem, zarzutu tego bynajmniej nie można uogólniać. Jeśli jednak walkę o wykonanie planu przedstawia się jedynie jako zagadnienie produkcji i kolektywu, jeśli nie dostrzega się we współzawodnictwie drogi do podniesienia socjalistycznej świadomości — jest to oczywiście zepchnięcie spraw ludzkich na rzecz maszyny. Prof. Korzeniewski słusznie mówił o tym, jak słaba jest w naszym teatrze wiedza o współczesnym człowieku. Dotyczy to samego teatru, dotyczy z pewnością w określonym stopniu i dramatopisarzy. Ale w takim razie źródło tej słabości człowieka w dramacie nie tkwi w naturalistycznym dążeniu do wprowadzenia na scenę „prawdziwej" maszyny, lecz właśnie w nieznajomości człowieka, środowiska, realiów życia. Nie jest to więc spór terminologiczny; od tego, jak to nazwiemy, zależeć będzie terapia. Nie należy przecież usuwać ze sceny maszyny, fabryki, spraw produkcji — w ucieczce przed naturalizmem, a należy ożywić, wzbogacić, uczynić pełniejszym i krwistym życie ludzi, przez których i dla których te maszyny pracują.

Więc nieznajomość życia: powoduje ona nie tylko pewien schematyzm dramaturgicznej budowy, ale i schematyzm samego konfliktu. Przejawia się on w trudności znalezienia indywidualnej anegdoty, konkretnego *jednostkowego* konfliktu, w którym jak w soczewce przełamywać się będą konflikty naszej współczesności. Kiedy się taki jednostkowy konflikt w sztuce pojawia — jest często wymyślony, nieprawdziwy, nieprawdopodobny, stworzony w drodze konstrukcji logicznej, a nie w drodze obserwacji. Gorzej jeszcze, gdy autor w ogóle odrzuca anegdotę, wyprowadzając na scenę bezpośrednio reprezentantów rozmaitych sił w walce klaso-

wej i każąc im toczyć między sobą dyskusje.

To budowanie konfliktu na zasadzie konstrukcji logicznej wedle wymagań dramaturgii, a nie wedle wymagań życia prowadzi często do dysproporcji między siłą i napięciem dramatycznym konfliktu a tym, co on w rzeczywistej walce społecznej wyraża. Walka o plan, łamanie rutyny przez ruch racjonalizatorski, torowanie dróg awansu społecznego — wszystko to nie są konflikty klasowe ze swej istoty, choć w naszych warunkach często się o walkę klasową zazębiają. Dlatego też i dynamika wewnętrzna tych konfliktów musi być inna, niż w walce klasowej. Walka z sabotażem na fabryce prowadzić musi do bardziej dramatycznych sytuacji niż walka z biurokracją, lub zbyt niskimi normami produkcji. By bronić słuszności racjonalizatorskiego wynalazku, nie trzeba grozić katastrofą, nie trzeba też dla wprowadzenia takiego wynalazku ryzykować katastrofy. Prowadzi to niekiedy do fetyszyzacji racjonalizatorstwa: zamiast stanowić przejaw świadomego stosunku robotnika do pracy, panowania nad maszyną, zasypywania przedziału między pracą fizyczną i umysłową — racjonalizacja staje się jakimś cudownym lekarstwem, usuwającym wszystkie spiętrzone trudności i rozwiązującym za jednym zamachem wszystkie problemy dramatu.

Godzi się niekiedy przypomnieć, że realizm socjalistyczny nie polega na podstawianiu formułek zamiast rzeczywistego widzenia świata, że wyraz „realizm" w tym określeniu nie jest konwencją. Jeśli np. w dramacie, osnutym na walce klasowej na wsi, nie wiemy nie tylko w jakiej okolicy Polski ta wieś się znajduje, lecz nawet, jaki jest układ sił klasowych w tej wsi— nie jest to obraz realistyczny; bo przecież walka klasowa na wsi toczy się nie w abstrakcji, nie wszędzie tak samo, lecz w zależności od tego, czy we wsi przeważają kułacy czy biedota, czy tereny okoliczne są uprzemysłowione, a nawet, czy ziemia jest tam żytnia czy buraczana. Prawo fizyczne głosi, że każde ciało spada z określonym stałym przyśpieszeniem i prawo to jest prawdziwe; a mimo to w rzeczywistości żadne ciało tego prawa nie słucha, każde bowiem spada zawsze w jakichś konkretnych okolicznościach. Podobnie teoria walki klasowej na wsi jest słuszna i prawdziwa, ale w rzeczywistości nigdy nie dzieje się zupełnie tak czysto jak w teorii. Zadaniem pisarza nie jest ilustrowanie teorii na laboratoryjnym preparacie, lecz wykrycie praw rządzących konkretną życiową sytuacją.

Podobnie w niektórych sztukach z terenu produkcji słownik technologiczny służy głównie do nadania właściwego kolorytu językowi dramatu, zarazem zaś zwalnia autora z rzeczywistej znajomości procesu technologicznego. Taki przerost technologiczny — to też nie naturalistyczna przewaga maszyny nad człowiekiem, tylko po prostu mistyfikowanie realizmu. Niekiedy spotykamy się ze zjawiskiem odwrotnym: w jednej ze sztuk występuje racjonalizator, który wymyślił bardzo doniosłe udogodnienie skracające proces produkcji, ale o wynalazku dowiadujemy się tylko tyle, że jest to rurka. Ten racjonalizator to oczywiście nowa odmiana anonimowego poety z młodopolskiego dramatu, któremu trzeba było wierzyć na słowo, że pisze piękne wiersze.

To są zresztą wypaczenia raczej rzadkie, a mówiąc o nich czerpię przykłady zarówno ze sztuk przyjętych, jak z odrzuconych, idzie mi bowiem o schwytanie problemów, z którymi zapewne boryka się wielu pisarzy.

Utarła się opinia, że pisarzom naszym lepiej udają się postacie negatywne niż pozytywne, że spekulant na scenie jest bardziej pełnokrwisty niż robotnik. Pomijając sprawę interpretacji scenicznej, wydaje mi się, że ten etap mamy już także poza sobą. Jeśli idzie o robotnika, dramat nasz potrafi już często przedstawiać go prawdziwie i żywo; natomiast postacie negatywne, po odrzuceniu przez autorów naturalistycznej charakteryzacji, która stwarzała pozory życia, często są jeszcze prymitywne i jasełkowe. Tu dopiero panuje szablon; od pierwszej chwili pojawienia się takiej figury na scenie odgadujemy nieraz całą jej biografię (również dość stereotypową: 1939 — sklepikarz lub obszarnik, 1941 — Volksdeutsch, 1945— szabrownik i waluciarz, 1950 — agent amerykańskiego wywiadu) i znamy jej przyszłą rolę w dramacie. Gdyby wróg miał zawsze tak przejrzyste oblicze, walka klasowa byłaby ogromnie ułatwiona; ale właśnie rzecz w tym, że takie uproszczenie nie mobilizuje naszej czujności, nie koncentruje uwagi na słabych ogniwach, przez które wróg się przeciska, lecz na przypadkach jaskrawych, nietrudnych do rozpoznania.

Trzeba się też ująć za kobietami. Degradacja burżuazyjnego konfliktu miłosnego w dramacie spowodowała degradację roli kobiety w ogóle. Kobiety proletariackie, występujące w naszych sztukach, zwłaszcza młode, są często anemiczne i bezbarwne. Rzadko grają czynną rolę w konflikcie, częściej wypełniają jedynie tło rodzinne, a czasem używane są do funkcji rezonera. Kiedy kochają — nie wiedzieć czemu nieraz upatrują sobie takich amantów, których widz nie darzy największą sympatią; a to jest także czasami sposób „uczłowieczenia", przydawania ludzkiego ciepła postaciom, które na nie nie zasługują.

Wreszcie — partia. Narzekamy często, i słusznie, że postacie działaczy partyjnych w naszych sztukach są błahe i papierowe, że ci, którzy powinni być nosicielami dramatu, spadają do roli rezonerów. Płynie to, jak sądzę, z mechanicznego rozwiązywania roli partii, z ukazywania jej roli kierowniczej nie od wewnątrz samego kolektywu, lecz niejako spoza kolektywu. Nosiciel idei w dramacie — to ten, który prowadzi sceniczne działanie, który jest siłą napędową konfliktu i który sprowadza jego pomyślne rozwiązanie; tymczasem u nas sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej — to często rezoner, obserwujący akcję od zewnątrz i interweniujący dopiero w krytycznej chwili, przedstawiciel partyjnej postawy i partyjnej mądrości. Ale jeśli kolektyw fabryczny szczęśliwie przełamuje trudności, to nie tylko dlatego, że ma mądrego i sprężystego sekretarza komitetu (zwłaszcza jeśli sekretarz reguluje walkę z ubocza) — lecz przede wszystkim dlatego, że w samym kolektywie żyje — może nieświadomy, nie wolny od oporów, z trudem się ujawniający — lecz przecie duch partyjny, duch klasy rewolucyjnej, tradycja rewolucyjnej walki.

Na koniec parę słów o dramaturgii. Wielu naszym pisarzom, zwłaszcza debiutującym, brak jeszcze swobody w dziedzinie scenicznego rzemiosła. Trudno im nieraz ograniczyć się w doborze głównego problemu; stąd wielowątkowość, dążenie do załatwienia wszystkich problemów naraz, obawa, by pominięcie jakiegoś ubocznego toru nie spaczyło obrazu. Szkodzi to jedności akcji, mąci klarowność dramatu, dezorientuje widza, który musi mieć jasno określony kierunek rozwoju konfliktu. Trudność zestrojenia wszystkiego, co pisarz pragnie wypowiedzieć, w jedną

dramatyczną całość, trudność wyrażenia treści ideologicznej w postaci bezpośredniej akcji scenicznej, powoduje częste ześlizgi w kierunku dydaktyzmu i rezonerstwa. W dawnym teatrze istniała konwencja tzw. mówienia „na stronie": aktor wyłączał się na chwilę z akcji, nachylał się do publiczności i komunikował jej bezpośrednio (na ucho, by postacie sceniczne nie słyszały) swój komentarz do rozgrywających się wydarzeń. To mówienie na stronie, choć bez zwracania się do publiczności, a włączone do dialogu scenicznego, nieraz jest ucieczką autorów, którym się wydaje, że z samego toku akcji myśl ich niedość klarownie wynika. Brak dostatecznej znajomości specyfiki dramatu odbija się dość ujemnie na języku. Postacie sceniczne mówią często językiem pisanym, jakim żaden człowiek w życiu nie mówi; język ich jest nieplastyczny, niekonkretny, pełen werbalizmów i metaforycznych aluzji. Szczególnie utrudnia niekiedy realizację sceniczną brak dynamiczności dialogu. Dialog jest formą scenicznego działania, on niesie na sobie akcję sztuki, on — poprzez akcję sceniczną — wyraża treść ideową dramatu. Słowo jest bronią w starciu scenicznym i w samym słowie zawierać się musi cały ładunek napięcia, jakie narasta i rozładowuje się w dramacie.

Uwagi powyższe nie pretendują, rzecz prosta, ani do kompletności, ani do nieomylności. Starałem się wydobyć problemy, które wydają mi się istotne i których krytyczne przedyskutowanie przyczynić się powinno do dalszego rozwoju naszej twórczości dramatycznej; to pewna bowiem, że jeśli mamy tej twórczości dopomóc, krytyka musi może surowiej, a na pewno bardziej wnikliwie niż dotychczas wykrywać nasze błędy i słabości.

Jerzy Pański

Po konferencji krakowskiej

Chwila, w której teoretycy i praktycy zaczynają mówić wspólnym językiem, świadczy zawsze o głębokim i twórczym przełomie. Ale doniosłość tego przełomu jest tym istotniejsza, że językiem tym mówią już dziś teoretycy i praktycy nie jednej, lecz wszystkich dziedzin sztuki, i że język ten jest językiem materializmu dialektycznego i historycznego.

Świadectwem tego głębokiego procesu były wszystkie konferencje, zjazdy i narady. Zbierali się jednak na nich przeważnie albo teoretycy, albo praktycy, a zawsze dotąd przedstawiciele tylko jednej artystycznej dyscypliny. Obory, Łagów czy Nieborów znaczą kolejne etapy walki o realizm socjalistyczny w teatrze, plastyce i muzyce. Grudniowa konferencja krakowska w sprawie badań nad sztuką, zwołana i przygotowana przez podsekcję Badań Nauki Kongresu Nauki Polskiej i Państwowy Instytut Sztuki, zgromadziła po raz pierwszy przeszło 400 uczonych, artystów i organizatorów, twórców, praktyków i teoretyków z trzech wielkich dziedzin sztuki: muzyki, plastyki wraz ze sztuką ludową, teatru i filmu.

Konferencja nie obejmowała spraw literatury, ale literatura była na tym zjeździe obecna. Mówiło się o niej wiele i to na wszystkich niemal sekcjach. Literatura była obecna, mimo że w konferencji brali udział tylko historycy literatury i krytycy teatralni. I tutaj właśnie dochodzimy do kluczowej problematyki zjazdu.

Pomieszanie języków pochodzi podobno od czasów budowy wieży Babel, ale swój szczyt w sztuce osiągnęło dopiero w okresie imperializmu. Wtedy to właśnie nastąpił definitywny roz-

brat między teorią i praktyką artystyczną, a każda z muz zaczęła przemawiać własnym i to bardzo dziwacznym językiem. Poszczególne dyscypliny artystyczne mitologizowały swój warsztat, albo też umistyczniały jakiś odkryty przez siebie nowy proceder techniczny. Były to lata „czystego" teatru, „czystego" malarstwa, „czystej" muzyki, nawet film, który jeszcze na dobre nie powstał, chciał być od razu „czysty". Co oznaczało owe dążenie do wyimaginowanej „czystości"? Było ono przede wszystkim walką z literaturą. Z literaturą w teatrze—w dążeniu do teatru absolutnego, gdzie Demiurg nazywający siebie dramaturgiem wyczarowywał czysto teatralną fikcję ze świateł, głosów, hałasów, przestrzeni scenicznej i aktorów zamienionych w nadmarionetki. Z literaturą w malarstwie — w dążeniu do absolutnej kompozycji i czystej konstrukcji planu i waloru. Z literaturą w muzyce — w usiłowaniach tworzenia znowu muzyki absolutnej, funkcjonalnej, abstrakcyjnej i Bóg wie jeszcze jakiej.

W rzeczywistości owa walka z literaturą oznaczała walkę z pierwiastkiem humanistycznym w sztuce, z jej przynależnością do świata ludzkiego, rezygnację z wartości poznawczych i wychowawczych, paniczną ucieczkę od wszelkiej społecznej odpowiedzialności.

Praktyka twórcza realizmu socjalistycznego pozwoliła artystom odnaleźć znowu wspólny język. I wtedy okazało się, że tym językiem mówią także historycy literatury, że przemawia nim nowa polska literatura.

Jeszcze głębiej proces rozkładu wystąpił w dziedzinie teoretycznej myśli i historii sztuki. Historycy malarstwa albo całkowicie rezygnowali z szerszych ambicji poznawczych, ograniczając się do czystej dokumentacji i zupełnie jałowego przyczynkarstwa, albo też absolutyzowali rozwój form plastycznych odrywając go nie tylko od społecznego podłoża, ale także od wszystkich innych dziedzin kultury. Podobnie postępowali historycy i teoretycy muzyki i wszystkich innych dyscyplin.

Marksistowsko - leninowska estetyka pozwoliła odnaleźć wspólny język teoretykom i praktykom, stworzyła warunki wzajemnej pomocy i współpracy we wszystkich dziedzinach współczesnej sztuki. I to jest właśnie dla mnie owo wielkie novum krakowskiej konferencji. Uwidoczniło się ono przede wszystkim w zapoczątkowaniu zbiorowej pracy nad odnalezieniem i oczyszczeniem z wszystkich wypaczeń i wykrzywień postępowej i realistycznej tradycji sztuki polskiej.

Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że choć kierunek przemian we wszystkich dziedzinach badań nad sztuką, tak samo zresztą jak i w praktyce twórczej, jest jeden i ten sam, choć najważniejsze daty są wspólne, jak np. decydujący wpływ trzeciego plenum KC PZPR, to ten ogromny historyczny proces odnowy nie przebiega mechanicznie i automatycznie. Są gałęzie sztuki mniej i bardziej zaawansowane na tej wspólnej drodze. Młoda marksistowska historia i nauka o literaturze oczyściła się już z niejednego błędu, z wielu uproszczeń i przegięć. Może ona i powinna dopomóc historii malarstwa, muzyki i teatru. Krakowska konferencja dowiodła, że mury, które wzniosła idealistyczna estetyka między poszczególnymi dyscyplinami zostały zwalone, że możemy już rozpocząć pracę nad historią kultury polskiej, oczyszczoną z wszelkiego ideowego bałamuctwa. Krakowska konferencja była pierwszą próbą współpracy historyków literatury z historykami sztuk plastycznych. Ogarnięcie całości

sześciodniowych dyskusji jest bardzo trudne. Dopiero po opublikowaniu księgi zjazdowej będzie można ocenić w pełni plon referatów i dyskusji. Ale już dziś możemy stwierdzić jedną cechę konferencji niezmiernie charakterystyczną, otóż w każdej sekcji referaty miały tę samą niemal tematykę. Główny akcent pracy zjazdowej dotyczył realistycznych i postępowych tradycji polskiej sztuki. Ale owo spojrzenie w przeszłość było jednocześnie jak najściślej związane ze współczesną praktyką artystyczną, z walką o nową polską sztukę.

Podobnie jak doświadczenia historyczne rewolucji proletariackiej i budowy socjalizmu uczą, że istotną dźwignią rewolucyjnego postępu była walka uciemiężonych i wyzyskiwanych mas, tak samo doświadczenia socjalistycznego realizmu dają nam kryteria oceny wszystkich postaci realizmu przeszłości. Praca historyka wzbogaca realistyczny warsztat współczesnego artysty, warsztat ten uczy z kolei historyka trafnego artystycznie i istotnie odkrywczego spojrzenia na przeszłość.

To zagadnienie głębokiej dialektycznej jedności rewolucyjnych i ewolucyjnych przemian w sztuce, ciągłości narodowej kultury, a jednocześnie jakościowego skoku, jaki przyniósł realizm socjalistyczny, występowało niemal we wszystkich dyskusjach. Świadczy to niewątpliwie o twórczym oddziaływaniu ostatnich przełomowych prac Stalina. Konferencja krakowska, i to jest właśnie jej druga charakterystyczna cecha, była obok sesji zorganizowanej przez IKKN początkiem pracy nad przyswojeniem sobie przez naukę polską fundamentalnej nauki Stalina o bazie, nadbudowie i rozwoju narodowej kultury i języka.

J. K.

Po I sesji rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP

Rozszerzone Plenum Zarządu Głównego ZLP — novum w dziejach ZLP — to robocze obrady pisarzy, którzy dzieląc się swoimi doświadczeniami, wątpliwościami i nadziejami konkretyzują dzisiejsze cele literatury i wspólnym wysiłkiem wytyczają wiodące do nich drogi. Wszystkie spojrzenia wstecz, wszystkie — wypowiedziane tak w referatach jak w bezpośrednich głosach pisarzy biorących udział w dyskusji — oceny literatury pięciolecia, miały przede wszystkim sens praktyczny. Chodziło o wypracowanie na podstawie konkretnych doświadczeń, konkretnych trudności — właśnie konkretnych, szczegółowych metod twórczych literatury, która wraz z całym narodem realizować ma dzieło budowy socjalizmu. Chodziło także o uwyraźnienie lub wyprostowanie niektórych ogólnikowych lub nieścisłych tez i stwierdzeń, które powstały w ogniu walki ideologicznej o zasadniczy sens literatury Polski Ludowej.

Na czerwcowym Zjeździe Literatów wykrystalizowało się ostatecznie stanowisko oraz rola i funkcje literatury w czasie teraźniejszym. Cała postępowa literatura polska zajmuje dziś stanowisko pozytywne, twórcze wobec czołowego realizowanego przez nasz naród zadania: budowy socjalizmu. Postępowa większość pisarzy polskich uznała realizm socjalistyczny jako jedyną słuszną metodę twórczą. Wyprowadzenie literatury z impasu kosmopolitycznego, z opłotków formalistycznych, skierowanie jej do głębokiego nurtu naszej wielkiej postępowej tradycji literackiej, przywrócenie jej rangi narodowej przez związanie z życiem, troską i nadzieją

ludu — oto cele, które pisarze polscy uznali za swój program twórczy.

W świadomości pisarzy polskich dokonał się na przestrzeni pięciolecia, a szczególniej w roku ubiegłym zasadniczy przełom ideowy. To pewne. Poeci, powieściopisarze, dramaturdzy rozumieją już, że rolą pisarza jest towarzyszyć narodowi słowem i natchnieniem w jego wysiłku, w jego walce. Znają już swój cel pisarski, wiedzą, że ukazywać mają nie „ponadczasowe, ponadnarodowe sprawy metafizycznego człowieka", lecz typowe dla czasu teraźniejszego konflikty żywych, walczących i zwyciężających w konkretnej walce z wrogiem klasowym ludzi. Ta wiedza polskiego pisarza jest jego wielkim zwycięstwem. Zwycięstwem, które odniósł nad samym sobą wyrzekając się przyzwyczajeń i sztampy myślenia. Obrady I sesji Rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP wykazały, że zwycięstwo, które polska literatura postępowa odniosła, jest zwycięstwem pełnym. Pisarz polski zdaje sobie sprawę, że wyrzeczenie się przezeń starego— to dopiero wstęp do wielkiego wysiłku, którego wymaga zżycie się ze sprawami czasu teraźniejszego i przyszłego.

Pierwsza sesja Rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP nie była terenem ścierania się światopoglądów, lecz terenem emulacji. Wokół referatów Jerzego Putramenta (Rola i zadania literatury polskiej w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój) oraz Romana Werfla (Perspektywy kulturalne planu wydawniczego na rok 1951) toczyła się wymiana doświadczeń, trosk, nadziei pisarzy, którzy postulaty realizmu socjalistycznego uznali za swoje wyznanie artystycznej wiary.

Przełom ideowy, pamiętamy, nie dokonał się łatwo i automatycznie. Nowa tematyka, nowy stosunek do człowieka, do człowieka pracy, świadomość klasowego sensu dzieła literackiego, sprawy te targnęły sumieniami pisarzy. Toczona przed rokiem dyskusja o poezji, czerwcowy zjazd literatów — przeorały wiele przesądów, nawyków, otrząsnęły naszą literaturę z rutyny i skamielina pojęć literackich skruszała. W ogniu ówczesnych walk o sprawy najważniejsze, o klasowe stanowisko literatury nie pora była na formułowanie precyzyjnie nieomylnych sądów. Chodziło wówczas przede wszystkim o wytrzebienie zmurszałego, bezużytecznego, o starcie nalotu burżuazyjnego pseudohumanizmu, który przywarł do artystycznych kanonów, pozbawiając ich mocy organizowania społecznego wzruszenia.

Wyciąganie precyzyjnych, konkretnych wniosków z przeobrażeń dokonanych, z przełomu, który się stał, odbywa się na roboczych sekcjach twórczych. Odbyło się to także w dużym stopniu na pierwszej sesji Rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego ZLP.

Szczegółowego wglądu i wnikliwej, twórczej analizy wymagała sytuacja, która powstała we współczesnej poezji. Przełom dokonany w postawie poetów, którego konsekwencją jest ostateczne odrzucenie burżuazyjnego pseudohumanizmu, nie dokonał się bezboleśnie i bezbłędnie. Poetycka praktyka często staczała się na stanowisko lumpenproletariackie. Żargonem lumpenproletariatu jakżeż często wyraża się malutkie wzruszenie drobnomieszczanina. Pod pozorem walki z pseudohumanizmem burżuazyjnym poezja schodziła niejednokrotnie na równie antynarodowe stanowisko jak to stanowisko, które usiłowała przezwyciężyć.

W okresie między ostatnim zjazdem, a sesją styczniową, dzięki wyczuleniu ideowemu krytyki literackiej, oba te niebezpieczeństwa zostały tak dalece zażegnane, że sesja styczniowa mogła

przejść do omawiania schorzeń warsztatu poetyckiego, więcej miejsca poświęcić sprawom oczyszczenia formy poetyckiej i stylu z pozostałości dawnych nawyków z okresu międzywojennego.

Sesja styczniowa wiele wyjaśniła. Jerzy Putrament w swoim referacie i poeci, biorący udział w dyskusji (Pollak, Miłosz) wskazali na konieczność oparcia poezji na doświadczeniach poezji narodowej i związaniu warsztatu poetyckiego z czystym żywym nurtem tradycji poezjotwórstwa ludowego. Niektóre zarzuty były może przejaskrawione. Być może, krytyka tendencji stylizatorskich (Kubiaka) osłabiała precyzję i celność tej toczonej na sesji walki o przyszłość poezji. Ale mimo przejaskrawień i niedomówień sprawa poezji została postawiona należycie.

Jeśli sprawa poezji została omówiona precyzyjnie i skrzywienia praktyki poetyckiej (ze względu na jej ostry stan chorobowy) zostały słusznie i trafnie określone, to dyskusja o prozie nie weszła jeszcze w stadium formułowań orzekających o jej przyszłości konkretnej. Najbardziej charakterystyczne wypowiedzi na plenum, głosy Brezy, Brandysa, Borowskiego i Ścibor-Rylskiego skupiły się na trudnościach piętrzących się przed prozaikiem, który przyjął postulaty realizmu socjalistycznego. Pisarze na tle trudności, z którymi się porają, ukazali wielkość nieogarniętego jeszcze przez nich nowego tworzywa.

Nadążanie za rzeczywistością wymaga od wszystkich bez względu na doświadczenie i staż pisarski wysiłków ogromnych. Pisarze, którzy swój warsztat literacki uformowali w burżuazyjnej szkole literatury, muszą przełamywać stare skłonności, stare umiejętności widzenia, muszą wrażliwość swoją organizować na nowo. Młodzi, którzy do literatury wchodzą w czasie teraźniejszym budującego się socjalizmu, muszą opanować warsztat pisarski, poznać narzędzia swojej pracy i sięgnąć poprzez nowe do źródeł najlepszych tradycji. Ręka prawa i ręka lewa (z przemówienia Brandysa) jedna wprawna a druga wrażliwa, muszą połączyć się w twórczym uścisku.

Na obecnym etapie realizacji postulatów socjalistycznych w literaturze nie wystarczy już samo sięganie po nową tematykę. Nie wystarczy samo ukazywanie nowych socjalistycznych konfliktów i nowych wychowywanych w szkole socjalizmu ludzi. Pisarz musi tym ludziom pomagać w rozwiązywaniu ich konfliktów, musi te konflikty znać z konkretnego doświadczenia. Literatura Planu 6-letniego, to literatura wielkiej, ambitnej pracy, pracy od podstaw.

Trudności piętrzące się przed pisarzami są i będą duże. Pisarze rosną, to pewne, lecz rośnie również rzeczywistość Polski Ludowej. Perspektywy możliwości twórczych są z każdym dniem coraz rozleglejsze. Lecz serce pisarza ogarnąć je musi, bo od tego zależy przyszłość polskiej literatury.

Sesja styczniowa nie dokonała bilansu, nie zamknęła żadnego okresu. Pisarze nie przynieśli gotowych sformułowań, lecz tam w Domu Literatury myśleli na głos o konkretnych, codziennych, najbardziej żywotnych sprawach. Wnioski z dwudniowych obrad wyciągną przy pracy nad nowymi poematami, nowymi powieściami, nowymi dramatami.

Zbigniew Bieńkowski

Z radzieckich rozważań o poetyce

Zagadnienia poetyki żywo interesują zarówno radzieckich poetów i pisarzy, teoretyków i krytyków literackich jak również szerokie rzesze czytelników — miłośników i odbiorców poezji. W re-

feracie na XIII Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich w styczniu ub. r. A. Fadiejew powiedział: „Najmniej opracowanym problemem naszej estetyki socjalistycznej jest zagadnienie ideowości i artyzmu, treści i formy."

Następnie Fadiejew skonstatował: „Bez pogłębionego opracowania zagadnień ideowości i artyzmu, treści i formy — będzie nam bardzo trudno posuwać się naprzód. Nie należy obawiać się — właśnie teraz, kiedy szkole formalistycznej zadaliśmy taki druzgocący cios — nie należy lękać się, że my marksiści rzekomo nie potrafimy rozwiązać zagadnienia formy, lub że krytyk pracujący w tym kierunku narazi się na zarzut formalizmu."

Po Plenum dyskusja na tematy poetyki przybrała na sile. Znany poeta, Stiepan Szczipaczew, w artykule p. t. „Wysokie wymagania" zamieszczonym w „Litieraturnej Gaziecie" nr 18 z 1.II. 1950 r. — w stale tam prowadzonym dziale: „Omawiamy zagadnienia kunsztu" — pisał: „Kunszt w poezji radzieckiej nie ma nic wspólnego z „kunsztem", którym niegdyś chełpili się formaliści i esteci, z kunsztem, oderwanym od życia, którym poeci-formaliści usiłowali pokryć swoje bóstwo duchowe, swoją zupełną nieznajomość rzeczywistości". Na zakończenie poeta stwierdza, że w miarę wzrastania dbałości o formę, o kunszt poetycki, zmniejszać się będzie możliwość ulegania wpływom formalizmu i estetyki formalistycznej, natomiast zwiększy się zainteresowanie poezji najaktualniejszymi zagadnieniami społecznymi i politycznymi, podniesie się jej poziom ideowo-artystyczny.

Bardzo wiele wniosły do dyskusji prace krytyczne, które ukazały się w 30 rocznicę zgonu Majakowskiego. Niemal we wszystkich tych pracach znajdujemy wiele rozważań na temat poetycki, na temat znaczenia i wpływu poetyki Majakowskiego na poezję radziecką i światową. Stanowią one zarazem próbę rozwiązania pewnych zagadnień, które wyłoniły się podczas dyskusji o Majakowskim, toczącej się jesienią 1949 roku na łamach „Litieraturnej Gaziety" pod hasłem „Czy mamy się uczyć od Majakowskiego?" Nie wchodząc w szczegóły tej dyskusji, pragnę zaznaczyć, że wzmiankowane prace wniosły bardzo wiele w dziedzinie gruntownej analizy poetyckiej.

Poglądy Majakowskiego na poetykę wyrastały z jego poglądów na cele i istotę poezji: z postulatu nowości, współczesności oraz aktualności materiału (tematyki), z wymagania określonej celowości (tendencji) twórczej, z wymagania a k t y w n o ś c i f o r m y. Stosunek poezji do rzeczywistości określił Majakowski w znanym powiedzeniu: „Na opisywanie, odtwarzanie rzeczywistości nie ma w poezji miejsca... Poezja zaczyna się tam, gdzie istnieje tendencja..."

Postulat n o w o ś c i tj. n o w a t o r s t w a dotyczy przede wszystkim t r e ś c i. Majakowski pisał:

„Nowość, oczywiście nie oznacza stałego wypowiadania niezwykłych prawd. Jamb, wolny wiersz, aliteracja, asonans — nie powstają codziennie. Można pracować również nad ich kontynuacją, stosowaniem, rozpowszechnianiem."

Właśnie dla lepszego wyrażenia nowej treści poeta winien wybrać — nawet z form już dawniej znanych — taką formę, która najbardziej, najaktywniej odpowiada tematowi i celowi — zadaniu twórczemu danego utworu. W epoce rewolucji materiał twórczy jest tak nowy, że wymaga wypracowania nowej formy w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wiersze muszą być aktywne; by to osiągnąć nie należy posługiwać się starą formą: trudno „nowy ma-

teriał zmieścić w starej formie. Oczywiście, dla tej nowej formy można zużytkować poszczególne elementy składowe starej formy, poeta winien brać z niej to wszystko, co uważa za potrzebne. Majakowski doceniał całkowicie poetycką spuściznę klasyków: kochał Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, lecz ostro występował przeciw ich epigonom, którzy zaprzepaścili społeczną treść poezji klasycznej i — w konsekwencji — poetykę klasyczną.

Sprawą niewłaściwego stosunku krytyków literackich do zagadnień poetyki zajął się krytyk historii literatury, Mejłach, w artykule pt. „Uwagi o formie artystycznej" („Litieraturnaja Gazieta" nr. 57 z 15.VII. 1950). Ograniczanie recenzji — wywodzi Mejłach — tylko do omawiania treści i myśli przewodnich, ewentualnie do pobieżnego potraktowania poszczególnych elementów formy recenzowanych utworów poetyckich jest wielce szkodliwe — zarówno dla poetów początkujących jak i starszych. Krytyka powinna rozpatrywać każdy utwór jako jednolity „organizm" artystyczny, a nie jako konglomerat elementów artystycznych. Z dialektycznej zasady jedności treści i formy wynika, że wszystkie elementy formy — do każdego szczegółu z arsenału środków artystycznych — służą ukazaniu treści ideowej. Właśnie pełne ukazanie treści ideowej łączy się bezpośrednio z wysoce artystyczną formą. „Trzeba — pisze autor artykułu — ostatecznie skończyć z fatalistycznym stosunkiem do formy, z przekonaniem, że forma — to coś żywiołowego, że należy dbać tylko o treść, forma zaś przyjdzie sama..."

W końcu artykułu Mejłach apeluje do poetów, by studiowali literaturę przeszłości, by zapoznawali się z realistycznym kunsztem poetyckim klasyków rosyjskich, z ich warsztatem literackim, z ich pracą nad formą i treścią utworów.

Pragnąc pomóc młodym, początkującym poetom w opanowaniu arkanów poetyki, znany poeta radziecki Marszak, zamieścił w numerze 99 „Litieraturnoj Gaziety" z 24.X. 1950 „Uwagi o kunszcie" („O rymach dobrych i złych"). Naukę rymowania Marszak rozpoczyna od analizy rymów Puszkina. Marszak wywodzi, że jakkolwiek rym stanowi bardzo ważny środek artystyczny, nie jest jednak najważniejszym elementem poetyckim. Piękno wiersza Puszkina polega na różnorodnym i wielorakim stosowaniu — równolegle z rymem — innych środków artystycznych: np. zmiany tempa i rytmu wiersza, wolnego, nieskrępowanego układania strof, odpowiedniego doboru i sharmonizowania sylab. Na przykładach wierszy Puszkina, Żukowskiego, Kryłowa i innych Marszak wykazuje, że używanie przez klasyków skromnych rymów gramatycznych dla wyrażenia nastrojów lekkich i prostych było wyrazem ich wielkiego talentu i zdolności czerpania z przebogatych zasobów środków artystycznych. Marszak radzi młodym poetom, by nie szli po linii najmniejszego oporu w stosowaniu rymów gramatycznych, uprzedza jednak przed przesadnym rymotwórstwem, przed jednostronnym i fanatycznym hołdowaniem rymowi. Zbytnie przykładanie wagi do każdego rymu, zużywanie energii twórczej na dążenie do efektów zewnętrznych wywołuje niebezpieczeństwo rymowego efekciarstwa, co już świadczy o upadku, schyłkowości. Podobnie potępia Marszak dążenie niektórych poetów do osiągnięcia za wszelką cenę — arcyoryginalności i odrębności, co tylko prowadzi do zmanierowania i wypaczania talentu poetyckiego.

Przyswojenie, opanowanie nowych, oryginalnych rymów odbywa się w sposób naturalny i niewymuszony tylko wówczas, gdy rodzą je nowe myśli, nowe uczucia. Gdy jednak rym staje się celem samym w sobie, kiedy rym i rytm wiersza przestają p r a c o w a ć, tzn. służyć idei poetyckiej, czeka je nieunikniona klęska: po upływie pewnego czasu pozostają zewnętrzną ozdobą, albo też całkowicie obumierają, ponieważ są niepotrzebne.

W wierszach Majakowskiego lekko i z wdziękiem pracują setki rymów — nieoczekiwanych i półdźwięcznych. Często są to asonanse (Struktury asonansu rosyjskiego nie należy identyfikować ze strukturą asonansu polskiego — przyp. redakcji). Marszak ostrzega młodych poetów, że w wypadku stosowania asonansów stawia się poetom ostrzejsze wymagania niż przy rymach ścisłych. Rym ścisły można z powodzeniem zastąpić współdźwięcznym asonansem, ale tylko pod warunkiem, że ten będzie bogatszy, trafniejszy i w danym wypadku odpowiedniejszy niż rym ścisły. Poza tym chodzi o współbrzmienie nie tylko słuchowe, lecz pojęciowe.

Wzory dla znakomitych rymów i asonansów należy czerpać — jak to czynił Majakowski — z poezji ludowej, obfitującej w dźwięczne, pełne polotu oraz niespodzianek rymy i asonanse, z niezliczonych piosenek żartobliwych, przysłów, porzekadeł, wyrażeń idiomatycznych.

Inne zagadnienia poetyki, zresztą znacznie szerzej, omawia Marszak w artykule zamieszczonym w nr. 12/1950 czasopisma „Nowyj Mir" pod tym samym tytułem „Uwagi o kunszcie". W rozdziale I zatytułowanym „O prozie w poezji" Marszak zastanawia się nad tworzywem poetyckim. Tą „prozą w poezji" są różne sprawy i przeżycia, rzekomo powszednie i mało poetyczne; stanowią one jednak nieodłączną, surową, szorstką i realną rzeczywistość. Obecnością tej prozy w wierszach mierzy się poetycką rzetelność, poetycką głębię, kunszt poetycki. Nie ma bowiem kunsztu poetyckiego tam, gdzie poeta nie czerpie tworzywa z rzeczywistości, nie trudzi się bowiem nad tym, aby wydobyć wartości poetyckie z „prozy życiowej".W takim wypadku zasklepia się poeta w opiewaniu bzów, słowików, księżyców, białych żagli, błękitnej dali, złotych niw, akcesoriów poetyckich.

Poezją narodową staje się tylko rozumna poezja, która obejmuje rożnorodne dziedziny życia, podejmuje poważne zagadnienia. Poeci uprawiający taką poezję posiadają zawsze dokładny adres i dokładną datę swego życia i twórczości. Marszak rozumie przez to, że życie i twórczość poetycka jest związana z określoną konkretną rzeczywistością, jest jej odzwierciedleniem, utrwaleniem „daty" tj. epoki. Przez „adres" utworu literackiego rozumieją literaci i krytycy radzieccy — masy czytelnicze, dla których utwór został napisany, dla których są przeznaczone, którym służą i które wychowują. Na przykładach poezji Niekrasowa, jego siły wyobraźni, myśli i uczucia, głębi społecznej i bogactwa językowego Marszak wykazuje, że utalentowany poeta-realista wydobywa z surowego tworzywa rzeczywistości wysokie wartości poetyckie, osiąga wyżyny kunsztu poetyckiego.

W części drugiej artykułu zatytułowanej „Wiersz pracujący a wiersz bezczynny" Marszak zalicza do „wierszy pracujących" takie utwory poetyckie, które całym bogactwem środków artystycznych pracują dla jak najpełniejszego wydobycia prawdy artystycznej z „prozaicznych zjawisk" dla oddania

myśli, idei, uczuć. Jeżeli wiersz żyje, a nie wegetuje, jeśli pracuje, to wytrzyma olbrzymi ciężar nawet najbardziej „prozaicznego materiału życiowego", nie tracąc wcale swoich walorów poetyckich.

Prawdziwa — przepojona życiem poezja nie szuka tanich efektów, nie posługuje się „chwytami poetycznymi". Kunszt poetycki polega na wydobyciu prawdy poetyckiej w formie naturalnej, prostej, i oddaniu jej żywym językiem najszerszych mas narodowych. Poezja — wywodzi Marszak — która straciła więź z życiem, z konkretną realną rzeczywistością, z żywym językiem ogólnonarodowym, przestaje być poezją.

Józef Spinc

Literatura Albanii

Literatura Albanii, jednego z najstarszych narodów bałkańskich, rozwinęła się stosunkowo dość późno. Złożyły się na to warunki historyczne: ustrój feodalny, wielowiekowa niewola, która spowodowała opóźnienie rozwoju ekonomicznego, i świadomie utrzymywana przez feodałów ciemnota. Kraj pasterzy i rolników, liczący niewiele ponad milion mieszkańców, przez swoje kluczowe położenie stanowił przedmiot rozgrywek dla silniejszych sąsiadów. Krzyżowały się w niej wpływy kolejnych okupacji, których ślady odnajdujemy dziś jeszcze. Najdłużej bo 350 lat trwało jarzmo tureckie. Od wyzwolenia się spod tureckiego panowania do inwazji faszystowskiej w 1939 r. Albania była terenem rozgrywek interesów obcych imperializmów, które swój najbardziej groteskowy wyraz znalazły w odrodzeniu feodalnego królestwa przez Ahmeda Zogu w 1924.

Do połowy XIX wieku utwory literatury albańskiej miały raczej charakter dokumentów języka. Język był jedyną dziedziną, w której naród mógł walczyć o swoją odrębność, opierać się wynarodowieniu. Dlatego utwory pisarzy XVIII wieku mimo ograniczonej tematyki religijnej swą miłością języka ojczystego zapowiadały już odrodzenie narodowe literatury albańskiej, które dokonało się w połowie XIX w. Wielce zasłużył się tu Konstantin Kristoforidhi, opracowując pierwszy słownik albańsko-grecki, gramatykę języka albańskiego oraz tłumacząc księgi święte na obydwa dialekty albańskie: tosque i queque.

Odrodzenie narodowe w literaturze miało ścisły związek z ruchem wyzwoleńczym, który po okresie Wiosny Ludów przejawiał się na Bałkanach w rewoltach ludów bałkańskich przeciw panowaniu tureckiemu. W Konstantynopolu, w centrum kraju ciemiężycielskiego, powstaje stowarzyszenie pisarzy albańskich, ośrodek buntu, mający obudzić cały naród albański. Na czele tego ruchu stanął Naim Frasheri, wielki poeta narodowego odrodzenia. W swojej epoce Naim odegrał rolę wodza duchowego i umysłowego, obudził świadomość narodową całego narodu, uformował język literacki i położył fundamenty pod współczesną literaturę albańską. Uważając ciemnotę za główną przyczynę nieszczęść Albanii pisze Historię Powszechną dla szkół, Historię Albanii, Geografię i Czytanki dla chłopców. Duży wpływ na obudzenie świadomości narodowej miała Historia Skenderbega, bohatera narodowego Albanii, który w XV wieku walczył przeciw Turkom. Poezje Naima przechodziły z ust do ust, uczono się ich na pamięć. Jest to miarą ich popularności, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że 75% ludności nie umiało czytać ani pisać. Największą zasługą Naima Frasheri było podniesienie języka albańskiego do rangi

języka literackiego. Do czasu Naima język albański był cofnięty w rozwoju. Był nie tylko językiem niewykształconym, ale prawie nie używanym w piśmie. Rzadkie, stare dzieła Buzuku, Frangu i Barghe czy Bogdani nie były dostępne ogółowi, który nawet nie wiedział o ich istnieniu. Naim pisał językiem ludu, językiem prostym i zrozumiałym. Siła oddziaływania tego języka była tak wielka, że przyjął się powszechnie i stał się językiem wszystkich piszących Albańczyków, bez względu na to czy mówili dialektem tosque czy queque. Naim był idealistą i nie rozumiał rewolucyjnych ruchów epoki tak jak Botew w Bułgarii, ale jego dzieła pomogły masom ludowym obudzić się i powstać przeciwko tyranii i ciemnocie. Na tym polega jego rola postępowa. Drogą wytyczoną przez Naima Frasheri poszli dwaj najlepsi poeci literatury albańskiej Anton Zakotchaioupi i Ndre Mjedja. Współcześni im byli Gjerg Fishta, Faik Konica i Fan S. Noli, których twórczość przypadła już na lata dwudzieste i kabaretowe królestwo Zogu. Fishta — utalentowany liryk, odgrywał początkowo dużą rolę w literaturze albańskiej, stopniowo jednak przechodzi na coraz bardziej antyludowe pozycje. Po zajęciu Albanii przez faszystów w 1939 daje się skusić tytułem akademika i zaprzedaje swój talent wrogowi. Faik Konica, bej z urodzenia, był typowym przedstawicielem literatury reakcyjnej. Fan S. Noli, zasłużony tłumacz Szekspira, Cervantesa, Ibsena reprezentował demokratyczny ruch burżuazyjny 1924 r. Piętnastoletni okres rządów głupoty i terroru Ahmeda Zogu miał w literaturze odpowiednik w t. zw. „prądzie dywersyjnym". Najwybitniejszymi jego przedstawicielami byli Fishta i Konica. Cechami charakterystycznymi tego prądu był nacjonalistyczny szowinizm i fałszywa interpretacja faktów historycznych i prawdziwych uczuć narodu albańskiego. Wówczas, gdy lud uginał się pod brzemieniem nędzy i ciemnoty, Ali Aslani sławi reżim panujący a Ernest Koliqi przyjaźń z Italią faszystowską. Reżim Zogu walczył przede wszystkim z postępowymi ideami rewolucji socjalistycznej, które zaczynały się przyjmować wśród inteligencji grupującej się wokół Envera Hodży, jednocześnie zaś utrzymującej żywy kontakt z ludem, dzieląc jego troski i stając na czele manifestacji ulicznych.

Zacieśnienie stosunków z Włochami faszystowskimi wpływa na rozwój literatury konformistycznej. Literatura ta pozostaje na uboczu walki i problemów społecznych. Mistrz wiersza Lasqush Poradeci, który w swej poezji zajmuje się wybranymi motywami ludowymi, popada w mistycyzm. Ethem Haxhiademi wybiera tragedię starożytną i pisze utwory, anachroniczne w formie i treści. Twórczość młodszych pisarzy jak Sterio Spasse i Nonda Bulka przesyca pesymizm przeradzający się często w dekadencki nihilizm. Inną formę inteligenckiej ucieczki od problemów współczesnych znajdujemy u dobrego prozaika Mitrusha Kuteli, który w „Opowieściach albańskich" opisuje życie patriarchalne swego rodzinnego kraju.

Reakcyjny prąd dywersyjny, służący kolejno interesom imperialistów austro-węgierskich, potem włoskich, wreszcie hitlerowskich, utrzymuje się w literaturze albańskiej do 1935. W tym okresie wraz z rozwojem masowych organizacji robotniczych i studenckich pojawiają się oznaki nowej, przeniknięte duchem rewolucyjnym literatury. Rośnie opór przeciw rządom ucisku oraz rozkładowym wpływom zachodniej literatury. Pojawiają się utwory młodych, postępowych pisarzy. Uczuciom buntu przeciw uciskowi społecznemu i

nędzy daje wyraz w swoich utworach utalentowany poeta Milosz Georgii Nikolla, znany pod pseudonimem Migjeni. Jego tomik „Wolne wiersze", ogłoszony w 1938, został skonfiskowany przez cenzurę. W rok potem zaczyna wychodzić w Korca pismo „Bota e Re" (Nowy Świat). Współpracowali w nim prawie wszyscy pisarze postępowi, jak Migjeni, Aleks Caci, Dhimiter Shuteriqi, Shevqet Mussaraj, Quemal Stafa i inni, którzy potem przeszli do partyzantki Envera Hodży. W 1936 roku władze zawieszają pismo za druk przekładu „Matki" Gorkiego. Literatura zaczynała być niebezpieczną bronią. Był to okres dojrzewania sił rewolucyjnych, okres, kiedy klasa robotnicza zaczynała się organizować, kiedy w wyborach gminnych przechodzili deputowani komunistyczni, kiedy rodzący się bunt wybuchał w manifestacjach ulicznych i strajkach na uczelniach. Ta sytuacja znajduje swoje odbicie w literaturze.

Począwszy od 1935 r. różnica między tymi dwoma kierunkami w literaturze wyraźnie się zaostrza. Okupacja faszystowska wykreśliła jeszcze wyraźniejszą granicę. Kierunek dywersyjny z Fishtą i Koliqi przechodzi całkowicie na służbę okupanta i ostatecznie się degeneruje.

Grupa pisarzy postępowych, współpracowników Migjeni i „Bota e Re" poszła drogą walki, którą lud albański wypowiedział okupantowi. Założona w 1941 Komunistyczna Partia Albanii, staje się nie tylko siłą organizującą i kierującą walką wyzwoleńczą, ale i potężnym oparciem dla młodej literatury rewolucyjnej. Od tej chwili rozpoczyna się zorganizowany opór i walka o niepodległość, która kończy się w 1944 wyzwoleniem Albanii.

Nowa literatura albańska rozwijała się jednocześnie z rozwojem działań wojennych. Powstają pisma „Głos Ludu", „Zew Wolności", „Zjednoczenie", „Kobieta Antyfaszystka". W większych miastach pojawiały się stałe biuletyny, zawierające obok wiadomości wojennych, opisy bohaterskich czynów, reportaże z terenów wyzwolonych, oddziały wojskowe redagowały gazetki polowe. Większe jednostki posiadały własne pisma, które zamieszczały bogaty materiał literacki. Poeta Shevqet Mussaraj ogłosił większość swych utworów w podziemnych pismach partyzanckich. Tamże drukował Dhimiter Shuteriqi dwa swoje poematy: „O Ptoleme" — ułożony na cześć poległych towarzyszy i „Enverowi"; współpracowali Aleks Caci i Zihni Sako. Wśród walk partyzanckich tworzyli Andrea Varfi, Kol Jakova, Fatmir Gjata, Gjika Kuqali.

Literatura ta była najściślej związana ze sprawami walki prowadzonej przeciw okupantom i zdrajcom. Czerpała soki z idei, braterstwa i solidarności łączącej ludy uciśnione i walczące o wspólną sprawę, czerpała natchnienie z wiary, która prowadziła masy ludowe do zwycięstw. Uczyła swój naród nowego prawdziwego patriotyzmu.

Wspomnienia dni walki, opisy potyczek, krótkie opowiadania opisujące bohaterstwo walczących lub epizody ruchu oporu w więzieniach lub obozach koncentracyjnych, poezje o tematyce patriotycznej — składały się na twórczość literacką w okresie wojny wyzwoleńczej.

Rozwija się teatr partyzancki: jednoaktówki, obrazki sceniczne, poezje pisane na bezpośrednie zamówienia społeczne odgrywały dużą rolę w wychowaniu mas w duchu walki. Wielką popularnością cieszyły się piosenki powstańcze, komponowane w czasie bitwy.

Artykuły Enver Hodży, drukowane w „Głosie Ludu", jego przemówienia i wystąpienia na historycznych kongresach w Pezie, Labinet, Permet, Berat, podobnie jak pisma Nake Spire'a w „Głosie Ludu" i „Hasło Wolności" zajmowały poważne miejsce w literaturze wojennej.

Z pisarzy, znany od roku 1935, Shevquet Mussaraj w 1944 r. drukuje „Wczoraj i dziś", „Epopeję Balli Kombetar", „Z partyzantami przez kraj", poza tym poezje, pogadanki, szkice i reportaże literackie, ogłaszane w „Apelu wolności" i innych pismach podziemnych. Aleks Caci pisze dramat „Małgorzata Tutulani", Andrea Varfi — hymny i obrazki sceniczne. Twórczość innych młodych pisarzy kształtowała się w trakcie partyzantki. Kol Jakova skomponował pieśni „Do trzech bohaterów", „Skrzydła partyzanckie" i drobne utwory sceniczne dla teatru powstańczego, Fatmir Gjata—popularne piosenki żołnierskie, Gjik Kuqali — szkice literackie i opowiadania, opublikowane w „Apelu Wolności". Wielu pisarzy anonimowych opisywało swoje wrażenia wojenne i komponowało pieśni poświęcone towarzyszom broni, poległym w walce.

W utworach tych, odbiegających od utartych kanonów estetycznych zaczyna się formować nowy styl rewolucyjny. Tematycznie największa ich część poświęcona była walce wyzwoleńczej i wielkim przemianom, jakim torowała drogę na uwolnionych terenach. Do najpopularniejszych pieśniarzy czasu wojny, znanych i śpiewanych na terenie całej Albanii, należy zamęczony w obozie Meme Mete i Shevcet Peci.

Po wyzwoleniu budowa nowej kultury rozpoczęła się od walki z analfabetyzmem. W porównaniu z 1938 r. liczba szkół średnich wzrosła o 93% i dziś zakłady drukarskie Albanii nie mogą sprostać zapotrzebowaniu na książkę.

Literatura albańska wchodzi w nową fazę rozwoju. W walce o podniesienie poziomu artystycznego przy równoczesnym pogłębieniu ideologicznym przykładem i pomocą staje się literatura Związku Radzieckiego. W roku 1945 powstaje Związek Pisarzy Albańskich, który wydaje pismo centralne „Nasza literatura". Wokół dwumiesięcznika „Młody pisarz" skupiają się debiutanci. „W tym kraju — pisał Ilia Erenburg— wszystko dzieje się po raz pierwszy".

Młoda literatura albańska, stawia dopiero pierwsze kroki w dziedzinie powieści, dramatu i krytyki. Jej cechami jest entuzjazm i świeżość. Język jej jest potoczny, posiada prostotę i bezpośredniość narodu, który wreszcie ma nieskrępowaną możliwość rozwoju. Zachowując całą oryginalność kolorytu literatura albańska towarzyszy temu rozwojowi i wspiera swój naród w jego codziennym wysiłku.

ab

Powieść Hemingway'a

Nowa powieść Hemingway'a „Przez rzekę i między drzewa" (Across the river and into the trees") zasługuje na omówienie zarówno ze względu na nazwisko autora, uważanego w Stanach Zjednoczonych za mistrza prozy jak i na ogromną reklamę towarzyszącą jej ukazaniu się. Hemingway od czasu opublikowania powieści o hiszpańskiej wojnie domowej („Komu dzwoni dzwon") milczał. Korzystając z dużych pieniędzy, jakie płynęły do niego od wydawców i z Hollywood, mieszkał w swojej willi na Kubie, pływał jachtem, pił, polował i po niezbyt długim pobycie we Francji i we Włoszech, w roli korespondenta wojennego przy armii amerykańskiej, zaczął

pracować nad powieścią, która się nie udała i której nie opublikował. Zamiast niej napisał omawianą przez nas powieść, która mu się rozrosła z opowiadania. Dystans, który dzieli tę powieść od „Komu dzwoni dzwon", ilustruje w dość znacznym stopniu przemiany, jakie dokonały się w Ameryce, a więc i w literaturze amerykańskiej pomiędzy r. 1940 i 1950.

Z nazwiskiem Hemingway'a łączy się w historii współczesnej literatury amerykańskiej pojęcie prozy „gwałtownej", opartej na opisie szybkich wydarzeń (wojna, polowanie, walki byków, napady gangsterskie itd.).

W różnych okresach metoda pisarska Hemingway'a służyła do wyrażania różnych treści. „Pożegnanie z bronią" można zaliczyć do serii powieści pacyfistycznych o I wojnie światowej. Szereg utworów przedstawia środowisko „emigracji intelektualnej" amerykańskiej do Europy po I wojnie. Takie utwory jak „To have and to have not" czy „Śniegi Kilimandżaro" są (jakkolwiek dość pośrednim) odbiciem zaostrzenia się konfliktów klasowych w latach wielkiego kryzysu, podczas gdy „Komu dzwoni dzwon" harmonizuje z sympatią ówczesnych amerykańskich liberałów dla Hiszpanii Ludowej (bohater powieści, Amerykanin walczący po stronie Republikanów, jest typem takiego właśnie liberała).

W kilku słowach treść powieści „Przez rzekę i między drzewa".

Rzecz dzieje się po II wojnie światowej. Pułkownik armii amerykańskiej, stacjonowany w Trieście, jedzie samochodem na sobotę i niedzielę do Wenecji. Przejeżdża przez pola bitew I wojny światowej. Zna tutaj każdy zakręt rzeki, każdy kamień: bił się tutaj jako młody porucznik armii włoskiej (tematyka „Pożegnania z bronią"). Podróż jest dla niego powrotem we własną młodość i dość cierpkim obrachunkiem. Pułkownik ma pięćdziesiąt lat, był wielokrotnie ranny w obu wojnach i jest ciężko chory na serce. Lekarz stwierdził, że stan jego jest niebezpieczny. Pułkownik jednak jest „t o u g h g u y" tj. „twardy chłop" i wiedząc, że wkrótce umrze, chce zachować swój styl życia do końca. Pozbawiony wiary w cokolwiek, ceni tylko swoją siłę, sprawność i męskość — jeżeli ma zejść ze sceny, to w pełnej formie. Podtrzymuje się połykaniem dużej ilości lekarstw. W Wenecji zajeżdża do hotelu, w którym wszyscy go znają i wielbią jak króla. Maitre d'hotel i kelnerzy — to jego dawni towarzysze broni; związani są z nim żołnierską przyjaźnią. Pułkownik tego pije i zna się na trunkach. Spotyka się ze swoją kochanką. Ostatnia miłość jego życia ma dziewiętnaście lat, pochodzi ze starej weneckiej arystokratycznej rodziny, jest bardzo piękna i inteligentna. Rozmowy miłosne, wypełniające znaczną część książki, pułkownik i comtessa toczą z równą swobodą po włosku, angielsku, francusku i hiszpańsku (tytuł arystokratyczny oraz znajomość kilku obcych języków ma dla amerykańskiego pisarza i czytelnika duże walory snobistyczne).

Scena miłosna odbywa się w gondoli. Ważną rolę odgrywa w niej pled, którym kochankowie są okryci (patrz sceny miłosne w śpiworze, w górach, pod gwiazdami, w powieści „Komu dzwoni dzwon"). W rozmowy miłosne wplecione jest na wpół majaczeniowy monolog pułkownika o wojnie i rzemiośle żołnierskim. Te ustępy spowodowały b. nieżyczliwe przyjęcie książki w Anglii, głównie ze względu na potraktowanie postaci Montgomery'ego, którego Hemingway uważa za niedołęgę. Przeciw-

stawia mu jako typ żołnierza generała Rommla. Rommel i lotnik niemiecki, Udet, występują jako wzór żołnierskich cnót. Natomiast stosunek autora do niektórych postaci amerykańskich może dać Anglikom powód do cichego zadowolenia (o prezydencie Trumanie nie mówi się inaczej niż „That unsuccessful haberdasher" tj. „ten nieudany sprzedawca szelek").

Pożegnawszy się z piękną comtessą pułkownik jedzie polować na kaczki na lagunach pod Wenecją. Jest zimowy świt, trzeba rozbijać warstwę lodu, żeby dojechać łódką do stanowisk, nad które nadlatują „tłuste kaczki zza żelaznej kurtyny". Pułkownik pomaga wioślarzowi, bardzo się męcząc (męski do ostatka). Potem sprawa celności strzałów, sprawa zasadnicza (prawdopodobnie ostatnie polowanie w życiu). Pułkownik strzela dobrze. W drodze powrotnej do Triestu szofer w pewnej chwili spostrzega, że pułkownik jest martwy.

Oto schemat akcji. Trzeba stwierdzić, że wielkie trąby reklamy nazywające Hemingway'a „największym pisarzem od czasu Szekspira" grzeszą lekką handlową przesadą. Jakkolwiek dla samego autora sprawa utrzymania się w literackiej formie jest nie mniej ważna niż dla jego bohatera sprawność w miłości, piciu i polowaniu (czemu Hemingway dawał ostatnio wyraz w wywiadach), przesunięcie się w stronę kabotynizmu i snobizmu jest zbyt wyraźne, aby jakiekolwiek pochwały krytyki traktować zbyt serio. W opowiadaniu „Śniegi Kilimandżaro" Hemingway przedstawił rozkład człowieka pod wpływem bogactwa i wejścia w obce środowisko (małżeństwo z bogatą kobietą). Sądząc z ostatniej powieści, coś takiego zdarzyło się z samym Hemingway'em. Mniejsza zresztą o to. Potknięcia artystyczne książki są wynikiem „filozofii życiowej" autora w obecnym momencie i są całkiem pouczające. Rozpatrzmy kilka motywów. Śmierć. Jej oczekiwanie i sposób jej przyjęcia jest właściwą treścią książki. Nie sama obecność śmierci decyduje o dekadenckiej atmosferze. Decyduje o tym stosunek do śmierci. Bohater powieści „Komu dzwoni dzwon" przyjmował swoją śmierć po stoicku, z dość dużym sceptycyzmem, jeżeli chodzi o jej celowość (między innymi ten „obowiązek sam w sobie" i „śmierć sama w sobie" sprawiły, że tej znanej powieści o wojnie hiszpańskiej nie zaliczymy do literatury rewolucyjnej). Stoickość jednak była w poważnym stopniu zrównoważona przez poczucie wspólnoty ludzkiej i przez wrogość do faszyzmu. Inaczej w ostatniej powieści. Żadna myśl o innych ludziach nie nawiedza starego pułkownika. Jego rozprawa z własną śmiercią — jest to coś w rodzaju wyścigu z własnym zniszczeniem. Taki wyścig może mieć cechy wielkiego i prawdziwego tragizmu, jeżeli śmierć oznacza nagłą przeszkodę w dokonaniu dzieła (np. uczony, mierzący każdą minutę, która mu pozostała do wykonania pracy, jaką sobie zakreślił). Bohater powieści Hemingway'a nie ma jednak żadnego motoru życia, żadnej wiary. „Uprawianie życia" jest dla niego sztuką nie potrzebującą żadnych usprawiedliwień. Chodzi o to tylko, żeby nie być pokonanym przed śmiercią (np. wyrzec się trunków, albo strzelać niecelnie). Stoicki stosunek do śmierci „męskich" bohaterów Hemingway'a zostaje więc doprowadzony do karykatury. Niezbyt trudno byłoby uogólnić tę sytuację i odczytać z charakteru centralnej postaci charakter całej ideologii kapitalizmu w obecnej fazie i wtedy powieść uzyska (jak inne utwory He-

mingway'a) wydźwięk symboliczny, trudno powiedzieć do jakiego stopnia zamierzony.

Rzymskość. Od czasu ostatniej wojny i wejścia na scenę w Ameryce tzw. „high brass" tj. wyższych wojskowych czy też junkrów, w kołach intelektualnych związanych z wielkim pieniądzem uchodzi za rzecz w dobrym tonie mówić o Ameryce jako o nowym Rzymie. Rzym amerykański ma być dziedzicem „kultury zachodniej", a otoczony jest przez „hordy barbarzyńców". Z chwilą kiedy pojawiło się w amerykańskiej klasie panującej nieznane przedtem poczucie tragizmu (połączone z typowym dla Ameryki ahistoryzmem, tj. wyrywaniem Ameryki spod praw rozwojowych nowoczesnych społeczeństw), ujściem dla tego poczucia stały się złudne analogie ze światem starożytnym.

Wypadek Forrestala, który przed wyskoczeniem z okna czytał Ajschylosa, ilustruje te zainteresowania starożytnością.

Przykładów można podać znaczną ilość, że wymienimy duże powodzenie takich książek jak studium historyczne Toynbee, czy powieść Thorntona Wildera „Idy marcowe", albo renesans poetyckiego konserwatyzmu, na którego wodza lansowany jest poeta Peter Viereck (nb. syn znanego amerykańskiego nazisty, działacza hitlerowskiego „Bundu").

Dużą uwagę poświęca się badaniom nad „źródłami tradycji zachodniej" itp. Oczywiście obraz starożytności jest w tym wszystkim co najmniej tak wypaczony jak w niemieckich dziełach w rodzaju „Pajdei". Podobne tendencje są „rozmienione na drobne" w pismach propagandowych takich jak „Life" czy „Times" i spotykają się na ogół z wdzięcznym przyjęciem, gdyż trafiają w zakorzenione i wpojone od dziecka poczucie amerykańskiej wyższości cywilizacyjnej. Interesujących danych dostarcza psychologia żołnierza amerykańskiego, który odnosi się z równą nudą i obrzydzeniem do każdego kraju poza Ameryką, gdzie jest stacjonowany, czy to będzie Austria czy Korea. Brud, nędza, ruina stają się w jego oczach atrybutem „barbarzyńców", czymś przez nich zawinionym, przez co nowoczesny Rzymianin kroczy otoczony jak kredowym kołem swoją amerykańskością. Troje amerykańskich studentów jechało samochodem do Wiednia. Przy wjeździe do miasta zatrzymał ich posterunek Military Police sprawdzający dokumenty. Żołnierz długo przeglądał paszporty, wreszcie zapytał z niedowierzaniem: „Turyści?" „I jedziecie do Wiednia?" „Po co?" Że ktoś z *własnej woli* jedzie do Wiednia nie mogło mu się pomieścić w głowie. Zaczął wreszcie tłumaczyć, jak trafić do amerykańskiego hotelu i był niepomiernie zdumiony usłyszawszy, że młodzi Amerykanie wolą zatrzymać się w hotelu austriackim. Tę małą prawdziwą historyjkę trzeba zaliczyć do bogatej, a na ogół znanej serii przypowiastek o Amerykanach zagranicą.

Rzymskość w powieści Hemingway'a? Niewątpliwie. Bohater powieści stale czuje, że jest w kraju podbitym, ma „smutek zdobywcy", pochodzący z dystansu, z wrogości otoczenia. Przełamanie tego dystansu odbywa się poprzez zakon towarzyszy broni i przez przygodę miłosną (koła arystokracji), ale już w zachowaniu się wioślarza przy polowaniu na kaczki wybucha wrogość. „Starajmy się pozostać na wysokości naszego przeznaczenia" — kończy jakiś swój felieton francuska tuba imperializmu, François Mauriac. Bohater Hemingway'a też dźwiga na sobie „przeznaczenie", otoczony mrowiskiem lu-

dów, które stały się tylko przedmiotem amerykańskich działań (np. dość humorystyczny stosunek pułkownika do wartości bojowej Francuzów). „Przeznaczenie" (wejście Amerykanów do Europy w I i II wojnie) rozciągać się ma również na przyszłość. Jest to bardzo bliskie do znanych dobrze Europejczykom pojęć „misji dziejowej" i „misji białego człowieka".

Żołnierstwo. Żołnierstwo jako fach, niemiły a nawet wstrętny, ale zamknięty w rygorze dumy zawodowej, jest jednym z głównych motywów książki. Ten stosunek do zawodu żołnierza jest typowy dla literatury amerykańskiej po II wojnie światowej i oznacza odejście od tendencyj pacyfistycznych (wyjątkiem byłaby antywojenna powieść Normana Mailera „Nadzy i umarli"). Naturalizm opisów idzie zwykle w parze z pojmowaniem żołnierstwa jako części (stałej) „ludzkiego losu". Wpływ tego rodzaju literatury sięga głęboko, gdyż literatura ta, nie umniejszając okropności wojny, zaszczepia pojęcie wojny jako czegoś, co przychodzi z zewnątrz, niemal jako siły kosmicznej, czegoś, czego „nie chce się, ale trzeba".

Jak widać więc, nowa powieść Hemingway'a, niezależnie od jej wątpliwych wartości artystycznych, jest zjawiskiem, koło którego trudno przejść całkiem obojętnie. Można ją uznać za etap w klarowaniu się amerykańskiej „powieści gwałtownej", obejmującej dotychczas różnorodne treści. Rola tej powieści jako literatury społecznego protestu wydaje się skończona, natomiast jej elementy „stoickie" i „męskie" rozwijają się jako elementy „fatalizmu", tak potrzebnego dla Morganowskiej Ameryki.

Kiedy się czyta powieść Hemingway'a, przychodzi na myśl niemiecki pisarz Ernest Jünger, który w okresie między dwiema wojnami pisał o swoich doświadczeniach ze służby frontowej w piechocie. Nie łagodził swoich opisów, ale tworzył epopeję „żołnierskiego zakonu", dumnego (i oddzielonego od reszty ludzkości) rycerstwa. Chociaż Jünger sam nie stał się hitlerowcem, jego książki były ulubioną lekturą hitlerowskiej młodzieży. Wspomniałem o rozdzielaniu sympatii przez Hemingway'a niezależnie od tego, po której stronie walczyli żołnierze — rycerski Rommel, szlachetny Udet, niedołężny „Monty", typy amerykańskich generałów-polityków. Wojna więc jest pojęta jako żywioł, wielkimi wtajemniczonymi są prawdziwi żołnierze pracujący w harmonii z tym żywiołem, ohydnymi partaczami przebrani cywile, politycy. Podobieństwo między tym zamiłowaniem do rycerskiego zakonu u Hemingway'a i Jüngera jest dość uderzające.

Żagarysta

Książki nadesłane

PROZA

Mulk Raj Anand — Kulis. Powieść. Przekł. z ang. Marii Skibniewskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 356 + 1 nlb.

Balzac — Stara panna. Gabinet starożytności. Cykl: Komedia ludzka. Przekł. i wstęp Tadeusza Boya-Żeleńskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 285 + 1 nlb.

Paweł Bażow — Kamienny kwiat. Przekład z ros. W. Założyny. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 129.

Willi Bredel — Ojcowie, tom I trylogii. Przekł. autoryz. Anny Linke. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 447 + 1 nlb.

Maksym Gorki — Klim Samgin (czterdzieści lat), t. I. Przekł. z ros. Artura Sandauera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 596 + 2 nlb.

Stefan Heym — Inwazja. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — str. 368 + 2 nlb., tom II — str. 467 + 2 nlb.

Jurij Janowskij — Opowiadania kijowskie. Przekł. z ros. Eugenii Maciejewskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 64.

Andreas Kedros — Odeon. Przekł. z franc. Danuty Wątygowej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 193 + 2 nlb.

Lőrinc Kovai — Ziemia... chleb... wolność... Przekł. z węg. Adama Bahdaja. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 393 + 1 nlb.

Adam Mickiewicz — Pisma prozą: część pierwsza, z objaśnieniami Zofii Ciechanowskiej — pisma filomatyczne, estetyczno-krytyczne, opowiadania, część druga, w oprac. Leona Płoszewskiego — księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego, pisma polityczne z lat 1832—1835, część trzecia, w oprac. Jerzego Kowalskiego i Leona Płoszewskiego — pisma historyczne, wykłady lozańskie. Dzieła, wydanie narodowe, t. V, VI i VII. Na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa 1950. Część I — str. 456 + 1 portret, część II — str. 259 + 1 portret, część III — str. 308 + 1 portret.

Nowele litewskie — Wybór. Przekł. z litewsk. Anny Lau-Gniadowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1950. Str. 316 + 2 nlb.

Wiera Panowa — Jasny brzeg. Przekł. z ros. M. Dolińskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 339 + 1 nlb.

Jan Potocki — Rękopis znaleziony w Saragossie, t. I, II i III. Tekst wg przekł. Edmunda Chojeckiego. Wstęp Mariana Toporowskiego, ilustr. Antoniego Uniechowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Tom I — str. 313 + 2 nlb., tom II — str. 253 + 2 nlb., tom III — str. 268 + 2 nlb.

I. Riaboklacz — Maksym z kołchozu „Zorza". Przekł. z ros. Ryszarda Radziwiłłowicza. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 207 + 1 nlb.

Romain Rolland — Jan Krzysztof. Księga druga — Bunt, targowisko. Przekład autoryz. Leopolda Staffa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950 Str. 595 + 2 nlb.

A. I. Serafimowicz — Opowiadania. Przekł. Zofii Petersowej. „Książka

i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 313 + 1 nlb.

Henryk Sienkiewicz — Za chlebem. Tekst oparty na wydaniu zbiorowym dzieł H. Sienkiewicza pod red. Juliana Krzyżanowskiego; zatwierdzone przez Min. Oświaty jako lektura szkolna. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 107 + 1 nlb.

— Pan Wołodyjowski. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XVII, XVIII i XIX. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — str. 210 + 3 nlb. + 1 podobizna autografu, tom II — str. 184 + 4 nlb. + 1 podobizna autografu, tom III — str. 272 + 4 nlb. + 1 portret.

— W pustyni i puszczy. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XXXVII i XXXVIII. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — str. 208 + 4 nlb. + 1 fotografia, tom II — str. 209 + 4 nlb. + 1 fotografia.

— Listy z podróży do Ameryki. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XLI i XLII. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — str. 244 + 4 nlb. + 1 fotografia, tom II — str. 350 + 4 nlb. + 1 fotografia.

— Na polu chwały. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XXVII. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 322 + 4 nlb. + 1 portret.

— Mieszaniny literacko - artystyczne. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom I. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 240 + 4 nlb. + 1 fotografia.

— Legiony. Dzieła, wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XXVIII. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 178 + 4 nlb. + 1 podobizna autografu.

Mark Twain — Podróż międzyplanetarna. Cykl: Humoreski, t. I. Wybrał i opracował Antoni Marianowicz. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 257 + 1 nlb.

Stefan Zweig — Balzac. Przekł. Wandy Kregen. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 430 + 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Benedykt Hertz — Bajki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 256 + 1 nlb. + 1 portret.

Adam Mickiewicz — Golono — strzyżono i inne utwory. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 68 + 3 nlb.

Leopold Staff — Poezje. Wyboru dokonał Mieczysław Jastrun. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I, 1898 do 1908 — str. 413 + 1 nlb + 1 portret, tom II, 1909 do 1914 — str. 389 + 1 nlb. + 1 portret.

Sztafeta Pokoju — Antologia poezji walczącej o Pokój. Oprac. Jerzy Grygolunas. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 384 + 1 nlb.

Stanisław Wyspiański — Wesele. Dramat w rzech aktach. Wstęp Kazimierza Wyki. Oprac. tekstu i objaśnienia Leona Płoszewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. LXVI + 274.

PUBLICYSTYKA I HISTORIA

Henri Claude — Plan Marshalla. Przekł. autoryz. Hanny Szumańskiej-Grossowej. Posłowie Dr Tadeusza Łychowskiego. Państwowy Instytut

Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 279 + 1 nlb.

Dominique Desanti i Charles Haroche — Bomba czy pokój atomowy. Przekł. z franc. Elżbiety Szaniawskiej i Marcina Czerwińskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 142 + 1 nlb.

F. T. Konstantinow — Bułgaria na drodze do socjalizmu. Przekł. z ros. A. Neymann. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 267.

Leon Kruczkowski — Spotkanie i konfrontacje. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 191 + 2 nlb.

Marietta Szaginian — Szlakiem pięciolatki. Reportaże. Przekł. autoryz. Jadwigi Dmochowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 430 + 2 nlb.

Andrée Viollis — Co widziałam w Indochinach. Notatki z podróży. Przekład z franc. Zofii Jaremko-Żytyńskiej. „Czytelnik", 1950. Str. 215 + 1 nlb.

A. Władimirow i P. Szełachin — Węgiel dla ojczyzny. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 169 + 2 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

S. F. Tokmałajew — kapitał handlowy i zysk handlowy. Biblioteka Ekonomiczna 8-a. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 114 + 1 nlb.

RÓŻNE

Polska karykatura polityczna — Pod red. Jana Lenicy, Antoniego Marianowicza i Jana Szeląga. Album. „Czytelnik", Warszawa, 1950.

SPIS TREŚCI

Str.

Z listów Lenina do rodziny 3
Włodzimierz Majakowski: Włodzimierz Iljicz Lenin. Z części drugiej poematu — przeł. Jerzy Litwiniuk . 12
Michał Isakowski: Przed Mauzoleum Lenina — przeł. Leopold Lewin 16
Mieczysław Jastrun: W Nowy Rok. W pracowni świata . . 17
Seweryn Pollak: Drzewo rewolucji 23
Stanisław Piętak: Zanim wieś zaśnie 24
Adam Franciszek Kirło-Nowaczyk: Wschód nad Pegeerem 25
Adolf Rudnicki: Ignaś Łęk 26
Helena Boguszewska: Przyjazd Walerii 43
Z POEZJI ALBAŃSKIEJ:
Aleks Caci: Muzekie — przeł. W. A. B. 66
Kol Jakova: O trzech bohaterach — przeł. W. A. B. . . . 69
Jerzy Putrament: Zadania literatury w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój 72
Mao Tse-tung: W sprawie praktyki 108
Aleksander Puszkin: Eugeniusz Oniegin. Z rozdziału czwartego i piątego — przeł. Adam Ważyk 121
Grzegorz Lasota: O Nazimie Hikmecie 139
POLEMIKA: Stanisław Wygodzki: Jeszcze nad Engelsem 147
WŚRÓD KSIĄŻEK: Włodzimierz Maciąg — Konstanty Ildefons Gałczyński „Ślubne obrączki"; Artur Międzyrzecki — Paul Eluard „Wybór wierszy"; Andrzej Lam — Antoni Olcha „Most nad urwiskiem"; Maciej Koliba — Anna Kościńska „Niedziela na Wydartej" 150
NA WIDNOKRĘGU: Jerzy Pański, J. K., Zbigniew Bieńkowski, Józef Spinc, ab, Żagarysta 165
KSIĄŻKI NADESŁANE 189

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewnętrzny 22
Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu 3 zł 60 gr. Prenumerata kwartalna 10 zł 80 gr, półrocz. 21 zł 60 gr.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA zł 3.60

CZYTELNIK